

STRONNICTWO KONSERWATYWNE

WOBEC

35-cio milionowej gwarancyi

NARZUCONEJ KRAJOWI

PRZEZ

SEJM GALICYJSKI

NAPISAŁ

JERZY MOSZYŃSKI.



W KRAKOWIE,

W Drukarni »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI

pod zarządem J. Łakocińskiego.

1899.

STRONNICTWO KONSERWATYWNE

WOBEC

35-cio milionowej gwarancyi

NARZUCONEJ KRAJOWI

PRZEZ

SEJM GALICYJSKI

NAPISAŁ

JERZY MOSZYŃSKI.



W KRAKOWIE,

W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI

pod zarządem J. Łakocińskiego.

1899.

43.8.073 1342.5] 1.87



B - 3467 4067
~~178781~~

NAKŁADEM AUTORA

23/02

SŁOWO WSTĘPNE.

Już grzmi muzyka, wesolość panuje,
Bawią się, tańczą, póki tchu im stanie,
Para za parą po sali się snuje,
Starzy i młodzi i panny i panie,
Wszyscy rozkoszni, weseli,
Jak gdyby jutra nie mieli.

Ach moje serce smętne między niemi,
Samo, samotne, obce na tej ziemi;
Dzkie jak prawda, jak rozpacz gorące,
A tak ukryte, jak ogień żarzące,
Co ziemia wieki w swoim łonie kryje,
A których ciepłem, świat wiekami żyje.

Kraków w lutym 1868 roku.

Jerzy Moszyński.

»Lecz kto się chlubi, niech się w Panu chlubi.«

(Z listu II Św. Pawła do Koryntyan, R. X, 17).

I.

W dniu 27 lutego r. b. — a więc trzydziesto-ośmioletnią rocznicę nieszczęsnych wypadków warszawskich, będących pierwszym złowrogim zwiastunem, pierwszym gromem tej szalonej burzy, która w potokach łez i krwi w otchłaniach skrytobójstwa i bezbożności, w wirach głupoty, tchórzostwa i bezmyślnego poświęcenia, miała na długie lata zanućzyć zdrowy rozwój narodowego naszego życia, a najpiękniejsze życia tego nadzieje i zaczątki miała przykryć całunem klęsk i przesładowań, bijących taranem zepsucia i zniszczenia już nietylko w narodowe nasze instytucje, już nietylko we wszelkie najdrobniejsze nawet objawy naszego narodowego życia, ale godzących nawet w samą moralną i duchową naszą istotę, wymierzających cios po ciosie przeciwko naszemu rodzinnemu życiu, przeciw naszym rodzinnym ogniskom i tradycjom, przeciw rozwojowi najwięcej godziwych naszych ludzkich uczuć i pragnień, przesładowań tępiących naszą mowę, zachwiewających naszą wiarę w prawdę objawioną, rozstrajających naszą moralność, rozluźniających nasz związek z opoką, na której Chrystus zbudował swój Kościół, godzących w naszą szlachetność, w naszą prostą uczciwość nawet, nie

wzdrygających się przed żadnym środkiem przemocy i podstępem, by rozpuszczając naszą tysiącletnią katolicką cywilizacją w morzu kłamstwa, nikczemności charakteru, głupoty myśli, ciasnoty pojęć i podłości serca, zrobić z nas wreszcie godnych członków wielkiej słowiańskiej rodziny, godnych pionierów wschodniej cywilizacji — w tym to dniu, wzbudzającym cały świat ponurych i groźnych wspomnień, weszła pod obrady Sejmu galicyjskiego sprawa, która bez wtoru nieszczęściami brzemiennych chmur gradowych, bez huków i trzasku piorunów, niemniej jest jednak groźną, straszną, bolesną, złowrogą, może nawet więcej bolesną i złowrogą, może więcej tragiczną, bo zwiastującą nie błyski szalonej burzy, ale ostatnie szamotanie się nasze ze śmiercią w kałuży zbrodni, podłości i złodziejstwa!

Tak jest! W dniu 27-m lutego r. b., przedłożyła Sejmowi galicyjskiemu komisya budżetowa sprawozdanie swoje, w przedmiocie udzielenia poręki kraju za wkładki w galicyjskiej Kasie oszczędności we Lwowie. Zarówno samo sprawozdanie, jak wnioski komisji i przebieg obrad w pełnej izbie, podaję tu podług relacji *Czasu*. Sprawozdanie to brzmi jak następuje:

»Ciężka klęska natury ekonomicznej, a i moralnej, dotknęła kraj z okazji zająć pożyczania godnych w Kasie oszczędności lwowskiej. Zdawałoby się, że wypadki choćby najkarygodniejsze w instytucji finansowej prywatnej, nie powinny zagrażać gospodarstwu całego kraju; zdawałoby się, że stwierdzony brak należytego dozoru rządowego w takiej instytucji nie powinien narażać żywotnych interesów kraju. Wszelako i jedno przypuszczenie i drugie byłoby w danym razie złudzeniem.

Kraj nasz posiadał do niedawna szereg instytucji finansowych, na które mógł spoglądać z pewną dumą, jako

na dowód gospodarności, zapobiegliwości i przezorności społeczeństwa naszego w sprawach kredytowych. Do instytucyj tych zaliczano słusznie Kasę oszczędności lwowską, jedną z najstarszych i największych w państwie, najstarszą, największą i najpoważniejszą w kraju. Pod nadzorem obowiązującym rządu była ta Kasa administrowana przez organa samorządne Towarzystwa Kasy; wszystkie, a zwłaszcza niższe warstwy społeczeństwa spieszyły hojnie z wkładkami, z których zasilano skutecznie kredyt nieruchomy i ruchomy we Lwowie i okolicy; z zysków nagromadził się znaczny kapitał rezerwowy, a część ich przeznaczano corocznie na wszelakie cele humanitarne.

Zaufanie kraju w trwałość i stałość tych stosunków zostało wstrząśnięte gwałtownie przez »run« na Kasę oszczędności, który wprowadzie w pierwszej chwili uznano za nieuzasadniony, który jednak wkrótce potem spowodował dokładne badania i sprowadził wyjaśnienia, budzące uczucia najsmutniejsze w sercach wszystkich kraj miłujących obywateli. Przed okiem zdumionej publiczności odsłonił się obraz potworny: oto mimo nadzoru rządowego i skomplikowanego aparatu administracyi samorządu Towarzystwa, od kilku już lat dopuszczano się bezkarnie najwidoczniejszych przekroczeń statutu i prostych nadużyć potępienia i kary godnych, zaprzepaszczano fundusz rezerwowy i w sposób iście haniebny nadużyto zaufania kilkudziesięciu tysięcy osób, które powierzyły Kasie zaoszczędzenia swoje, często-kroć zapracowane w krwawym pocie czoła.

Wiadomość o tym stanie rzeczy, stwierdzona autentycznie przez c. k. rząd ze współudziałem, jak zawsze energicznym i skutecznym p. marszałka krajowego, zaniepokoiła szerokie koła publiczności do tego stopnia, że od miesiąca przeszło ludność ciśnie się nieprzerwanie do kas instytucyj, a »run« przybrał rozmiary, którym na dłuższy czas nie zdoła się oprzeć Kasa, choćby fundowana jak najlepiej.

Trudno dziś powiedzieć, czy i jakie straty poniesie ostatecznie Kasa oszczędności. Z bilansu jej, dołączonego do sprawozdania wydziału krajowego, można powziąć pewne o tem zdanie, mniej lub więcej pesymistyczne; a przedsiębiorstwo naftowe, mające stanowić jedyne źródło pokrycia

dla pretensyj kilkumilionowych, nie zdaje się rokować zbyt wiele nadziei. Ale nie o to idzie w tej chwili. Gdyby bowiem nawet znalazł się ktoś z gotowością pokrycia natychmiastowego straty, obliczonej choćby jak najpesymistyczniej, to prawdopodobnie nie przyczyniłby się do uzdrowienia Kasy, bo do tego potrzeba przede wszystkim uspokojenia publiczności, zaniepokojonej słusznie bezprzykładnymi nadużyciami administracji dotychczasowej.

Tylko w takim razie można z pewnem prawdopodobieństwem oczekiwać korzystnej zmiany w psychologicznym stanie publiczności, jeżeliby osoba, zasługująca stanowiskiem swoim na zaufanie bezwzględne, przyjęła porękę za całość wkładek i zarazem zabezpieczyła właścicieli tych wkładek raz na zawsze od przywrócenia do steru administracji równie niedołężnej i niesumiennej, jak dotychczasowa. Takie gwarancje zaś może z natury rzeczy dać tylko korporacja tej miary, co państwo, kraj lub ewentualnie gmina stołeczna.

Możnaby nie bez podstawy wymagać od rządu wdrożenia takiej akcji. Paragraf 57 statutów dotychczasowych określa tak dokładnie prawa i obowiązki komisarza nadzorującego, że gdyby przepisy te były wykonywane ściśle, nadużycia oplakania godne nie byłyby się mogły wcale wydarzyć. Komisya też nie wątpi wcale, że c. k. rząd będzie się poczuwał do obowiązku popierania akcji, wdrożonej przez Sejm krajowy. Natomiast trudno nam domagać się wprost od rządu takiej akcji, któraby podnieciła jeszcze bardziej wrogą krajowi naszemu opinię innych krajów monarchii; trudnoby też było przeprowadzić taką akcję, do którejby potrzeba ustaw państwowych, w czasie trudnych przesilen parlamentarnych.

Gmina miasta Lwowa, a raczej jej mieszkańcy korzystają niezawodnie w znacznej części z użyteczności istnienia Kasy oszczędności; gmina ta zażywa nadto dobrej sławy pod względem gospodarki swej finansowej. Ale środki Lwowa są zanadto zaangażowane dla potrzeb i interesów miejskich, a przytem i same w sobie nie są dość znaczne, aby gwarancja gminna za kapitał około 30 milionów złr. mogła, zwłaszcza w czasach zwątpienia dzisiejszego, odnieść skutek pożądany.

Nie pozostaje zatem nic innego, jak akcja kraju, który bez tego odczuwa już stan dzisiejszy, a w wyższym jeszcze stopniu musiałby odczuć upadek Kasy oszczędności we wszystkich dziedzinach gospodarstwa krajowego. W przesileniu Kasy oszczędności narażonym jest przede wszystkim interes kilkudziesięciu tysięcy właścicieli wkładek z najrozmaitszych okolic kraju; niewypłacalność książeczek spowodowałaby gwałtowne ich rzucenie na targ, na pastwę niesumieńczych lichwiarzy i zabiłaby na dłuższy czas ducha oszczędności w całym kraju. Z pomiędzy dłużników Kasy oszczędności ucierpiałoby w razie jej upadku najbardziej właściciele nieruchomości, a częste przymusowe sprzedaże tych nieruchomości spowodowałyby spadek ich wartości w całym kraju lub przynajmniej wskutek niezbędnych konwersyj spadek kursów listów zastawnych. Straty stowarzyszeń, banków, kupców i rzemieślników, spowodowane likwidacją wierzytelności Kasy oszczędności mogłyby wywołać upadek licznych, pożytecznych instytucyj finansowych w kraju, choćby były zresztą sytuowane dobrze i administrowane wzorowo. Świadczy o tem bardzo wymownie wniesiona w dniu wczorajszym petycja związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych we Lwowie.

Do tego niebezpieczeństwa powszechnego w kraju przesilenia ekonomicznego, przybywają jeszcze względy natury politycznej. Wszak niesłychane zajścia w jednej z pierwszych instytucyj kraju, wywołały już po za granicami jego najnieprzychylniejsze ocenienie wszystkich naszych stosunków i urzędzeń.

Kraj więc, interesowany w zapobieżeniu grożących mu niebezpieczeństw ekonomicznych, ma zarazem obowiązek moralny dowieść czynem energicznym, że umie się ująć za honorem narodowym choćby z ofiarami ciężkimi. Przytem zaś tylko taka ofiarność całego kraju z jego siłą podatkową i kredytową, zdoła prawdopodobnie osiągnąć pożądaną skutek psychologiczny, to jest wzbudzić na nowo zaufanie u publiczności i powstrzymać «run» nieszczęsny.

Jakkolwiek przeto osiągnięcie tego skutku nie da się z góry zabezpieczyć i jakkolwiek ofiara finansowa kraju jest wobec stanu Kasy oszczędności jeżeli nie konieczna zbyt

znaczną, to przynajmniej nieokreśloną, to jednak — i to właśnie wyraża całą wielkość tej ofiary — mimo tej niepewności w obu kierunkach, kraj musi przyjąć na barki swoje ten ciężki obowiązek. Gdyby zaś niektóre koła miały żywić obawę, by z tej ofiarności nie wynikł jakiś precedens na przyszłość, to nie zawadzi już teraz z jednej strony wyrazić nadzieję, że zajścia w Kasie oszczędności były tylko wyjątkowymi, z drugiej zaś strony zaznaczyć, że jeżeli kraj zajmuje się ofiarnie losem największej Kasy, założonej w stolicy ongi za inicjatywą stanów, to jest ówczesnej reprezentacji kraju, to z tego nie wolno żadnej instytucji innej liczyć na podobne poparcie, gdyby ją administracja popchnąć miała w nieszczęście, podobne do nieszczęścia Kasy oszczędności lwowskiej.

Z takiego wychodząc stanowiska, wydział krajowy proponuje przyjęcie gwarancyi kraju za wkładki aż do wysokości 30 milionów złr. i aż do czasu wzrostu funduszu rezerwowego do 10 procent wkładek.

Komisya budżetowa zgodziła się na myśl wydziału krajowego i postanowiła zalecić jej przyjęcie wys. Sejmowi. Wprawdzie mniejszość komisyi przemawiała w pierwszym rzędzie za bezpośredniem przejęciem Kasy oszczędności na własność kraju, większość jednak nie może doradzać tego wys. Sejmowi; aczkolwiek bowiem zasada przejścia na kraj znalazła zwolenników u przeważnej części członków komisyi, to przecież jej przeprowadzenie wymagałoby pertraktacyj tak rozwlekłych, że niezbędna dziś pomoc jak najszybsza, zostałaby udaremnioną. Komisya wątpi zresztą, czy przejęcie natchmiastowe Kasy oszczędności na kraj, zjednałoby sobie już teraz tak łatwo większość wys. Sejmu, kiedy gwarancya kraju w połączeniu z nieograniczonym wpływem jego na zarząd Kasy oszczędności, stanowi w gruncie rzeczy już jakby objęcie na własność kraju, której formalne przeprowadzenie można pozostawić decyzji wys. Sejmu późniejszej.

Proponując przeto przyjęcie myśli Wydziału krajowego, komisya wnosi niektóre jeszcze poprawki do przedłożenia wydziału krajowego.

Przedewszystkiem sądzi komisya, że jeżeli już w celu ograniczenia gwarancyi kraju do pewnej wysokości, ma być

wymienione w uchwale *maximum* wkładek, należy sumę odnośną podnieść z 30 do 35 milionów złr. Do niedawna mianowicie wkładki wynosiły 33 milionów złr., a tylko z powodu runu spadły niżej 30 milionów. Jeżeli więc żywimy nadzieję, że gwarancya kraju wzbudzi dawne do Kasy zaufanie, to musimy też wierzyć, że wkładki wzrosną po nad 30 milionów złr., kiedy przyjęcie granicy 30 milionów złr. musiałoby u publiczności wywołać podejrzenie, że sam wys. Sejm nie wierzy w skuteczność swej akcji i w powrót Kasy oszczędności do pierwotnej jej świetności.

Statuty Kasy oszczędności będą musiały doznać kilku zmian doniosłych. Że rząd przez usta namiestnika zastrzegł sobie wobec komisji swobodę wszelakich zmian w kierunku zapewnienia jak najintensywniejszej kontroli, to rzecz równie słuszną, jak pożądaną dla kraju i ustanowionej z jego ramienia administracji. Natomiast wypada ze stanowiska kraju, przyjmującego gwarancyę na siebie, odmienne określić granice dla interesów Kasy oszczędności, aniżeli to czyni przedłożenie Wydziału krajowego.

Najprzód należy z uwagi na smutne doświadczenia w Kasie oszczędności lwowskiej i na naturę Kas oszczędności wogóle, zabronić z góry wszelkiego kredytu w rachunku bieżącym, gdyż on unieruchomia fundsze Kasy i utrudnia kontrolę nad zarządem. Powtóre wypada co do ograniczenia kredytu wekslowego zadowolnić się wypowiedzeniem ogólnej zasady, a bliższe jej przeprowadzenie pozostawić przyszłemu statutowi. W końcu należy wypowiedzieć przynajmniej w zasadzie przekonanie, że kredyt hipoteczny, sam przez się bezpieczny, ale nieuruchamiający gotówkę, powinien być w nowym statucie ograniczonym do pewnego *maximum*, a zakupno papierów pupilarnych, które daje Kasie i procent stosowny i łatwość natychmiastowego zaopatrzenia się w gotówkę, powinno być w nowym statucie obowiązkowem do pewnego *minimum*. Wysokość lombardu papierów publicznych powinaby być wolną od wszelkich dalszych ograniczeń.

Takie zmiany statutów zapewniłyby Kasie oszczędności w przyszłości i lepszą lokacyę funduszków i większą ich płynność; rozumie się zresztą samo przez się, iż takie przepisy

nowych statutów nie mogą natychmiast wejść w życie, przeciwnie winien nowy statut zawierać przepisy przejściowe, uwzględniające dzisiejszy stan Kasy oszczędności.

W końcu poczyniła komisya niejaki zmiany we wnioskach, odnoszących się do nominacyi dyrektorów Kasy, jej buchaltera i syndyka. Nie chcąc mianowicie tych szczególnie wyjątkowych nominacyj czynić zawisłemi od wyniku przypadkowego czasem głosowania ciała obradującego, jakim jest Wydział krajowy, komisya pragnie oddać tę czynność w ręce osoby fizycznej to jest marszałka każdorazowego, który zasięgnąwszy zdania Wydziału krajowego, zdoła niezawodnie bezstronnie ocenić wnioski wydziału Kasy.

Z tych wszystkich powodów i z takimi zmianami komisya stawia swoje wnioski. (*Czas* Nr 48 z 1899 r.).

Dalszy ciąg szóstego posiedzenia otworzył marszałek krajowy Stan. hr. Badeni o godz. 8 min. 30 wieczór.

Izba przystępuje do rozprawy szczegółowej nad sprawozdaniem komisyi budżetowej o przedłożeniu wydziału kraj. w przedmiocie udzielenia poręki kraju za wkładki w galic. Kasie oszczędności we Lwowie. Sprawozdawca p. Biliński. Wnioski komisyi opiewają: Sejm poweźmie następujące uchwały:

Uchwała A. Art. I. Kraj król. Galicyi i Lodomerji z Wielkiem Księstwem Krakowskiem przyjmuje porękę za wkładki w gal. Kasie oszczędności, a mianowicie poręcza posiadaczom książeczek wkładowych galic. Kasy oszczędności oprocentowanie, odpowiadające statutom Kasy i wypłatę kapitału. Art. II. Poręka ta wchodzi w życie z chwilą zatwierdzenia przez rząd tych zmian statutów Kasy, jakie Wydział krajowy uzna za potrzebne w interesie zabezpieczenia funduszu krajowego. Art. III. Skoro fundusz rezerwowy galic. Kasy oszczędności we Lwowie, ulokowany w papierach, pupilarne bezpieczeństwo mających, osiągnie wysokość 10% kapitału wkładowego, może Sejm krajowy uchwalić, że porękę, określoną w Art. I., uznaje za wygasłą. Art. IV. Jak długo trwa gwarancya kraju w Art. I. określona, nie może stan kapitałów wkładowych, w gal. Kasie oszczędności ulokowanych, przewyższać sumy 35 milionów złr.

Suma ta może być podwyższoną tylko na podstawie uchwały Sejmu krajowego.

Uchwała B. Sejm poleca Wydziałowi krajowemu, aby zażądał od Towarzystwa galic. Kasy oszczędności przeprowadzenia zmiany statutów Kasy, w myśl następujących postanowień zasadniczych: a) wydział galic. Kasy oszczędności we Lwowie (§ 46 statutów) składać się będzie z 12 członków, z których 8 wybiera Sejm na propozycję Wydziału krajowego, bądź to z grona członków Towarzystwa Kasy, bądź z poza grona tegoż towarzystwa. b) Dyrekcyja galic. Kasy oszczędności składać się będzie z dwóch lub trzech dyrektorów płatnych, mianowanych przez marszałka krajowego na propozycję wydziału kasy i po wysłuchaniu Wydziału krajowego. Zastępstwo któregośkolwiek z dyrektorów zarządza marszałek krajowy z pośród członków wydziału Kasy. Naczelnego buchaltera i syndyka Kasy mianuje marszałek krajowy na wniosek wydziału Kasy po wysłuchaniu Wydziału krajowego. Marszałek krajowy nie jest związany wnioskami wydziału Kasy. c) Kredyt na rachunek, bieżący jest wzbroniony. Pożyczki hipoteczne mogą być udzielane tylko do połowy wartości nieruchomości.

Dla pożyczek hipotecznych i dla eskontu weksli będzie w statutach ustanowionem pewne *maximum*, dla zakupu papierów pupilarnych pewne *minimum* w stosunku procentowym do sumy wkładek.

d) Wszelka zmiana statutów, tudzież regulaminów i instrukcyj nastąpić może tylko za zgodą Wydziału krajowego i winna być podaną do wiadomości Sejmu.

e) Coroczne zamknięcie rachunków i bilans przedkładać będzie Kasa Sejmowi za pośrednictwem Wydziału krajowego.

Ostateczne absolutorium ze zamknięcia rachunków uchwala Sejm na wniosek Wydziału krajowego.

f) Dopóki fundusz rezerwowy, po strąceniu wartości własnego gmachu Kasy, nie dosięgnie przynajmniej 5 procent kapitału wkładowego, cały zysk coroczny wpływać ma do tegoż funduszu.

Gdy fundusz rezerwowy wynosić będzie przynajmniej 5 procent wkładek, wpływać ma przynajmniej połowa czy-

stego zysku do funduszu rezerwowego, druga zaś połowa może być za przyzwoleniem Sejmu użytą na cele dobroczynne i ogólnie pożyteczne.

Fundusz rezerwowy winien być lokowanym wyłącznie w papierach, mających bezpieczeństwo pupilarne; w razach potrzeby nadzwyczajnej mogą być te papiery lombardowane lub sprzedane.

g) Uchwała walnego zgromadzenia o rozwiązaniu Towarzystwa galic. Kasy oszczędności wymaga zatwierdzenia Sejmu na wniosek Wydziału krajowego.

h) Do zbadania zdolności kredytowej przy pożyczkach wekslowych ustanowieni być mają cenzorowie wekslowi.

i) Wszelkie postanowienia o ingerencji Sejmu i Wydziału krajowego pozostają w mocy tak długo, jak długo trwa gwarancja kraju.

Rezolucya I. Poleca się Wydziałowi krajowemu, aby wziął pod rozwagę kwestyę przejęcia galic. Kasy oszczędności na kraj, ewentualnie przeprowadził rokowania z rządem i z towarzystwem Kasy, a sprawozdanie w tym przedmiocie przedłożył Sejmowi.

Rezolucya II. Wzywa się rząd, by urządził jak najściślej nadzór nad Kasami oszczędności i określił szczegółowo obowiązki komisarzy rządowych.

Do uchwały A. art. I. zabrał głos p. Okuniewski, występując przeciw przyjmowaniu poręki za wkładki oszczędności, i oświadczył, że niema racji żadnej, aby chłopci płacili za cudze winy. Kiedy w Krakowie zdarzył się podobny wypadek, wówczas sami członkowie towarzystwa pokryli straty i Kraków nie apelował do kraju. Niebezpieczeństwo z udzielenia gwarancji nie da się obliczyć; kraj podpisuje weksel na 35 milionów, a obejmuje aktywa tak niepewne, jakimi są przedsiębiorstwa naftowe. Mowca oświadcza w końcu, że Rusini odnosili się zawsze z dziecinną lojalnością do dynastji i Austrii, tak bowiem uczył ich hr. Badeni, a czynili to z pominięciem własnego narodowego interesu.

P. Abrahamowicz nie uważa za odpowiednie i właściwe polemizować z posłem Okuniewskim, który nie pomija żadnej sposobności, aby w parlamencie zohydzać naszą narodowość przed obcymi. (Oklaski). Mowca chce tylko

sprostować niektóre twierdzenia p. Okuniewskiego, które mogłyby wywołać zaniepokojenie. Powiedział p. Okuniewski, że wszystkie straty zapłacą włościanie, a mowca pyta, czy w danym razie nie płaciłyby miasta i większe własności? P. Okuniewski miał zatem na celu, swem przemówieniem wywołać rozdzwięk między pojedynczymi warstwami społecznymi; mowa jego miała cel agitacyjny. Powiedział on, co się stanie, gdy kraj przyjmie gwarancję, mowca chce zaś podnieść to, co się stanie, gdy kraj gwarancyi nie uchwali. Nie ulega wątpliwości, gdyby kraj gwarancyi nie udzielił, run w Kasie oszczędności się wzmoże, i towarzystwa zaliczkowe oraz Kasy oszczędności prowincjonalne nie otrzymają kredytu, z którego korzysta w znacznej mierze ludność wiejska i rzemieślnicza.

Mowca kończy oświadczeniem, iż p. Okuniewskiemu chodziło widocznie o zyskanie zaufania swych wyborców, choćby działał się to kosztem oskarżania drugich, co on często robi. (Oklaski).

P. Wachnianin zastrzega się stanowczo imieniem wszystkich posłów ruskich przeciw enuncyacji p. Okuniewskiego, iż Rusini są tylko z obowiązku lojalni dla dynastji. Mowca musi zaprotestować przeciw temu dosadnie i oświadcza, że wszyscy posłowie ruscy sejmowi są lojalni z wdzięczności, z wyjątkiem p. Okuniewskiego, który zresztą sam nawet dawniej żywił inne uczucia i dawał im wyraz. (Huczne oklaski).

Sprawozdawca p. Biliński polemizował z cyfrowymi wywodami p. Okuniewskiego, zresztą przyłączył się mowca do uwag poczynionych przez pp. Abrahamowicza i Wachnianina.

Izba uchwaliła następnie bez rozprawy projekt uchwały A) art. I, II, III i IV.

Przeciw głosowali tylko pp. Okuniewski, Nowakowski i Ostapczuk. Przy projekcie uchwały B) pod lit. a) zabrał głos p. Bojko, domagając się, aby ośmiu członków wydziału Kasy oszczędności wybierał Sejm kurjami, a to po dwóch każda kurya, zaś dwóch cały Sejm.

P. Hamorak poparł wniosek p. Bojki, czyniąc dodatek, ażeby wybory odbywały się z uwzględnieniem obu narodowości.

P. Rotter poparł poprawkę p. Bojki.

Sprawozdawca p. Biliński sprzeciwia się poprawce p. Bojki, zwracając uwagę, iż w Kasie oszczędności nie chodzi o rzeczy polityczne, ale ekonomiczne. Chodzi tutaj o wybór ludzi, którzyby posiadali potrzebną kwalifikację do sprawowania funkcji członków Wydziału Kasy. — Wszak do Banku krajowego wybiera Sejm członków rady nadzorczej, a przecież nie wybiera się ich kuryami.

W głosowaniu odrzucono poprawkę p. Bojki znaczną większością głosów. Za poprawką tą głosowali ludowcy, Związek chłopski, Rusini i demokraci. Następnie uchwalono punkty a) projektu uchwały B) według wniosku komisji.

Do punktu b) projektu uchwały B. zabrał głos poseł Wójcik, stawiając poprawkę, aby dyrektorów Kasy, oraz naczelnego buchaltera i syndyka mianował nie marszałek krajowy, ale Wydział krajowy.

Posł Abrahamowicz twierdzi, że zastrzeganie prawa nominacji dyrektorów dla Wydziału krajowego niema żadnego związku ze statutem krajowym, gdyż Kasa oszczędności nie wchodzi wcale w zakres administracji krajowej. Pod względem organizacji zarząd Kasy pozostaje takim, jakim dotąd był, i Kasa pozostanie instytucją samodzielną. Tylko co do sposobu obsadzenia posad dyrektorów następuje zmiana, w celu dania wzajemnej gwarancji dla kraju, że kredyt, udzielany przezeń Kasie, nie będzie naruszony. Marszałek będzie w tej czynności pełnomocnikiem Sejmu.

Posł Rotter popiera poprawkę posła Wójcika, zastrzega się jednak przeciw temu, jakoby nie miał do obecnego marszałka krajowego zupełnego zaufania, uważa jednak, że funkcje te należą do Wydziału krajowego. Mowca podnosi, że sprawozdawca obdarzył wprawdzie na porannem posiedzeniu Wydział krajowy zaufaniem, ale szersza publiczność może dopatrywać się w tem usunięciu Wydziału od agend, jemu przynależnych, czegoś przeciwnego.

Posł Vayhinger ponownie domaga się, aby Wydział krajowy dokonywał nominacji dyrektorów, buchaltera i syndyka Kasy oszczędności, gdyż to statutowo należy do Wydziału. Mowca oświadcza jednak, że wyniku głosowania nie będzie Wydział krajowy uważał jako kwestyi zaufania.

Sprawozdawca poseł Biliński podnosi, że marszałek jest reprezentantem Wydziału krajowego na zewnątrz; jest przecież mianowany z grona Sejmu i to z jego większości. Marszałek jest częścią składową Wydziału krajowego, zatem poruczenie mu funkcji mianowania urzędników Kasy jest wskazaniem. Jeżeli p. Rotter zapytywał jak publiczność na to będzie się zapatrywać, mówca nie może dać pewnej informacji, ale słyszał, jak wiele osób, dowiedziawszy się, że marszałkowi poruczono prawo nominacji, powiedziało: chwała Bogu, bo będzie raz porządek.

W głosowaniu przyjęto ustęp b) zgodnie z wnioskiem komisji.

Również uchwalono bez dyskusji dalsze punkta aż do punktu e).

Przy punkcie f) p. Wodzicki domagał się wyjaśnienia od sprawozdawcy, w jakich »razach nadzwyczajnej potrzeby« mogą być papiery funduszu rezerwowego lombardowane lub sprzedane; czy tylko w wypadku wycofywania wkładek?

Sprawozdawca p. Biliński oświadczył, iż tylko w ten sposób te słowa rozumie, poczem punkty f), g), h) uchwalono. Do punktu i) oznajmia sprawozdawca, iż punkt ten ma opiewać:

»Wszelkie postanowienia o ingerencji Sejmu, marszałka krajowego i wydziału krajowego pozostają w mocy tak długo, jak długo trwa gwarancya kraju«.

Punkt ten oraz obie rezolucye uchwalono bez rozprawy.

Przed przystąpieniem do trzeciego czytania oświadczyli pp. Bernadzikowski i Niebyłowiec, iż z powodu, że nie uwzględniono życzeń Rusinów i ludowców, głosować będą te stronnictwa przeciw gwarancyi.

Izba uchwalała w trzeciem czytaniu gwarancyę kraju znaczną większością głosów.

Następnie uchwalono jeszcze dodatkową następującą rezolucyę p. Żardeckiego:

Poleca się Wydziałowi krajowemu, by przy zmianie statutu Kasy oszczędności domagał się od Towarzystwa zamieszczenia w statucie tego rodzaju postanowienia, któreby dawało zupełną gwarancyę, że w tej instytucyi nasze rol-

nictwo, rękodzieła, przemysł i handel, bezpośrednio lub za pośrednictwem spółek gospodarczych i zarobkowych, kas zalickowych, kas systemu Reiffeisena i t. d., będą miały zabezpieczony dogodny i obfity kredyt.

Natomiast odrzucono rezolucję posła Kramarczyka tej treści: Wzywa się rząd do jak najenergiczniejszego postępowania celem wykrycia winnych i pociągnięcia do najsurowszej odpowiedzialności moralnej i materyjalnej te osoby, którym bezpośredni nadzór nad Kasą oszczędności w czasie popełnionych nadużyć był poruczony (*Czas* Nr. 49 1899 r.).

W dyskusyi nad nieszczęsną tą sprawą zabierał także w Sejmie głos hr. Stanisław Tarnowski, prezes krakowskiej akademii umiejętności. Mowę jego podaję tu w całości podług *Nr. 50 Czasu*, zasługuje ona bowiem na to, że względu na wybitne stanowisko tegoż posła, zarówno w kraju i literaturze, jak w konserwatywnem galicyjskiem stronnictwie. Brzmi ona jak następuje:

Gdyby ci, co zasiadali w tym Sejmie 30 lat temu, wrócili na ziemię i usłyszeli, o czem my tu radzimy, nie mogliby zrozumieć, nie mogliby uwierzyć, że to ten sam Sejm i ten sam kraj. Oni myśleli, że po trzydziestu latach życia politycznego ten kraj polski będzie miał siłę i znaczenie w państwie, że wyjątrzą się te jady społecznych zawiści, które były chorobą chroniczną, a chwilami gwałtowną — że zdolnością rządzenia sobą, harmonią i równowagą społeczną, dobrobytem ekonomicznym, będzie zdobywał podziw obcych, a chwałę dla swoich.

To była rola i powinność, tej części Polski, która jedna miała sposobność politycznego, a swobodę narodowego życia.

Dziś? — wypadki, które zachwiały wewnętrzną równowagę monarchii, zachwiały i nasze w niej znaczenie. Wewnętrzna jedność i harmonia okazała się złudzeniem, skoro nawet posłowie polscy w Wiedniu nie wszyscy poczuwają się do jej obowiązku. Społeczny ład jak silnie ugruntowany,

to pokazały rozruchy, podniecone jakimś podmuchem wiatru nie wiedzieć z kąd. Nie świetny rezultat trzydziestoletnich starań. — Ale na to nasi poprzednicy byłiby smutni, lecz wyrozumieli. Niepowodzenia, nawet błędy w polityce, to rzecz ludzka, a nie zawsze вина. Ferment społeczny jest zjawiskiem powszechnem; jak cholera lub inna zaraźliwa choroba dostał się i do nas. Ale coby oni powiedzieli, gdyby usłyszeli, że my tu radzimy o nadużyciach pieniężnych? Jak naprawić szkodę, jaką majątek kraju może ponieść, a sława kraju poniosła przez tego rodzaju sprawy? — Coby rzekł Zybkiewicz, Grocholski, Potoccy, Sapieha, Krzczunowicz, Baum, Kraiński — każdy z nich »wróciłby na swój cmentarz i w grób się położył.«

Ze wszystkich narodowych nieszczęść najboleśniejszym jest wstyd. A my dziś mamy wstyd. — Instytucja półwieczna, długo wzorowo prowadzona, obdarzona powszechnem i to słusznem zaufaniem, okazuje się niepewną, nieuczciwą. Jej dyrektor urzędujący rozdaje miliony na bezpieczeństwo wątpliwe, jej dyrektorowie patrzą na to obojętnie lub przez szpary, rząd, który ma dozór, nie wykonywa tego dozoru. Nie wchodzę w szczegóły. Nie pytam, czy prawda o przywileju na becзки, o starych gazetach, złożonych na zastaw, jako walory, o kartkach, wydartych z książki depozytów, o wekslach bez podpisów — w tych szczegółach grzebać nieprzyjemnie, a choćby ich nie było, to wystarcza fakt główny. — Miliony, pożyczone jednemu człowiekowi, ubezpieczone niby na przedsiębiorstwie z natury swojej niepewnem. I to nie tak, żeby jedna suma była dana w jednej chwili jakiegoś szafu — nie, to się działo długo, systematycznie, przez lata.

Mówią nam, że to nie pierwszy taki wypadek. Tem gorzej. Prawda, że nie pierwszy. Nieuczciwość pieniężna rośnie i szerzy się jak zaraza. — Ludzie prywatni podrabiają weksle, kasyerowie okradają kasy — a przeniewierstwo tego człowieka, którego imienia nie chcę wymówić przez uszanowanie dla jego nieszczęśliwej rodziny, było rzeczą straszną. Jednak nie tak straszną. Tam jeden człowiek brał — inni zawinili niedozorem tylko. Tu była wielka i długotrwała spółka dających i biorących, tu wiedzieli, a podobno po części korzystali urzę-

dnicy, których milczenie trzeba było okupywać. Tu współwina, choć biarna, niedozoru, spada na wiele głów i czynników. Tu wreszcie wina większa, nie dlatego, że suma większa, ale że nadużycie publiczne zaufania trafiało właśnie w zaoszczędzony grosz ubogiego. — A im więcej szacunku i zaufania miała instytucja, mieli ludzie, którzy nią zarządzili, tem większa ich wina, tem większe nasze nieszczęście i wstyd.

Obcy mówią i piszą, że jesteśmy narodem bez pojęcia i poczucia prawa, że mamy u siebie małą Panamę, a my nie możemy powiedzieć nieprawda. Mówią, że *polnische Wirtschaft* jest nie tylko nieporządna, ale nieuczciwa, a my na to nie możemy odpowiedzieć: nieprawda. Nie możemy powiedzieć: nieprawda! — bo nam bryzną w oczy Kasą oszczędności. Jeżeli oni myślą i pytają, czy nie tak samo dzieje się w naszym Towarzystwie kredytowym, w naszych Bankach etc. — my nie mamy prawa nic się dziwić. Kiedy mówią, że nam nie można wierzyć, ufać, wchodzić z nami w interesa, kupować nasze walory, my nie możemy odpowiedzieć, że to potwarze bez podstawy — bo Kasa oszczędności... I to o nas mówią z urąganiem Niemcy i Moskale, a my — my cośmy za całą Polskę i dla całej Polski mieli dać próbę i przykład wzorowego rządzenia sobą i niepokalaną czcią, my musimy milczeć, oczy spuszczać i rumienić się ze wstydu.

Ten rodzaj boleści jest dla nas nowy. Złodzieje i oszuści byli zawsze, ale to byli tylko ludzie. Instytucje, powierzone wierze publicznej, te były dotąd nieposzlakowane. Nie było nadużyć pieniężnych ani za Księstwa Warszawskiego, ani za Królestwa, ani za czasów emigracyjnych, ani później. Nie wiem o żadnej instytucji finansowej polskiej, któraby się była splamiła. Naszemu schyłkowi wieku i naszej części Polski przypada ta chwała i zasługa, że dopisały tę kartę do naszych porozbiorowych dziejów.

Dziś co my robimy?

Gwarantujemy 35 milionów, dlatego, żeby ci, którym Kasa oszczędności jest winna, i ci, którzy jej są winni, nie stracili swego mienia. Czy mamy jaki obowiązek, jaką w tej sprawie winę. Nie. Kraj, Sejm, Wydział krajowy nie miały nic do czynienia z Kasą oszczędności. Gwarantujemy 35 mi-

lionów, kiedy mamy już tych poręczeń tyle, że kredyt kraju wiele więcej znieść nie może. Gwarantujemy 35 milionów, a na najpotrzebniejsze wydatki i nakłady pieniędzy nie mamy. Gwarantujemy 35 milionów a tego nawet nie wiemy, czy ten dziś wiadomy deficyt będzie pokryty, na czym zabezpieczony. Na nafcie? Nafta jest loteryą — dziś płynie złotem, jak Paktol, a jutro, czy za pół roku, może wyschnąć, jak prosta kałuża. I my w naszym stanie ekonomicznym w takich warunkach, my musimy gwarantować 35 milionów!

Dlaczego to musimy?

Dlatego, że kilku ludzi szafowało nieuczciwie cudzym groszem. Kraj musi przyjąć ten ciężar, to zobowiązanie, na Bóg wie jak długie lata, żeby ratować od zguby kilkadziesiąt tysięcy ludzi — ale musi dlatego, że ci panowie mieli śmiałość przedsiębiorstwa, że szeroko i hojnie prowadzili swoje interesy i że mieli życzliwą instytucję, która im hojnie dawała pożyczki, bez pewnego zabezpieczenia — z cudzych pieniędzy.

To jest w krótkich słowach stan rzeczy, to jest powód naszego przymusowego położenia, to jest dobrodziejstwo, które kraj ma do zawdzięczenia tym panom.

Czy niebezpieczeństwo strat materyalnych da się uniknąć, czy się deficyt wyrówna i kiedy, kiedy ta gwarancja będzie mogła ustać? Wszyscy nie wiemy — rzucamy się w to położenie po ciemku. Czy także i prędko kredyt kraju podniesie się z tej klęski, jaką dla niego jest ta sprawa? Znowu nie wiemy, a przypuszczać możemy, że nie prędko, niełatwo. Ale co pewna, że tej szkody, jaką ponieśliśmy na dobrej sławie, nie powetujemy także. I to w chwili, kiedy zawziętość nieprzyjaciół rzuca się na nas wścieklej, niż kiedy, my dajemy jej tę pastwę, tę rozkosz, ten tryumf.

Może dobrze, że ta sprawa toczy się w tych dniach Wielkiego postu, kiedy sam kalendarz przypomina żywiej, niż zwykle, że każdą boleść trzeba znieść, a nigdy nikomu nie złorzeczyć. W naszym postępie zbliżyliśmy się do krajów najbardziej postępowych i obok francuskiej Panamy i włoskiego Panamino może się dziś mówić o Panamie galicyjsko-polskiej! Przez co doszliśmy do tej chwały? Przez to, co i tamci. Gdyby dawno, za cesarstwa jeszcze, mniej było po-błażania dla brudnych operacji i spekulacji giełdowych i dla

ludzi, którzy przez nie doszli do bogactwa; gdyby dalej mniej tych ludzi, co życie polityczne z jego wpływami uważali za wygodny środek do operowania i spekulowania, nie byłaby Francya miała Panamy. My pobbłażaliśmy sobie wiele i tem pobbłażaniem obniżyliśmy nasz poziom moralny, stępi liśmy w sobie zmysł uczciwości i honoru.

Przywykliśmy nieszczęściem do nieprawdy. — Karmi liśmy się nieprawdą o ludziach, o stosunkach, o sprawach, nawet lepsi z nas przestawali zbyt łatwo na tem, żeby u nas wszystko dobrze się wydawało, a mniej pytali i strzegli, czy istotnie dobrze było. — Folgowaliśmy i pobbłażali nieuczciwościom w słowie, w piśmie, w działaniu politycznem: nie dziwmy się nieuczciwościom pieniężnym i nieprawdom w rachunkach. Jedno idzie za drugim, a w złem zachodzi społeczeństwo jak człowiek, nieraz dalej niż zrazu myślał i zamierzał. Gdyby nasza opinia była od lat czujniejszą, śmielszą, surowszą, nie stałaby dziś z załamanemi rękami nad polską Panamą. Ale pozwałała na tak wiele, tak wiele uchodziło, że jaki taki ośmielony tem pobbłażaniem mówił sobie w końcu, że ujdzie wszystko.

Otóż o to chodzi, żeby nie wszystko uchodziło i uszło. Chodzi o to, żeby nieuczciwość i niesława ludzi była ich własną, i na nich spadała, nie na kraj, nie na naród. Społeczeństwo, które ma pośród siebie nieczystości, samo może być czystem. Dopiero, kiedy tę nieczystość stara się zakryć i uniewinnić, kiedy ją zmniejsza, wymawia, stara się wyprać zamiast się jej wyprzeć, wtedy do niej się zbliża, z nią się solidaryzuje, i od niej się plami. Przysłowie mówi: »ręka rękę myje« — ale czasem także ręka rękę bruka, kiedy czysta bierze zbrukaną, czy nie widzi jej brudu na prawdę, czy tylko udaje. Aż dotąd nieszczęście jest nasze, uszczerbek sławy jest nasz, ale plama nie jest nasza. Stałaby się taką gdybyśmy ją zakrywać chcieli. Na to szczęściem zaradziła ta dyskusya. Sejm, przez jego usta kraj i naród, odepchnął, odrzucił od siebie, wyparł się nieuczciwości, osądził ją i potępił. Dobrze zrobił. Inaczej ta sromota byłaby rzuciła swój cień na nas wszystkich. A choć to był człowiek nie postępowy, miał słuszność ten, co nas przestrzegał, że »niezmar twychwstaje się z pod sromu«.

Kraj, który się znalazł w tem położeniu tragicznem, że wbrew logice i słuszności zdobył się na taką ofiarę, miał zato jedno prawo, a potem jedną powinność. Prawo wykrycia i dowiedzenia się prawdy: całej, zupełnej prawdy o tej sprawie. Kto winien, w jakiej mierze, gdzie się te miliony podziały, na co były użyte — to wszystko winno być podane do wiadomości kraju, i na to on liczy. A powinność? Powinnością było osądzenie i potępienie tego, co się stało. Dla naszej dobrej sławy, dla otuchy i podniesienia ludzi porządných, dla przestrogi tym, którzyby nieporządnymi być chcieli. W dawnych kodeksach karnych była kara piętnowania rozpalonem żelazem fałszerzy monety i potwarców. W dzisiejszym go niema, ale choć bez żelaza, piętnowanie należy się za fałszowanie rachunków. I na to ta dyskusya była potrzebna. Po niej możemy sobie powiedzieć, że cokolwiek kraj w tej sprawie stracił, to stracił dużo, ale *hors l'honneur*, możemy mieć jeszcze nadzieję, że Sejm polski nigdy więcej nie będzie słyszał i radził o nieuczciwościach pieniężnych.

W dyskusyi tej, jak się dowiadujemy z Nru 54 *Czasu* z r. b., brał również udział hr. Andrzej Potocki. Był on zasadniczo przeciwnym gwarancyi z obawy, że:

»przyszłość może nam przynieść straty nawet przy najlepszej administracyi Kasy. A może to nastąpić przy spadku cen i wartości nieruchomości, na które Kasa hipotecznie ulokowała przeszło 20 milionów złr. Dziś ceny nieruchomości są nienaturalnie wyśrubowane«...

»Przyznam się« — mówił on — »że od początku niektóre zasadnicze względy przemawiały przeciw temu sposobowi załatwienia sprawy. Najprzód wzgląd moralny: Oto ta Kasa, która się stała powodem wstydu dla kraju i narażiła na straty tyle tysięcy ludzi, ma się odtąd stać uprzywilejowaną, ma zająć stanowisko moralnie korzystniejsze nad innemi Kasami oszczędności; to nazwisko, na którem plama zostanie przez długi czas, nie zostanie wykreślone, ta Kasa dalej istnieć będzie«.

»Drugi względ zasadniczy przeciwko gwarancyi był, że się boję wytworzenia precedensu«... »Miałem więc myśl do przeprowadzenia sanacyi, a mianowicie przyjęcia Kasy na własność kraju...« »A gdy już przyszło odstąpić od tej pierwotnej myśli, to dążyć należy, aby ten drugi sposób sanacyi, a mianowicie gwarancję, uczynić zawisłą od jak największego wpływu kraju na Kasę«...

Pod koniec swej mowy powiada hr. A. Potocki, że :

»Kraj chce i musi wiedzieć, gdzie się pieniądze podziały i czy pod pokrywką nazwisk ludzi, którzy nam byli zawsze sympatyczni i o których ja przynajmniej zachowałem to samo wyobrażenie, które o nich miałem dawniej, mianowicie, że są lekkomyślni, lecz idealne mają poglądy i wielką miłość kraju, czy pod płaszczem tych ludzi nie działały się nadużycia, które przyczyniły się do upadku Kasy«...

Widzimy, że podług sprawozdania *Czasu*, podczas całej dyskusyi nad uchwałą, zwalającą gwarancją za 35 milionów wkładek lwowskiej Kasy oszczędności na kieszenie niewinnej, pracującej, a i tak już ciężko opodatkowanej ludności, której najznacniejsza część w najmniejszych nawet z tą Kasą nie zostawała stósunkach, a może nawet o jej nie wiedziała istnieniu, jeden tylko głos odezwał się stanowczo przeciwko tej nieusprawiedliwionej gwarancyi, która zarówno drobne oszczędności maluczkich, jak wielkie sumy zamożnych assekuruje kosztem całej ludności Galicyi, a więc ludności, której większą część stanowią biedacy, nie mający najmniejszych oszczędności, a obciążeni podatkami, czy to tytułem własności półmorgi lub morgi gruntu, czy też jakiego drobnego warsztatu rzemieślniczego. Tym głosem była mowa posła Okuniewskiego. Z pewnością nie należę do tych, którzy sympatyzują z politycznemi i moralnemi ideałami posła Okuniewskiego, z pewnością nikt

więcej odemnie nie mógłby potępić końcowego ustępu tej mowy, kwestyonującej lojalność galicyjskich Rusinów względem dynastyi i Austrii. To jednak nie może uprawniać ani mnie, ani nikogo do lekceważenia zdania posła Okuniewskiego przy rozstrząsaniu sprawy samejże gwarancyi, a tem mniej powinno to uprawniać posłów polskich do wojowania przeciwko p. Okuniewskiemu naciąganemi argumentami, zasadzającemi się na przekręcaniu treści jego przemówienia. Kiedyż to nauczymy się wreszcie szanować prawdę nawet względem przeciwników? A nie waham się powiedzieć, że nawet więcej ją winniśmy względem nich szanować. Niestety dalekimi jesteśmy od tego ideału! Innego poparcia prawdy, innego świadectwa prawdzie, niezdolni jesteśmy dać naszym przeciwnikom i nieprzyjaciołom, my polscy konserwatyści, my reprezentanci katolickiej cywilizacyi w Słowiańszczyźnie, jak nieustannemi wysiłkami, by zabić ich milczeniem lub zamatować kłamstwem. Żąda hr. Stanisław Tarnowski całej prawdy, więc mu ją rzucę całą i niczem nieosłonią w oczy. Udajemy niewinnych baranków z Rusinami. Skarżymy się przy każdej sposobności na ich złość, przewrotność, wypominamy im nieustannie braterstwo z czartem i ze wszelką pychą jego i ze wszelką złością jego, a sami jak z nimi postępujemy? Weźcie w rękę na chybił trafił jakikolwiek numer *Czasu*, tego najpoważniejszego politycznego organu polskiego konserwatyzmu i spróbujcie poinformować się z niego o stanowisku ruskich posłów w Sejmie, spróbujcie na tej podstawie wyrobić sobie swój własny, sumienny, niezawisły sąd o ich postępowaniu, dążnościach itd. Dam konia z rzędem temu, kto np. z relacyi *Czasu* z dnia 28 marca b. r. dojdzie, jakie p. Okuniewski i p. Niebyłowiec zajęli stanowisko podczas sprawozda-

nia komisji szkolnej o szkołach średnich, wniesionego przez hr. Stanisława Tarnowskiego? Kto zrozumie, czego żądali ci panowie? Kto poważy się orzec z tej relacji, czy i o ile ich żądania były słusznymi? Dowie się on chyba tylko, że:

»W dyskusji zabierał głos p. Okuniewski i przytaczał rozmaite skargi ze stanowiska narodowości ruskiej«

dowie się chyba również, że:

»P. Niebysłowicz podniósł różne ruskie żale«.

W ten sposób traktuje najpoważniejszy organ konserwatystów polskich głosy przeciwników i to głosy ruskie, a więc głosy, związane ze sprawą, na tle której od 500 lat snuje się nić naszej historii, i to głosy, wypowiedziane w sprawie wychowania publicznego, a więc w sprawie, od której w znacznej części zawisła przyszłość naszego narodu.

Nie dziwota, że przy takim usposobieniu, konserwatywnej polskiej opinii publicznej, konserwatywny poseł Abrahamowicz nie krępuje się względem pana Okuniewskiego ani obowiązkiem prawdy, ani obowiązkiem zastanowienia się poważnego nad wyrażoną przez niego myślą. Przecież to poseł ruski i to poseł z nieprzyjaznego nam ruskiego obozu, dlaczegoż więc mielibyśmy się wstydzić, przekręcając sens jego słów i fałszywe na nich budując zarzuty i wnioski? Jak wiemy ze sprawozdania *Czasu*, p. Okuniewski powiedział:

»że nie ma racji żadnej, aby chłopci płacili za cudze winy«,

a powiedział to zupełnie słuszenie i powiedział zupełną prawdę, a nadto zupełnie jest rzeczą zrozumiałą, że

jako poseł włościański, wspomniał tylko o szkodzie, jaką gwarancya długów Kasy oszczędności może przynieść włościanom, zostawiając panom Romanowiczom, Weiglom i Sokołowskim obronę rzemieślników, profesorów i innych miejskich wyborców, a panom Tarnowskim, Abrahamowiczom i Potockim obronę kieszeni szlacheckiej i magnackiej. Jakie p. Abrahamowicz miał prawo w replice swojej kłaść w usta p. Okuniewskiego słowa: *»że wszystkie straty zapłacą włościanie?«* zostanie to niezawodnie tajemnicą taktyki konserwatywnego stronnictwa. Kto jednak w sądzie swoim nie kieruje się ani zawiścią do Rusinów, ani chęcią zaasekurowania niektórych konserwatywnych kieszeni przed osobistą odpowiedzialnością, a wszystkich sumień konserwatywnych przed odpowiedzialnością zbiorową za rozkład moralny galicyjskiego społeczeństwa, dlatego odpowiedź p. Abrahamowicza musi stać się jednym z najsilniejszych argumentów przeciwko gwarantowaniu przez Sejm wkładek Kasy oszczędności. Od pana Abrahamowicza bowiem dowiadujemy się, że lwowska Kasa oszczędności zasila swojemi funduszami Towarzystwa zaliczkowe, oraz Kasy oszczędności prowincjonalne! Znaczy to, że gwarancya Sejmu odnosi się nietylko do lwowskiej Kasy oszczędności, ale, że jest ona reasekuracją wszystkich mogących powstać w tychże prowincjonalnych Kasach defraudacyj i złodziejstw, powiem więcej, że jest ona prawie zachętą, daną do nich tymże zarządom prowincjonalnym, a grozy i niebezpieczeństwa nie zmniejsza bynajmniej, ale przeciwnie potęguje je powiedzenie hr. Andrzeja Potockiego, że

»Kasa oszczędności jest potrzebą kraju, a nie przedsiębiorstwem przemysłowem«.

Lekkomysłność, z jaką socjalistyczna ta uchwała Sejmu została powzięta, przechodzi wszelkie możliwe granice. Słyszeliśmy podczas rozpraw wiele pięknych frazesów o hańbie! o Panamie! o nieprawdzie! o po-błażliwości! o obradujących na cmentarzach niebosz-czykach, o konieczności przyjęcia ciężaru gwarancyi za 35 milionów złr. przez kraj, *ażeby ratować kilkadziesiąt tysięcy ludzi*», żeby zapobiedz skutkom nadużycia zau-fania, które *trafiało właśnie w zaoszczędzony grosz ubo-giego*», ale nikomu z komisji budżetowej, ani żadnemu z mowców nie przyszło na myśl objaśnienie Sejmu, wiele naprawdę jest w Kasie oszczędności tego za-oszczędzonego grosza ubogich? Nikt nie próbował nawet szukać sposobu do uratowania tego grosza ubogich, a pozostawienia swojemu losowi lokowanych w kasie kapitałów ludzi zamożnych i bogatych. Może być, że przy takich poszukiwaniach pokazałoby się, że suma tych rzeczywistych groszy ubogich nie przewyższa ma-jątków dwóch namiestników, a mianowicie hr. Kazi-mierza Badeniego i księcia Eustachego Sanguszki i ma-jątków członków rady nadzorczej, oraz majątków tych wszystkich radców i komisarzy Namiestnictwa, którzy mieli obowiązek namiestników informować o stósun-kach podległych im instytucji. Może być zresztą, że pokazałoby się było, że nie jest ona tak znaczną, by nie módz jej pokryć pewną nieznaczną dobrowolną ofiarą jednostek, czy to mających znaczniejsze wkłady w książeczkach Kasy oszczędności, czy też osób, nie mających styczności z tą Kasą, ale dbałych o honor kraju, o honor stronnictwa, z którego wyszli obydwaj namiestnicy i o przyszłość Sejmu, który stanął nad przepaścią ustawy równie niesprawiedliwej, jak socya-listycznej. Czy zupełnie z takiej samej racji nie powi-

nienby Sejm płacić aktorek, którymby odmówił pensyi niesumienny jaki dyrektor teatru, czy nie powinien płacić majątku wdów i sierot straconego w Monte-Carlo przez niesumiennego dłużnika? Tą drogą idąc, możemy w końcu dojść do uchwał sejmowych, zwracających posagi córek, przegrane w ruletę przez ich ojców.

Gdyby Sejmowi rzeczywiście było chodziło o uratowanie zaoszczędzonego grosza ubogich, to musiałby sobie w czasie obrad nad gwarancją koniecznie zadać pytanie:

1. Czy to luźne wyrażenie w sprawozdaniu Komisji budżetowej o *kilkudziesięciu tysiącach osób, które powierzyły Kasie zaoszczędzenia swoje, częstokroć zapracowane w krwawym pocie czoła*, oznacza trzydzieści, czy też dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi, t. j. czy na jedną książeczkę wypada przeciętnie 1.000 czy 333 złr.?
2. Jaka suma z tych 30 milionów wkładek przypada na właścicieli, którzy zapracowali na nie w pocie czoła, a jaka na właścicieli, pocących się krwawo przy czytaniu sprawozdań giełdowych, będących dla nich wyrokiem zwycięstwa, lub przegranej gry giełdowej?
3. Wielu więc wypada właścicieli na wkładki od 1—100 złr., wielu na wkładki od 100—500 złr., wielu od 500—1.000 złr., wielu od 1.000—5.000 złr., wielu od 5.000—10.000 złr. i t. d.?
4. Jak wysoką jest ogółem summa wierzytelności Kasy zabezpieczonych na hipotekach?
5. Jak wysoką jest summa wierzytelności na rachunkach bieżących? i komu je otwarto?
6. Jak wysoką summa wierzytelności wekslowych?
7. Jak wysoką summa lokacyi w papierach wartościowych i w jakich?

Oczywiście, że podobne dociekanie byłoby zbyt-
 kiem pedanteryi wśród zgromadzenia prawodawczego,
 reprezentującego społeczeństwo, mające zupełnie swój
 własny, oryginalny system logiki, do którego nie do-
 robiono jeszcze klucza, ani w starożytności, ani w tych
 nierozsądnych społeczeństwach, które dotychczas jeszcze
 uznają zalety klasycyzmu i nie chcą wygnać Aristote-
 lesa ze szkół i uniwersytetów. Ta zaś rodzima nasza
 logika wygląda jak następuje: Ponieważ

»paragraf 57 statutów dotychczasowych określa tak dokładnie
 prawa i obowiązki komisarza nadzorującego, że gdyby prze-
 pisy te były wykonane ściśle, nadużycia oplakania godne
 nie byłyby się mogły wcale wydarzyć«;

ponieważ następnie: skutkiem niewypełnienia sumien-
 nego nadzoru przez rząd,

»w sposób iście haniebny nadużyto zaufania kilkudziesięciu
 tysięcy osób, które powierzyły Kasie zaoszczędzenia swoje,
 częstokroć zapracowane w krwawym pocie czoła,

Sejm zatem Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem
 Księstwem Krakowskiem postanawia, by odpowiedzial-
 ność pieniężna zato nadużycie spadła na pracującą,
 opodatkowaną ludność tego kraju, ludność, pozbawioną
 częstokroć wszelkich oszczędności, a zmuszoną w krwa-
 wym pracować pocie na utrzymanie się przy życiu
 i na zadośćuczynienie dotychczasowym ciężarom po-
 datkowym względem kraju i państwa. Będzie to w ka-
 żdym razie wielkiem dla tejże ludności dobrodziejstwem,
 uchroni ją bowiem od niebezpieczeństwa rozpróżnia-
 czenia się, nie dopuszczając, by wyszła ona kiedykol-
 wiek z tej ożywczej parowej kąpieli krwawego potu.

Uchroni ją również od gorszego jeszcze niebezpieczeństwa, bo jak się dowiadujemy ze sprawozdania komisji budżetowej:

»Do tego niebezpieczeństwa powszechnego w kraju przesilenia ekonomicznego, przybywają jeszcze względy natury politycznej. Wszak niesłychane zajścia w jednej z pierwszych instytucyj kraju, wywołały już poza granicami jego najnieprzychylniejsze ocenienie wszystkich naszych stosunków i urzędów«.

Rzeczywiście rozrzewniającą jest ta czuła dbałość ojców ojczyzny o opinią o Galicyi poza jej granicami, gdy się rozchodzi o rozpuszczenie w rozczyntnie zbiorowej odpowiedzialności, zepchniętej na biedny kraj, odpowiedzialności imiennej, majątkowej dwóch namiestników, wysłanych z obozu konserwatywnego, odpowiedzialności majątkowej całego zastępu ich doradców i wyręczycieli, oraz osób należących do rady nadzorczej Kasy, za dopuszczenie przez brak kontroli, dozoru i patrzenie przez palce, do defraudacyi milionów w lwowskiej Kasie oszczędności! Dziwna rzecz, że nikomu w tymże samym Sejmie nie przyszło nawet na myśl obawiać się o zagrożony honor Galicyi, gdy z pewnością nie mniejsze ciskano pociski, nie mniejsze, niż teraz, podnoszono krzyki i inwektywy na nasz kraj, gdy się rozchodziło o przyznanie Galicyi sześćdziesięciu milionów złr. wynagrodzenia za propinacyą. Ani wiedeńskie krzyki, ani wiedeńskie inwektywy, nie przeszkodziły wówczas Sejmowi i szlachcie galicyjskiej do przyjęcia 60 milionów, płatnych w każdym kieliszku wódki, wypitym przez tą biedną, w pocie czoła pracującą ludność!

Co prawda, trudno się nawet dziwić temu postępowaniu Sejmu i tym kłócącym się z elementarnemi

pojęciami logiki wywodom komisji budżetowej, skoro nawet hr. Stanisław Tarnowski nie zawahał się ich użyć w sejmowych swoich wywodach. Od niego to dowiadujemy się, że:

»była wielka i długotrwała spółka dających i biorących«,

ze o tem

»wiedzieli, a podobno poczęści korzystali urzędnicy, których milczenie trzeba było okupywać«,

od niego to dowiadujemy się, że:

»Instytucja półwieczna, długo wzorowo prowadzona, obdarzona powszechnem i to słusznem zaufaniem, okazuje się niepewną, nieuczciwą. Jej dyrektorowie patrzą na to obojętnie lub przez szpary, rząd, który ma dozór, nie wykonywa tego dozoru«.

Od niego dowiadujemy się, że:

»tu współwina, choć bierna, niedozoru, spada na wiele głów i czynników«...

»że nadużycie publicznego zaufania trafiło właśnie grosz ubogiego«.

Niewątpliwie, że po tych premisach każdy zwykły śmiertelnik miałby prawo spodziewać się wniosku, że do odpowiedzialności potrzeba przedewszystkiem pociągnąć głównego dyrektora, o czem pomyślał już prokurator; następnie tych urzędników, których trzeba było okupywać milczeniem — zdaje mi się, że jak dotychczas jeden dopiero zostaje pod śledztwem, dalej tych dyrektorów, patrzących obojętnie i przez szpary, wreszcie rząd, mający obowiązek dozoru, a nie wykonywujący go, w ostatniej zaś chyba linii tych członków

Kasy oszczędności, którym przysługiwało prawo wyboru zarządu i rady nadzorczej, oraz roztrząsania i potwierdzania dorocznego bilansu i rozjaśniania go interpelacyami, a którzy tych obowiązków dopełniali obojętnie i niedbale, nie troszcząc się bynajmniej ani o to, kto lokowanymi oszczędnościami dysponuje, ani o to, jak one są ulokowane.

Do zupełnie jednak innego wniosku doszedł hr. Tarnowski. Skonstatowawszy fakt, że:

»Kraj, Sejm, Wydział krajowy nie miały nic do czynienia z Kasą oszczędności«,

zapewniwszy nas, że nie wie:

»czy ten dziś wiadomy deficyt będzie pokryty,

bo przecież:

»Nafta jest loteryą«,

zaręczając, że:

»Czy niebezpieczeństwo strat materialnych da się uniknąć, czy się deficyt wyrówna i kiedy, kiedy ta gwarancja będzie mogła ustać? Wszyscy nie wiemy — rzucamy się w to położenie po ciemku. Czy także i prędko kredyt kraju podniesie się z tej klęski, jaką dla niego jest ta sprawa? Znowu nie wiemy«,

nie wahał się szanowny poseł oświadczyć nam, że:

»my musimy gwarantować 35 milionów!«

Co go doprowadziło do tego pewnika? Trudno mi z jego wywodów stanowczo odgadnąć. Czyżby chciał on przekonać się na skórze tego biednego kraju,



czy da się uniknąć strat materyalnych? Czy się deficyt wyrówna i kiedy? Kiedy ta gwarancja będzie mogła ustać? Czy prędko kredyt kraju podniesie się z tej kłęski? Do eksperymentów tych z tem spokojniejszym mógł on przystąpić sumieniem, że to wiedział napewno, iż

»mamy już tych poręczeń tyle, że kredyt kraju wiele więcej znieść nie może«,

a to przecież taka bagatela 35 milionów dla kraju, który rocznie samych krajowych podatków płaci tylko 10,583.000 złr.! Czyż zresztą nie jest sprawiedliwą rzeczą, żeby ubogi, opodatkowany, pracujący ogół odpowiadał i płacił *za nadużycie publicznego zaufania, trafiające właśnie grosz ubogiego!* Czyż może być co więcej logicznego i konsekwentnego, coś więcej zaspakajającego, pragnienie dźwięcznej harmonii w urządzeniach społecznych, więcej kołyszącego ucho melodyą rytmiczną? Jak to logicznie, jak to pięknie brzmi: Ubogi odpowiada za nadużycie publicznego zaufania, popełnione przez defraudantów na groszu ubogiego!

To też Sejm, wszedłszy raz na tą drogę ustawodawczej poezji i socjalistycznego ustawodawstwa, nie spoczywa w pół drogi i jak się dowiadujemy z *Czasu* 25 marca r. b.:

»uchwalono w myśl sprawozdania komisji bankowej rozszerzenie gwarancji kraju za wkładki oszczędności, lokowane w Banku krajowym do wysokości 6,000.000 złr.«

Tak więc dźwiga w tej chwili kraj gwarancją za możliwe defraudacje w sumie 41 milionów złr., to znaczy, że gwarancja ta dochodzi do poczwórnej wysokości płaconych przez Galicyą krajowych podatków.

Ładna perspektywa! A któż nam zaręczy, że jutro nie każe nam Sejm płacić za krzywdy, zrobione swoim rodzinom przez tych poważnych patryarchów konserwatywnych, którzy chcąc naraz dojść do milionowych fortun, zgrali się do nitki i w łeb sobie palnęli? A kto nam zaręczy, że to już koniec tej reprezentacyi, że za rok lub dwa nie zejdą w ten sposób ze świata inne znakomite filary zasad konserwatywnych i utylitarnej polityki?

Na takich to kruchych podstawach, powiedzmy raczej, bez żadnych podstaw, uchwalił Sejm gwarancyą za 35 milionów złr. wkładkę lwowskiej Kasy oszczędności, gwarancyą, otwierającą na oścież wrota wszelkiego rodzaju przypadkowym lub rozmyślnym nieszczęściom i finansowym przesileniom, mogącym już teraz bez żadnej zapory bić w biedną Galicyą. Nie można tu bowiem i o tem zapominać niebezpieczeństwie, iż teraz wystarcza, by się uformowało jakiekolwiek *consortium* krajowych lub pozakrajowych pejsatych kapitalistów i powykupowało na swoją rzecz 35 milionów książeczek Kasy oszczędności a chociażby połowę tej sumy, by cały kraj wpadł zarówno pod politycznym, jak ekonomicznym względem w prawdziwie babilońską od nich zależność i niewolę, zmuszającą go do ślepej uległości pod grozą nieuniknionej ruiny materyalnej i ekonomicznej.

O ile rezonowanie hr. Stanisława Tarnowskiego pod względem praktycznej logiki nie przedstawia najmniejszej wartości, więcej powiem, jest rozmyślnem rzuceniem rękawicy logice i zdrowemu rozsądkowi, o tyle doznaje się pewnego wrażenia ulgi, pewnego moralnego wytchnienia, gdy się z tego labiryntu wydostaje na świetlane morze moralnego bilansu sprawy Kasy oszczędności.

»Ale co pewna — powiada on — że tej szkody jaką ponieśliśmy na dobrej sławie nie powetujemy...«

»W naszym postępie zbliżyliśmy się do krajów najbardziej postępowych i obok francuskiej Panamy i włoskiego Panamino, może się dziś mówić o Panamie galicyjsko-polskiej!... »*My* pobbłażaliśmy sobie wiele i tem pobbłażaniem obniżyli*my* nasz poziom moralny, stępił*my* w sobie zmysł uczciwości i honoru.«

»Przywykli*my* nieszczęściem do nieprawdy. — Karmił*my* się *nieprawdą* o ludziach, o stosunkach, o sprawach, nawet lepsi z nas przestawali zbyt łatwo na tem, żeby u nas wszystko dobrze się wydawało, a mniej pytali i strzegli, czy istotnie dobrze było. — Folgowali*my* i pobbłażali nieuczciwościom w słowie, w piśmie, w działaniu politycznym; nie dziwi*my* się nieuczciwościom pieniężnym i nieprawdom w rachunkach...« »piętnowanie należy się za fałszowanie rachunku.«

W czarnych chwilach, przez które przechodzi dziś nasz kraj, błogo przynajmniej, mieć ten promień pociechy, że znalazł się w konserwatywnem stronnictwie człowiek i to człowiek stojący na świeczniku, który nie stracił wiary w potęgę swojego stronnictwa, który nie przestał wierzyć w przeważną jego rolę w życiu narodowem, i dla tego głównych przyczyn moralnego upadku nie szuka poza sobą, nie szuka poza swoim stronnictwem, lecz piętnując zbrodnią liberalnych defraudantów, nie wacha się on śmiało wyznać: »*My* pobbłażaliśmy sobie za wiele, obniżyli*my* nasz poziom moralny, stępił*my* w sobie zmysł uczciwości i honoru, przywykli*my* nieszczęściem do nieprawdy, karmili*my* się nieprawdą.« To szlachetne, publiczne wzięcie na siebie moralnej odpowiedzialności przez duchową głowę konserwatywnego stronnictwa, tem milsze robi wrażenie, że w rażący sposób odbija ono od parafrazy mowy hr. Tarnowskiego, zamieszczonej w politycznym

przeglądzie marcowego *Przeglądu Polskiego*, parafrazy, z której nie wieje bynajmniej duch skrucy i rozstrzasanego własnego sumienia, ale jakaś surma tryumfu, głosząca światu zwycięstwo nad zmiażdżonym i powalonym swą zbrodnią przeciwnikiem.

»To stało się w Polsce — czytamy na 575 stronicy — było zrobione przez Polaków, i na Polskę spada. Nie mamy sobie co ukrywać: strata materyalna jest jej, strata moralna jest jej, strata na sławie i zaufaniu jest jej, wstyd jest jej.«

»A kto ją o to wszystko przyprowadził?«

»Nieuczciwość publiczna jest nieszczęściem i boleścią zkażdokolwiek przychodzi. Niema w tem pociechy, że ją popełnił *nieprzyjaciel polityczny*. Ale nie można zapomnieć, ani pomyśleć, że ten wstyd spadł na naszą ojczyznę i sprawę przez tych, którzy o niej właśnie najgłośniejszy, najszumniejszy mówili. Ci oskarżeni, wszak to głowy, filary, ozdoby i chwały tego stronnictwa i tego dziennikarstwa, co przysądziło sobie monopol miłości ojczyzny i godności narodowej, co powtarzało i trąbiło, że ono jest patriotyzmem, ono postępem, ono honorem. Tak o sobie głosić, a tak cudzemi funduszami rządzić, prawić do znudzenia o dobrobycie, o oświeceniu i prawach ludu, a groszem właśnie głównie ludu dysponować jak swoim, to podług naszych zacofanych pojęć i przesądów, jedno do drugiego nie przystaje.«

»Więc ta demokracja nie nauczyła ich tego, że grosz ubogiego powinien być szanowanym jeszcze więcej, niż inny? Więc ta miłość ludu pozwoliła im narazić na niebezpieczeństwo biedne mienie kilkudziesięciu tysięcy ubogich? Więc ten postęp pozwala na nieuczciwość w rzeczach pieniężnych?«

»Hasłami ojczyzny i demokracji, wzięto się przewagę nad umysłami. Utrwalały ją dzienniki, przekręcając fakta i sprawy, a podające ludzi w podejrzenie. Udaowało się to tak dobrze, że ogromna większość tego, co się nazywa inteligencją, urzędników, profesorów, prawników, lekarzy, nawet i duchowni niektórzy, wierzą dobroduszenie w te postępy, przyjmują te pojęcia, słuchają tych natchnień...«

»Kraj, który nie ma, istotnie nie ma, pieniędzy na bardzo potrze-

bne wydatki i nakłady, musi ręczyć za trzydzieści kilka milionów, żeby swoich obywateli ratować od zguby, którą nad ich głowami zawiesił kto? Nie zdrajcy Stańczyki podobno. Nie konserwatyści, serwilistami kłamliwie nazywani. Nie te obszarniki i szlachcice, co się tuczą potem nieszczęśliwego ludu i ssą jego krew jak pijawki. Nie, to nie ci.»

»...Może się jeszcze jakie brudy i wrzody pokażą na naszym biednym ciele społecznym. Trzeba je prędko wyciąć czy wypalić, a *wypala się piętnowaniem...*«

»Jeżeli my zechcemy ten dzisiejszy wstyd wziąć do serca, jeżeli będziemy mieli odwagę wyznać w słowie i uczynku, że złe jest złem a brud brudem, i wyprzeć się ich z tem oburzeniem i wstrętem, jakie im się należą, możemy odrobić i odzyskać deficytu większe, niż siedm milionów, i złożyć sobie fundusz rezerwowy, którego nam nic nie odbierze ani nie uszczerbi...« (str. 575—577).

Tak jest, możemy niezawodnie zaskarbić sobie ten kapitał rezerwowy, którego rdza nie wyżre, a mól nie zepsuje, ale pod tym jedynie warunkiem, żebyśmy odpowiedzialności nie zrzucali z siebie na szumowiny i męty społeczne, żebyśmy w sobie przedewszystkiem szukali przyczyn upadku społeczeństwa polskiego, i swoje przedewszystkiem wymiatali brudy i tępili kłamstwa. Kłamstwo musi rodzić zbrodnią i podłość. Jakżeż możemy się dziwić, że szerzy się ono między lotnym piaskiem, wyrzuconym przez wielką rewolucyą na nasze wybrzeże? Jak możemy się dziwić brakowi zasad, moralności i prawdy w stronnictwie liberalnem, w stronnictwie, które wiarę w objawienie Boże nazywa przesądem ciemnych i nieuków, uległość Kościołowi głupotą i obskurantyzmem? — jeśli ten właśnie żywioł, którego hasłem powinna być prawda, zasadą porządek i miłość społeczna, a sztandarem krzyż, stawał się mu z dniem każdym coraz więcej niewiernym, a zacząwszy

od zwątpienia o potęgę własnej swojej religijnej i moralnej zasady w zastosowaniu do życia politycznego i publicznego, dozwolił się wdziarać temu zabójczemu zwątpieniu w samo nawet zacisze rodzinnego ogniska! Jakie prawo mamy dziwić się i oburzać na takiego p. Moraczewskiego, gdy jako prelegent na ludowym uniwersytecie imienia Adama Mickiewicza, rozwodzi się przed audytoryum, złożonem z żydówek i studentów gimnazjalnych nad Zolą i innymi w sposób jak najswobodniejszy, twierdząc np. z powodu *»Normy«* Ibse-
na, że popełniła ona, powiedzmy poprostu, oszustwo dla zyskania pieniędzy na podróż dla leczenia ukochanego i... *»dobrze zrobiła!«* Później wyleczony dowiaduje się o tem *»udaje Katona«*, gromi ją, ona go porzuca, czekając, aż ją zrozumie i dorośnie do niej, bo na to, by ją pojąć, musiałby do niej — zdaniem prelegenta — dorosnąć! Jakie prawo, powtarzam, mamy się dziwić publicznemu apostołstwu tego rodzaju moralności, jeżeli hr. Andrzej Potocki nie waha się wyznawać publicznie, że o człowieku, który w wieku zupełnie dojrzałym, o człowieku mającym po za sobą wieloletnią praktykę życia publicznego i ekonomicznego, a więc o człowieku, który czerpiąc miliony z nieograniczonego kredytu udzielanego mu przez p. Zimę w lwowskiej Kasie oszczędności, wiedział doskonale, że korzysta ze zbrodniczego nadużycia popełnionego przez p. Zimę, na funduszach zaoszczędzonych w znacznej części przez ubogą ludność, że o człowieku tym, który był mu *zawsze sympatycznym, zachował to samo wyobrażenie, które o nim miał dawniej, mianowicie, że jest lekkomyślnym, lecz idealne ma poglądy i wielką miłość kraju!?* Miał-żeby p. Szczepanowski zdaniem hr. Andrzeja Potockiego nie wiedzieć o tem, że przeznaczeniem Kasy oszczędności

nie jest i nie może być wspieranie jednego z najryzykowniejszych górniczych przemysłów, który dziś może dawać krocie a jutro zero? Wiedział o tem wybornie p. Szczepanowski i korzystał świadomie z nadużycia p. Zimy, a korzystał bynajmniej nie w celu podniesienia przemysłu krajowego *in abstracto*, ale w celu zrobienia dla siebie milionowego majątku, na ryzyko wkładek Kasy oszczędności. Że p. Szczepanowski, gdyby mu się było powiodło, byłby zwrócił co do grosza swój dług Kasie, o tem nie wątpię ani na chwilę. Ale też pewnym jestem, że nie ma ani jednego surdutowego defraudanta, który naruszając np. powierzony sobie depozyt lub kasę na grę w karty, w giełdę lub na liczbowej loteryi, nie zwróciłby sprzeniewierzonej sumy, wrazie powiedzenia się tej finansowej operacyi.

»Gdyby ci, co zasiadali w tym Sejmie 30 lat temu — powiada hr. Stanisław Tarnowski — wrócili na ziemię i usłyszeli, o czem my tu radzimy, nie mogliby zrozumieć, nie mogliby uwierzyć, że to ten sam Sejm i ten sam kraj. Oni myśleli, że po trzydziestu latach życia politycznego, ten kraj polski będzie miał siłę i znaczenie w państwie, że wyjątrzą się te jady społecznych zawiści, które były chorobą chroniczną a chwilami gwałtowną — że zdolnością rządu siebie, harmonią i równowagą społeczną, dobrobytem ekonomicznym, będzie zdobywał podziw obcych, a chwałę dla swoich...« »Ale coby oni powiedzieli, gdyby usłyszeli, że my tu radzimy o nadużyciach pieniężnych?...« »Coby rzekł Zyblikiewicz, Grocholski, Potoccy, Sapieha, Krzeczunowicz, Baum, Kraiński — każdy z nich wróciłby na swój cmentarz i w grób się położył.«

A ja przypuszczam, że gdyby dziś naprawdę weszli między nas Potoccy, Sapieha, Zyblikiewicz, Grocholski i inni, gdyby weszli oni między nas, wyświeczeni tą jasnością sądu, jaki dawać musi spojrzenie oko w oko

wieczności, to prawdopodobnie zanimby wrócili na swój cmentarz i w grób się położyli, czuliby potrzebę uderzenia się przed nami w piersi i przyznania się, że nie kto inny jak oni wepchnęli naród na tą pochyłość, po której teraz toczy się on w przepaść. Powiedziałby nam niezawodnie hr. Alfred Potocki, że to, co się dziś dzieje, jest prostym nieuniknionym skutkiem. tego lekceważenia prawd wiary i praw Kościoła katolickiego, którego dla widoków i zdobyczy politycznych dopuścił się on sam, pozwalając, by za jego ministerstwa przeszły prawa majowe, by za jego ministerstwa zniesiono konkordat, dozwolono 14-letnim dzieciom zmieniać religią wbrew woli rodziców, dopuszczono do cywilnych ślubów, dozwolono żenić się katolikom z żydówkami i wypowiedziano jak najzapamiętałą walkę wierze katolickiej i Kościołowi. Opowiedziałby nam również, że delegacya nasza nie protestowała, nie krzyczała w niebogłosy, nie przeszła do opozycji przeciwko ministrowi, gwałcącemu najdroższe uczucia i prawa katolickie, ale za judaszowe te srebrniki zyskiwała udział w rządzie państwa i rozszerzenie krajowej autonomii! Gdyby przyszedł do was z grobu pan Adam Potocki, objaśniłby was niezawodnie, że zupełnie go nie dziwi to, co się dziś w Sejmie dzieje, bo, gdy społeczeństwo zerwie zuchwale dla politycznych korzyści, nie łącząc je z Bogiem, gdy jednym słowem straci wiarę w bezwzględną i niespożytą potęgę objawionej prawdy i całą swą przyszłość zacznie budować na wiotkim gruncie prawości, siły i rozumu kupy ludzkiej, na politycznych i ekonomicznych stowarzyszeniach, to tylko wielka energia i obywatelska obowiązkowość ludzi, powołanych do rządu i kontroli, może do jakiegoś czasu ochronić moralność publiczną od ostatniej dezorganizacji.

Powiedziałby wam on, że energii i obowiązkowości tej nigdy ani sam nie posiadał, ani nie dostrzegł jej u współczesnych. Przypomniałby wam przeciwnie, że zupełnie tak samo, nie zadał sobie pracy dokładnego zbadania bilansu F. J. Kirchmayera i Syna i z taką samą powierzchownością i lekkomyślnością podpisał 14 lutego 1870 roku wraz z panami Stanisławem Małachowskim, Franciszkiem Mycielskim, Pawłem Popielem i Mieczysławem hr. Reyem zaprzeczenie podanej przez wiedeńskie dzienniki wiadomości o bankructwie tegoż domu bankowego, nazywając ją fałszywą i bezzasadną, z jakim niedawno p. Męciński wystawiał świadectwo moralności panu Kieszkowskiemu, a rada miasta Lwowa panu Zimie i Szczepanowskiemu. Powiedziałby on wam niezawodnie, że zupełnie tak samo jak p. Męciński, musiał cztery dni później wraz z tymi panami zaprzeczenie swoje odwoływać, co może nie przeszkodziło łatwowiernym powierzyć w ciągu tych czterech dni swoje mienie bankrutowi. Powiedziałby wam był niezawodnie pan Adam Potocki, że tak samo dawniej jak teraz, zarówno konserwatyści jak liberali uważają za przyrodzone swoje prawo bronienie na wiatr, a nieraz zapomocą świadomego kłamstwa, każdej pozycji, zajmowanej przez ich stronników, bez względu na to, czy ten stronnik jest uczciwym człowiekiem, czy też materialnym lub moralnym bankrutem, chociażby nawet był nikczemnikiem, którego każde uczciwe społeczeństwo powinno z obowiązku wyrzucić na śmieć. Powiedziałby on wam był, że to jest powodem, dla czego konserwatywny żywioł ogarnia coraz bardziej jakaś nieczułość, jakaś obojętność na prawa i nędze ludzkie, obojętność osłabiająca zarówno energią do sumiennego spełniania obowiązku kontroli, jak zaciemniająca

niekiedy jasnowidzenie obowiązków słuszności względem osób trzecich. Ten brak sumienności w spełnianiu przyjętych na siebie obowiązków i to lekkomyślne ich przyjmowanie, potwierdziłby wam niezawodnie także książę Leon Sapieha, który przyjąwszy obowiązek bronięcia przed nadużyciami kolei Czerniowieckiej, nie zdołał ani powstrzymać, ani wykryć szalonych szwindli Offenheima.

Przyznaliby oni obydwaj, że zarówno hr. Kazimierz Badeni, jak książę Eustachy Sanguszko trzymali się tylko wiernie — jako prawdziwi konserwatyści — tradycji niedozoru przekazanej im przez Potockich i Sapiehów. Nie mówi się już o tem, że ten żelazny i energiczny Zybkiewicz, miałby nam wiele do powiedzenia z czasów swojego krakowskiego burmistrzowania. Dostyc powiedzieć, że naczelnik straży ogniowej pan Eminowicz, będący jego *persona grata*, był figurą tego rodzaju, że np. z 200 złr. danych mu jako zaliczkę na kupno sikawki — pomimo dawanych przez niego dwukrotnie terminów pod słowem honoru, zaledwie 50 złr. możnabyło odebrać od niego dobrowolnie, resztę trzeba było uzyskiwać dopiero za wyrokiem sądowym. Po takim fakcie rozumie się dopiero, jak w rachunkach, pomalowanie beczki na przyjazd cesarza mogło przez *pomyłkę* figurować w kwocie 200 złr.

Niezawodnie również powiedziałby wam był pan Adam Potocki, że jedną z głównych wad zbiorowych instytucji finansowych, jest przechodzenie z ręki do ręki udziałów tychże instytucji. Powstaje n. p. w Krakowie bank galicyjski dla handlu i przemysłu. Między twórcami tego banku figuruje p. Adam Potocki. Lokuje on w nim znaczny kapitał, t. j. staje się posiadaczem znacznej ilości akcyi, on namawia znajomych i przyjaciół do lokowania

w tymże banku swoich funduszków, on przedstawia im wielkie dla kraju z tego banku korzyści, przez rozwój handlu, przemysłu, podniesienie ekonomiczne kraju i t. d.

A potem w kilka lat później, sprzedaje on pewnego dnia swoje akcje, przestaje być już nietylko kierownym duchem, ale nawet przestaje być członkiem ponoszącym w razie nieszczęścia i zawodu część strat z tymi, których w to bezrozumne przedsiębiorstwo wciągnęła jego wymowa, jego błędne pojęcie dobra kraju, dla których jego współudział stał się firmą i gwarancją. Powiecie mi na to, że i ty mogłeś to samo zrobić, co pan Adam, mogłeś na czas sprzedać bez straty, albo z małą stratą twoje akcje. Rzeczywiście rada nader praktyczna, ale czy jest ona naprawdę tak prostą, jak się wydaje, to rzecz inna. Jeżeli się kupuje akcje banku dla handlu i przemysłu w nadziei, że za pośrednictwem tegoż banku zrobi się dobrodziejstwo dla kraju i rozwinię się w nim nieistniejący przemysł i handel, to oczywiście sprzedaje się te akcje chyba wówczas, gdy się dojdzie do przekonania, że się było w błędzie, że goniło się za niedościgłą marą rozbudzenia przemysłu i handlu w kraju, nie mającym żadnych do rozwinięcia przemysłu warunków. To znaczy, że zadekretowało się konieczne bankructwo tegoż banku i dlatego wycofało się z tego niekorzystnego interesu, to jest sprzedało się swoje akcje, o których się wiedziało, że za lat parę lub kilka muszą się stać bezwartościowymi, jakiemuś biedakowi nie mającemu pojęcia o wartości i znaczeniu papierów wartościowych, wierzącemu tylko w to, że jak co pół roku obetnie kupon, to mu go bank wypłaci. To też miałby p. Adam Potocki zupełną słuszość, twierdząc, że ani bank galicyjski dla handlu i przemysłu, ani lwowska kasa oszczędności nie byłyby może doszły nad tą prze-

paść bankructwa, gdyby główni ich twórcy uważali się byli za stale związanych z losami tych instytucji do wysokości przyjętego pierwotnie udziału.

A niech mię nikt nie posądza o to, żebym chciał jakikolwiek cień rzucić na charakter ludzi, których znałem od urodzenia i nauczyłem się cenić ich szlachetne na obowiązki względem kraju poglądy. Tu nie tyle ludzie byli winni, jak fałszywa zasada, fałszywe poglądy na dobro kraju i obowiązki publiczne, tu winno było to błędne przekonanie wyssane z mlekiem matki, że wszelkie podniesienie się kraju czy pod względem ekonomicznym, czy pod politycznym, zależy od mechanizmu stowarzyszeń, w których wówczas panowała jeszcze w całej swej pełni zasada ekonomicznej swobody i niezagładania poza kurtynę, i nie troszczenia się o to, co poza tą anonimową formą stowarzyszenia dzieje się z mieniem osób, lokujących w niej swoje fundusze.

Nikt lepiej od tych właśnie ludzi, gdyby mogli dziś zstąpić na nasz padół łez, cierpień i hańby, nie mógłby nas pouczyć, że niema trudniejszej może rzeczy dla ludzi stojących na świeczniku życia narodowego i pragnących się poświęcać dla jego rozwoju i przyszłości, jak utrzymanie niczem nie zamaćonej równowagi pomiędzy patryotycznym obowiązkiem utrzymania i skarżenia sobie materyalnych środków do skutecznego działania publicznego, a chrześcijańskim obowiązkiem świadczenia, miłosierdzia i nieustannej czułości na nędze i potrzeby bliźniego.

Może byłoby bardzo dla sejmu naszego szczęśliwym, gdyby opuścił swój grób książę Władysław Czar-toryski i zjawił się w sali sejmowej w dniu 27 lutego r. b. Opowiedziałby on był niezawodnie temu ciału prawodawczemn, że gdy Bank galicyjski dla handlu

i przemysłu zaczął bankrutować, a w swoich przedśmiertnych szamotaniach zaczął się rozpaczliwie czepiać galicyjskiego zakładu kredytowego, który nieopatrznie dał mu się wciągnąć w nieprawą akcyą ratunkową, opartą na nadużyciach, przeciwnych statutom, i sam niechybnie leciał w przepaść, a przez te dwa jednocześnie bankructwa zagrożonym się zdawał kredyt w całej zachodniej przynajmniej Galicyi, bo nagła likwidacya zakładu kredytowego odbiłaby się była nader niekorzystnie na interesach dłużników hipotecznych, i na opinii pierwszych imion w kraju; wówczas nikomu nie przyszło na myśl udawanie się do Sejmu o gwarancyą kraju. Udał się wówczas książę Władysław Czartoryski do Artura Potockiego, który obliczył sobie, że może podjąć się akcyi ratunkowej, bez narażenia się na straty, jeżeli przedstawionem mu zostanie zrzeczenie się zupełne własności akcyi Banku dla handlu i przemysłu, o ile zdaje mi się na nominalną sumę około półtora miliona złr. Książę Władysław zaczął od zrzeczenia się swoich akcyi, o ilem słyszał na 900.000 złr., książę Marcei Czartoryski rzekł się, jak mi mówiono, akcyi na 400.000 złr., resztę złożyli inni ludzie, którzy dla ratowania honoru narodowego i grosza ludzi mało zaможnych i biednych, idąc za wezwaniem księcia Władysława Czartoryskiego podpisali zupełne zrzeczenie się swoich akcyi, opiewających na sumy po kilkadziesiąt tysięcy złr. A zaznaczyć tu trzeba, że oprócz Członków zarządu i rady nadzorczej, jak panowie Lasocki, Skarżyński, Tołoczko, Paszkowski, na których ciążyła za losy Banku oczywiście majątkowa odpowiedzialność, inni byli tylko nierozsądnymi, że dali się złapać na nadzieje przemysłowego rozwoju Galicyi, lub nieszczęśliwymi, że akcyje te odziedziczyli, ale cień nawet nie ciążył na

nich obowiązku do ratowania bankructwa Banku. Naturalnie, że dać się pociągnąć do tak nierozsądnej finansowej operacyi, jak dobrowolne wyrzekanie się znacznego zapasu swoich akcji, mogli tylko ludzie, którzy *szeleszczą zwątpieniem, zaprzeczeniem i łatwą mądrością, która zasadza się na krytyce wszystkiego i wszystkich, na podchwytывaniu wrzekomych sprzeczności i niewykonalnych programów i którzy nie umieją stanąć w szeregu*. Nie mogło więc na myśl przyjść nikomu w sejmie lub poza sejmem, by zainaugurować tego rodzaju akcją względem lwowskiej Kasy oszczędności, która to akcja byłaby oczywiście jednym z owoców tych niewykonalnych programów, których twórcy nie umieliby tak samo stanąć w szeregu ze złodziejami, oszustami, defraudentami, niesumiennymi niedołęgami i kłamcami i tak samo nie zechcieliby spokojnie przykładąć ręki do tej bezprzykładnej, uchwalonej przez Sejm reasekuracyi niesumiennego niedołęztwa i do premiowania przeniwierstwa, jak nie chcieli zszeregować się pod sztandarem patryotyzmu, przeczącego prawdzie słów Syna Bożego, wyrzeczonych do Pilata: *»Nie miałbyś żadnej mocy przeciw mnie gdybyć z wierzchu nie dano«* i jak nie chcieli stanąć do szeregu pod sztandarem takiej miłości ojczyzny, której treścią jest niechrześcijańska zawiść narodowa i przeczenie rządowi Bożym na ziemi.

II.

*»Albowiem choćbym się chciał chlubić,
niebędę głupim bo prawdę powiem.«*

(Z listu II S. Pawła do Kor. R. XII).

Zamknijmy teraz trumny, zasypmy mogiły, i opuśćmy cmentarze i powróćmy do żyjących, względem których hr. Stanisław Tarnowski całej żąda prawdy. Próby ekonomicznego podniesienia kraju na sposób liberalny, t. j. kupą, za pośrednictwem finansowych stowarzyszeń od samego początku ery konstytucyjnej robiły stanowcze fiasco. Jaki tego powód? Bardzo prosty. Przedewszystkiem, jeżeli kto chce siać dobro w kraju, jeżeli chce szlachetną, pożyteczną i stale uczciwą rozwinąć w nim działalność, to musi pamiętać, że nie dokona tego, jeżeli nie zaszczepli w tejże działalności ducha chrześcijańskiego poświęcenia. Pytam się teraz, gdzie mi kto znajdzie miejsce na ducha poświęcenia w jakiegokolwiek bankowej instytucji w dzisiejszej jej organizacyi? Kto się właściwie może w niej poświęcić? Chłop, wyrobnik, urzędnik, szlachcic na wsi, magnat zresztą, staje się właścicielem większej lub mniejszej sumy pieniężnej i niema ochoty jej użyć na założenie lub rozszerzenie warsztatu zawodowej swojej pracy, czy to w kierunku extenzywnym czy intensywnym, a więc nie chcąc użyć tej oszczędności na wydobycie większych dochodów, więcej wy-

tężoną osobistą pracą, połączoną z rozszerzeniem lub pogłębieniem jej warsztatu, oddaje swoje pieniądze do kasy oszczędności na to, by bez przyczynienia się własnego, cudzą pracą i zapobiegliwością, pieniądze te mu się procentowały.

Otóż z tej strony nie tylko nie kiełkuje żadne ziarno poświęcenia się, ale przeciwnie rozrasta się pasożyt lenistwa, na którym tylko cierpieć może rozwój produkcyi krajowej; oraz zaszczepia się trucizna bezwzględnego przerzucania całego ryzyka i całej niepewności jutra na biednego dłużnika, który co chwila może być narażonym na raptowne wezwanie do zwrotu pożyczki, pociągające za sobą nieraz ruinę całej jego produkcyjnej siły. I dziwna rzecz! że to niby czule na nędze bliźniego społeczeństwo, gotowe robić wszelkie wysiłki, by zabezpieczyć właścicieli wkładek, nic się prawie nie troszczy o to, by wytworzyć możliwą i pewną pozycyą dla tego biednego paryasa, który niebędąc pewnym jutra, musi przedewszystkiem drżyć o to, by zaspokoić swą pracą procenta wierzyciela, a dopiero potem w pocie czoła pracować na wyżywienie swoje i swojej rodziny! Naturalnie, że w takim stanie rzeczy całe dobrodziejstwo kredytu dla społeczeństwa jest najzupełniejszą fikcyą, t. j. jest dobrodziejstwem tylko dla tych próżniaków, którzy nie chcą sami pracować nad powiększeniem swoich dochodów, a jest zabójstwem dla przeciążonego pracą dłużnika i dla kraju. Dla dłużnika, gdyż traci on umiejętność powolnego, ale za to racjonalnego wytwarzania samodzielnego warsztatu swojej pracy, i robi się poprostu niewolnikiem; dla kraju zaś, bo pieniądze, zarobione przez jednego człowieka, który dał dowód, że umie w swoim zawodzie pracować i zarabiać, a więc zdolnym jest do powiększenia i ulepszenia swojej pro-

dukcyi, przechodzą w ręce innego, który warsztatu tej pracy nie umiał własnymi zbudować siłami i zamiast w sobie szukać sposobu do nabycia tej umiejętności, zamiast rachować na swoją cierpliwość, wytrwałość i oszczędność, on chce zastąpić ją cudzym, ciężko opłacanym groszem, który najczęściej w takich warunkach marnuje się, do żadnej nie doprowadzając wytwórczości. Ale powiecie mi niezawodnie, przecież poświęcenie dla sprawy publicznej musi ożywiać tych świetnych inteligentów, którzy zarządzają tym bankiem i szafują jego funduszami, rozsiewając dobrodziejstwa kredytu wśród maluczkich! Jeżeli naprawdę to przypuszczacie, to wybaczenie mi, ale wam powiem, że jesteście jeszcze bardzo młodzi i bardzo naiwni, sądząc, że może się zagnieździć duch poświęcenia w zgrai ludzi, szafujących cudzemi pieniędzmi i żyjących wyłącznie i zazwyczaj bardzo wygodnie z tego szafarstwa! Cudzym groszem, z cudzej kieszeni nikt się nie może poświęcić. Tego rodzaju instytucje są zazwyczaj wypływem fałszywie pojętego dobra kraju przez pewnych szlachetnych ludzi, którzy tworzą je w przekonaniu, że robią akt poświęcenia się dla przyszłości. Tacy ludzie niezawodnie stworzyli Kasę oszczędności i Bank galicyjski dla handlu i przemysłu, ale to pewna, że sztucznie to wyśrubowane poświęcenie, nie spowodowało stałego związku i zżycia się z temi instytucjami ich twórców i jakśmy to już wyżej powiedzieli, zarówno Potoccy nie należeli do akcyonaryuszy Banku galicyjskiego, w czasie jego krachu, jak prawdopodobnie nie należeli pierwsi założyciele do Kasy oszczędności w czasie jej katastrofy. bo gdyby byli do niej należeli, to z pewnością nie byliby dopuścili, żeby dzieło ich przodków, stworzone jako dobrodziejstwo dla kraju, miało spaść na niego całym ciężarem 35 milionowej gwarancyi.

Do jakiego stopnia nie przychodzi nikomu nawet na myśl staranie się o stałość i bezpieczeństwo dla pracy dłużnika Kasy oszczędności, która ma je oprocentowywać, dowodzi tego najlepiej wypowiedziane w sprawozdaniu komisji budżetowej zdanie, że *»kredyt hipoteczny sam przez się bezpieczny, ale unieruchamiający gotówkę, powinien być w nowym statucie ograniczony do pewnego maximum«*. Jakaśmy to widzieli wyżej, hr. Andrzej Potocki nie uważa kredytu hipotecznego za dostateczne zabezpieczenie lokowanych w nim 20 milionów, wobec nienaturalnie wyśrubowanych cen nieruchomości. Oczywiście, że przewidywane przez niego niebezpieczeństwo nie pochodzi z rodzaju lokacyi, lecz z niesumiennego szacunku nieruchomości przy udzielaniu pożyczek, w takim zaś razie i pewność papierów hipotecznych może być również zakwestyonowaną, a co prawda i bez tego zakwestyonowania mogłaby kasa oszczędności narażoną być na znaczne straty, gdyby zmuszoną była sprzedawać wielką ilość listów zastawnych w czasie ich znacznego spadku. To też trudno zrozumieć, dlaczego właściwie ma być tendencją kasy oszczędności ograniczanie kredytu hipotecznego, który bądź co, bądź zabezpiecza wybornie interesa zarówno Kasy oszczędności jak jej dłużników, może bowiem dopuścić spłat na dłuższe terminy, i łatwiejszego, np. ratami, spłacania długu? A temu chyba nikt niezaprzeczy, że pewność wierzycieli zależy głównie od zabezpieczenia zarówno interesów kasy, jak jej dłużników. Czyż nie byłoby rzeczą właściwszą, nie dopuszczając do przeciążenia hipoteki długami, ograniczyć prawo wierzyciela do dowolnego, bezterminowego podnoszenia wkładek, skoro tenże chce mieć dochód od swoich oszczędności bez własnej pracy i bez ryzyka? To pewna, że gdyby

takie ograniczenie było istniało już w czasie ostatniego popłochu, to całe niebezpieczeństwo przesilenia kredytowego, a nawet potrzeba jakiegokolwiek sanacyi zmniejszyłaby się była o całą sumę długów hipotecznych, t. j. do dziesięciu milionów złr., i o całą sumę lokacyi w papierach wartościowych, a być może, że wszelka krajowa gwarancya okazałaby się była zbyteczną, przyczem odpadłby był główny argument gwarancyi t. j. zachwianie stosunków własności nieruchomości przez nagłe wypowiedzenie jej 20 milionów złr. Naturalnie, że jak dziś rzeczy stoją, to cokolwiek zrobi się dla sanacyi tejże kasy, wszystko to będzie tylko chwilowem zatkaniem dziury, chwilowem zalepieniem rany, która znów musi wcześniej lub później roztworzyć się, okazując całą ohydę gnijącego naszego społecznego cielska. Tu trzeba kuracyi radykalnej, tu trzeba do gruntu zmienić i odświeżyć społeczną naszą organizacyą, tu trzeba, żeby ludzie dzierżący ster pracy społecznej i politycznej nie uważali tego odświeżenia moralnego za niewykonalny program, nie uważali walki ze zgnilizną za zwątpienie i łatwą mądrość i nie pogardzali głosem wołającym o powrót społeczeństwa polskiego do chrześcijańskiej moralności.

Życzy sobie hr. Stanisław Tanowski całej prawdy, to niechże mi pozwoli przedstawić mu ją całą, nagą, nieosłoniętą nawet liściem figowym, ohydą i groźną, taką, jaką mi się ona przedstawia w mojem sumieniu, rozumie i sercu.

Łatanie nie doprowadzi nas w Galicyi do niczego i to do niczego w jak najobszerniejszem słowa tego znaczeniu, a więc zarówno w polityce, jak w życiu społecznem, jak w rozwoju ekonomicznym, jak w potrzebach moralnych i duchowych. Tu potrzeba odrodzenia spó-

łączeństwa u samych jego podstaw i to odrodzenia w duchu chrześcijańskim. Trzeba więc przede wszystkim odrodzić ducha prawdy objawionej, ducha pracy, ducha osobistej inicjatywy i odpowiedzialności nie w ludzkiej bezmyślnej bezwładnej kupie, ale w jednostkach ludzkich, w ludziach obdarzonych przez Stwórcę osobistą duszą i osobistą wolą, a więc osobistej poddanych odpowiedzialności. Wszelkie bowiem zakusy do reformowania społeczeństwa jako kupy, muszą zawsze prowadzić tylko do roztapiania w jej pojęciu osobistej duszy, osobistej woli i osobistej odpowiedzialności jednostek.

We wszystkich więc kierunkach narodowego naszego rozwoju, musimy przejąć się zasadą strategiczną Moltkiego: pojedynczo podążać, a wspólnie zwyciężać; a więc pojedynczo działać i pracować zarówno na ekonomicznym jak na narodowym i moralnym polu; pojedynczo wywierać swój wpływ na otoczenie w naturalnym zakresie swoich stósunków i pracy, a więc w swojej parafii, w swojej rodzinie, w swojej wsi, w swojej gminie, między swoimi sąsiadami, w swoim warsztacie; ale działać i pracować we wspólnym świadomie obranym celu i o ile się da w jednolitym szyku bojowym, szukając łącznika z pracą nie tylko własnego narodu, ale z pracą całej cywilizowanej ludzkości, w opoce Piotrowej, której nie przemogą moce piekielne, która łączy nieomylną prawdą Bożą i niesłabnącą nigdy miłością Chrystusową powszechnego Kościoła katolickiego wszystkie przeszłe, teraźniejsze i przyszłe pokolenia i narody ludzkości.

Tylko tak postępując możemy dojść do tego ideału wysiłków i krwawego znoju, by dla rozwoju narodowego wyzyskać całą siłę, jaką wydaje z siebie praca i inicjatywa indywidualna, a zarazem korzystać z całej potęgi, którą wytwarza łączność działania i wspólność celu.

Powiedzcie z ręką na sercu, czy bylibyśmy doszli aż na dno tej otchłani, w której dziś szamota się Galicya ze śmiercią, czy bylibyśmy spadli tak nisko, zarówno pod względem politycznym jak społecznym, ekonomicznym i moralnym, gdybyśmy pod tym sztandarem, pod tem hasłem, zaczęli byli kroczyć choćby przed dwudziestu lub piętnastu laty? Czy naprawdę trzeba nam było wychylić na to aż do dna kielich goryczy, ruiny, zbrodni, hańby i wstydu, by wreszcie odnaleźć tą prostą drogę narodowego naszego rozwoju? Czy nie było między nami nikogo, coby ją był zawczasu przejrzał i doradzał?

Tak jest, był ktoś, który jeszcze przed dziewiętnastu laty, ufając waszej wyższości moralnej, waszemu patriotyzmowi, waszemu sercu i szlachetnym celom politycznej waszej myśli, odezwał się do was, konserwatywnych kierowników narodu, że:

»Dowodem czci głębokiej dla poważnego stronnictwa, które ster przyszłości narodu dzisiaj w rękę trzyma, niech będzie moja otwartość, oparta na niewzruszonym przeświadczeniu, że mogą się nasze zdania i poglądy różnić, lecz serca nasze zejdą się zawsze w prawdziwej, gorącej i bezinteresownej miłości ojczyzny«.

Wówczas to przedstawiając wam całą lekkomyślność, całą grozę nieustannego buntowania się przeciwko oczywistym wyrokom Opatrzności, a w każdym razie przeciw wyraźnym rozkazaniom Bożym uznawania każdej władzy, bo każda pochodzi od Boga; przedstawiając wam całą niedorzeczność zabijania życia narodowego, dla szamotania się w błędnem kole niedoścignętego ideału politycznej niepodległości, wołał on do was:

»Precz z tym patryotyzmem, który nie pojmuje, że nie ma rządu tak złego, nie ma warunków politycznych tak niekorzystnych, w którychby człowiek uczciwy, uczciwie na legalnym gruncie dla kraju pracować nie mógł.

»Rezultat naszej pracy zawisł przedewszystkiem od naszej wartości moralnej, od naszej wytrwałości i woli, a następnie od pewnego stałego gruntu pod nogami, a ten zależy od uznania faktów dokonanych, bez żadnych wybiegów i zastrzeżeń i od szczerego przyjęcia obowiązującego nas dziś ustroju politycznego, za jedyny punkt wyjścia i za stałą działań naszych podstawę, na której do zmian politycznych tylko legalnymi drogami t. j. drogą wewnętrzną i zagraniczną polityki państw rozbiorowych powinniśmy podążać.«
(*Rzut oka na Politykę austriacko-polską 1880 r.*, str. 69).

Już wówczas przedstawiał on wam,

że zostawiliśmy odłogiem rolę rodzimą i rzeczywistą pracy organicznej i legalnego rozwoju narodowego.

»Nie są mi obecnemi trudne — mówił on — warunki bytu ekonomicznego w Galicyi; nie zawacham się jednak twierdzić, że główną przyczyną upadku bogactwa krajowego u nas, jest ta nieszcześliwa dążność ratowania się teoryami, systematami i ustawami, chwytanemi na oślep z teorii książkowych, lub obcej praktyki, połączona z brakiem prawdziwej pracy, woli i wytrwałości« (*ibidem* str. 95).

»Galicya położona pomiędzy stanowczą wyższością handlu, przemysłu i rolnictwa zachodu, a pomiędzy systemem ceł protekcyjnych rosyjskich, znajduje się dziś w tem prawie położeniu bez wyjścia, które w zasadzie zabija rozwój każdego przemysłu. Zamiast jednak zdać sobie jasno sprawę z położenia swojego, zamiast chwycić się z tem większą gorliwością ziemi i do niej wszystkie swe siły skierować, zamiast ostro i mężnie stawić czoło przeciwnościom, zamknąć się w sobie, przełamać pracą trudności, zastąpić oszczędnością posuniętą do ostatnich granic brak kapitałów, postępowaliśmy jak zrujnowany magnat, którzy wyjałowiwszy grunt i doprowadziwszy go do tego stanu, że ani buraki, ani rzepak, ani pszenica rodzić się już na nim nie chcą i nie mogą, wy-

gląda ratunku od zmian prawodawczych, od kredytów, od fabryk cukru lub oleju, wreszcie od młynów parowych i marząc o tej świetnej w przyszłości losu poprawie, trwoni resztę na lichwę wypożyczonego grosza na wędrowniki po wszystkich Europie stolicach, by znaleźć firmę, któraby się podjęła wyrobić cukier bez buraków, olej bez rzepaku, a mąkę bez pszenicy...» (str. 96).

»W Polsce złego gospodarstwa przemysłem załatać się nie da. Niestety ta droga wymagająca olbrzymiej siły moralnej, olbrzymiej wytrwałości i największych, bo codziennych poświęceń zdawała się nam za długą i za twardą.« (*ibidem* 96).

»W gospodarstwie narodowym, chwytając ponętne doktryny, przykładaliśmy je do naszego kraju, nie zważając czy położenie ekonomiczne jego udźwignąć ich ciężar zdoła...« (*ibidem* str. 100).

Przypominał on nam wówczas, że:

»zależy tylko od ludzi wyższe moralne, socjalne i majątkowe zajmujących stanowiska, którym stosunki i środki materialne pozwalają wyjść poza troski codziennej pracy i kłopotów życia, by zdrowa i rozumna miłość ojczyzny, by szersze polityczne i społeczne poglądy, rozchodziły się pomiędzy tym ogółem szlachty, której troska o zaspokojenie codziennych potrzeb życia nie pozwala się głębiej zastanawiać nad zagadnieniami przyszłości. Temu obowiązкови nie wydola się ani piórem, ani gazetami, ani miesięcznymi pismami, bo kto piórem wojuje, ten od pióra ginie. Nie przestanę powtarzać: świecić przykładem pracy i oszczędności, żyć ze szlachtą i sąsiadami, nie zamykać się, nie otaczać się chińskim murem...« »obowiązkiem jest przewodników narodu.«

»Podnieśmy wartość moralną chłopą, rozbudźmy w nim uczciwe i religijne uczucia, nauczmy go pilnie i rozsądnie pracować, a podniesiemy więcej ogólną oświatę kraju, jak ucząc go greki i łaciny, a oddamy ludności wiejskiej i materialnie bez porównania większą usługę, jak bankami włościańskimi, kredytami i głodowymi zapomogami, które prawdopodobnie zbyt zbytnie staną...«

»Jeżeli wśród tego kierunku obawialibyśmy się odcięcia sobie dróg do rozwoju przemysłowego nawet na przyszłość, to mamy wskazaną już drogę przez p. hrabiego Włodzimierza Dzieduszyckiego, po której dla przysposobienia sił przemysłowych kroczyć możemy i powinniśmy. Rozwijajmy dalej wytrwale i ostrożnie przemysł domowy włościan, przychodźmy mu z pomocą i starajmy się zwolna łączyć pewne jego gałęzie ze szkołkami ludowymi« (*ibidem* str. 107).

»Z tej samej zasady wychodząc, zamiast wysilać się na zakładanie nowych gimnazyów i szkół wszelkiego rodzaju, powinniśmy dążyć do zniesienia przynajmniej połowy gimnazyów klasycznych, zastępując je rozrzuconemi po kraju wyższemi i niższemi szkołami rolniczymi, układając w ten sposób ich program, by do niższych szkół mieli włościanie przystęp mniej utrudniony, do wyższych zaś, żeby natrafiali na takie zapory, któreby tylko prawdziwie zdolni przełamać byli w stanie.«

»W ten jedynie sposób możemy odciągnąć ze szkół klasycznych i uniwersytetów tysiące młodych ludzi do szkół rolniczych i zamiast tego proletaryatu prawników i literatów, otrzymalibyśmy dobrych i zdolnych właścicieli ziemskich, dobrych rządzców, dobrych karbowych i dobrych robotników.«

»Wreszcie zdecentralizowanie i ożywienie towarzystw rolniczych uważam za rzecz niezbędną. Nie jest bowiem ich celem zajmować się wielkimi szumnymi wywodami i teoryami, nie jest również ich zadaniem być matką oświecenia, która rodzi wynalazki, lecz raczej one powinny służyć do pilnowania się i kontrolowania wzajemnego w gorliwym przestrzeganiu tych prostych prawd i zasad zdrowego rozsądku, które oddawna, a czasem i od wieków znanemi są światu. Duże zebrania rolnicze zawsze się muszą skończyć niepłodną frazeologią. Tylko w małym kółku sąsiadów, którzy mają łatwość zjechania się, mają możność obejrzenia wszystkiego i wejścia we wszystko można wytknąć błędy, można praktyczną dać radę, która większe nieraz ma znaczenie jak pomoc pieniężna. Na kółkach więc rolniczych powinna się oprzeć budowa pracy i ulepszeń rolniczych. Do kółek powinni być zwolna wciągani włościanie, kółka powinny się starać zainteresować zarówno szlachcica jak chłopa sprawami

rolnictwa w parafii i jeżeli to się uda, jeżeli szlachcic i chłop przekonają się, że wspólna dobra rada przyczynia się rzeczywiście do leprzej uprawy i do leprzych plonów, to chłop mając co jeść i widząc, że to radzie i staraniom dziedzica zawdzięcza, zyska do niego to zaufanie, na podstawie którego, myśleć będzie można o gminie zbiorowej.»

»Wdalszym ciągu rozwoju tej myśli, kółka powinny się łączyć w instytucje finansowe dla rolników, w celu wspólnej sprzedaży zboża i wspólnego na zboże kredytu, które tylko na podstawie kółek, a więc na podstawie dokładnej znajomości stanu gospodarstw i położenia materialnego swych członków, mogą być pożytecznymi, uczciwymi i trwałymi« (*ibidem* str. 108—109).

Oto był program pracy społeczno-ekonomicznej przedstawiony przeze mnie przed 19 laty w broszurze p. t. *»Rzut oka na politykę austriacko-polską 1880 r.«*

Zdaje się, że jego tendencja zupełnie jasna i zrozumiała:

Na gruncie o realne stosunki opartej polityki, a więc polityki nie wychodzącej w żadnym kierunku poza dążenie do rozwoju narodowego przez legalne udoskonalanie istniejących warunków bytu, rozwijać jak największą indywidualną chrześcijańską pracę, łącząc tylko o tyle jednostki w stowarzyszenia, o ile one mogą w nich znaleźć pole do osobistego wpływu i do osobistej działalności. Pod względem moralnym dbać o rzeczywisty postęp ku dobremu i ku oświecie, a nie o hasła i szablony, mające dawać świadectwo oświecie: w ogólności opierać przyszłość narodu wyłącznie na własnych tylko siłach i na błogosławieństwie Bożem, a odrzucać wszelkiego rodzaju polityczną zebranię i polityczne płaszczenie się.

Pytam się, czy tkwiło w tym programie cokolwiek bądź nieszlachetnego, przeciwnego z gruntu zasadom

moralności chrześcijańskiej lub też zasadom zdrowego rozsądku? Czy naprawdę był to program tak nędzny, tak poziomy, tak pusty, tak nie dający się zastosować w praktyce życia i pracy społecznej, że nie warto było nawet dyskusji nad nim otworzyć, że nie warto było nawet czasu tracić, by społeczeństwo nasze z nim zaznajomić, by pobudzić je przynajmniej do pomyślenia, do zastanowienia się nad nim?

Czy może było w tem coś tak zdrożnego, że 33-letni syn Piotra Moszyńskiego, a brat Emanuela Moszyńskiego, ukończywszy studia prawne i uzyskawszy stopień doktora praw, odbywszy następnie praktykę życia obywatelskiego, w czasie dziesięcioletniej pracy nad podniesieniem rodzinnego swojego gniazda, zapoznawszy się nadto z elementarnymi pojęciami wojskowości i z austriackimi stosunkami podczas jednorocznej służby, zapragnął wreszcie wypowiedzieć o błędnym kierunku galicyjskiej polityki to, co mu nakazywała jego miłość ojczyzny i jego sumienie?

A jednak ci właśnie, o których miałem jak najsilniejsze przekonanie, że *mogą się nasze zdania i poglądy różnić, lecz serca nasze zjedną się zawsze w prawdziwej gorącej i bezinteresownej miłości ojczyzny*, wypowiedzieli mi walkę jak najbardziej zjadliwą, jak najbardziej ubliżającą, bo walkę ignorowania, walkę narodowej kłatwy, przeszkadzając propagowaniu się wśród społeczeństwa nawet tych moich poglądów, które sami za słuszne, sprawiedliwe i użyteczne uważali. A to pewna, że kto chce zabić milczeniem to, co sam uznaje za prawdę, ten dopuszcza się walki przeciwko prawdzie, ten dopuszcza się jak najgorszego kłamstwa, zupełnie tak samo jak zmuszenie głodem oblężonej załogi jest najgorszą

napaścią na nią. Co chwila cisnęły mi się na myśl słowa Chrystusa Pana:

»Jeśli źle rzekł, daj świadectwo o złem: a jeżeli dobrze czemuż mię bijesz«?

Dzisiaj, gdy sobie przypominę, że potrzebowałam na to aż lat kilkunastu, by się przekonać, że serca Stańczyków i moje nie mogły się zejść w prawdziwej, gorącej i bezinteresownej miłości ojczyzny, muszę się przyznać do niesłychanej naiwności, która słusznie zamknęła mi drogę do politycznego działania w Galicyi. Bo czyż można było wyglądać głębi i prawdy uczuć po ludziach, którzy kilkunastoletnimi studentami patrzeli na okropności rzezi Galicyjskiej, a pomimo tego pozwolili bez protestu wydać sobie świadectwo przez pana Stanisława Koźmiana, że:

»z zewnętrznych wrażeń największe wywołał dla nich teatr Burgu«.... »Te świetne przedstawienia wryły się w ich pamięć i one także wywarły wpływ na ich umysłowe usposobienie, na artystyczne upodobania, na rozwój ich rozumu, na ich w wielu przedmiotach zapatrywania«. (Biografia Ludwika Wodzickiego str. 17.)?

Nie dziwota więc, że oczekiwałam napróżno odpowiedzi na głos serca i sumienia od ludzi, którym sufler stańczykowskiej komedyi podszeptął milczenie. Milczeliście więc, wymierzając równocześnie przeciwko mnie strzały z poza płotu, których z ochotą podjęły się te wasze bezmyślne manekiny, służące do rozpiwania na nich szablonów: konserwatywnych zasad, konserwatywnych gromów i konserwatywnych napaści.

Jakby pod wpływem deszczów majowych — czytamy w pogadankach umieszczonych w *Czasie* z dnia 11 maja 1880 roku — *»wzrasta literatura broszurowa«*. Choć często

są to pierwszaki, pierwsze próby pióra, brak im jednak woni wiosennej, kartki te szeleszczą, jak liście jesieni zwątpieniem, zaprzeczeniem i tą łatwą mądrością, która się zasadza na krytyce wszystkiego i wszystkich, na podchwytywaniu wrzekomych sprzeczności i przepisywaniu niewykonalnych programów. Nie nowa to choroba, choć się objawia w przeciwnych kierunkach, że kto stawia pierwszy krok na arenie publicznej, zamiast dalej prowadzić przez innych rozpoczętą pracę, chce wszystko od siebie zaczynać, zamiast próbować sił od jakiegoś szczegółu, aby choć jedną nić nawiązać do wspólnego pasma, targa to pasmo i chce zaczynać na nowo według własnego pomysłu. Ztąd u nas ciągle *powtarza pracę Penelopy każde pokolenie* i każda nowa jednostka; jestto równie szkodliwym, czy ta choroba prowadzi do jednej czy do drugiej skrajności, czy się przemawia w imię zapału, czy w imię wrzekomej rozważi. Przedewszystkiem trzeba stanąć w szeregu, coś podjąć i przeprowadzić, a szczeblami dochodzić tam, z kąd wychodzi komenda w prawo czy w lewo. Krytyki mamy aż nadto w polityce i literaturze, i tak wszystko przekrytykujemy, że niebawem mało co zostanie z tego cośmy odziedziczyli jako spuściznę duchową, a coby nie uległo zaprzeczeniu. Lecz jeśli krytyka w literaturze konieczną i polemika w polityce niezbędną, to szkoda sił młodych, dobrej woli i pewnej dzielności, aby się zużywała na takich zapasach, i aby sobie zamykała drogę na samym wstępie jakąś doktryną, którą po pierwszej próbie działania i czynu trzeba będzie zmodyfikować i odwołać. I moralistów nam nie brak, jak tego dowodzą broszury, a słusznie powiedziano, że niema narodu, któryby był więcej moralizowany, a z mniejszym skutkiem jak naród polski — dlaczego? bo wszyscy moralizują, a nikt nie słucha». «Za to p. Kiezkowskiego broszurę wszyscy słuchają, wszyscy czytają i na jej podstawie się naradzają, bo ten moralista choć wytknął różne grzechy nasze, coś praktycznego na nie wskazał».

Przyznać należy, że konserwatywni publicyści wielką czią przechowują szablony swojego natchnienia, skoro po ośmnastu latach mogą one służyć do kreślenia po-

ważnych politycznych rozpraw nie tylko już w *Czasie*, ale nawet w miesięczniku; będącym pod protektorem samego Prezesa akademii umiejętności. W październikowym bowiem *Przeglądzie Polskim* z r. 1898 na str. 37, zużytkowuje hr. Dębicki tenże sam szablon twierdząc w swoim artykule, p. t. *z pięćdziesięcioletnich roczników »Czasu«*, że:

»Do znamion naszej psychologii politycznej należy ta pogoń za nowością, zamięłowanie w świeżych programach, choćby na krótką metę, szukanie coraz to nowych kluczy do rozwiązania problemów chwili — byle odrzucić to, co jest i trwa, a od siebie zaczynać nową pracę Penelopy. Czy to jest dowodem żywotności, czy tylko braku stateczności?«

Rzeczywiście piękna perspektywa tej zasady, szczególnie w zastosowaniu do dzisiejszego stanu Galicyi, gdyby np. nawet teraz nie wolno nam było zmienić tego, co jest i trwa i gdybyśmy mieli koniecznie obowiązków z pogańskim fatalizmem brnąć dalej na drodze dezorganizacji politycznej, dekompozycji społecznej, zagłady ekonomicznej i zgnilizny moralnej! Niech się hr. Dębicki obrusza jak chce, niech wyszukuje między swojemi szablonami taki, który najwięcej mógłby mię ośmieszyć, zbagatelizować i lekceważyć, ale pomimo tego nie przestanę tego powtarzać — tak samo dzisiaj jak przed dziewiętnastu laty — że jeżeli nie chcemy zejść na ostatni szczebel narodowego upadku, po którym już niema innego kroku jak w grób, jak w wynarodowienie, to musimy porzucić cały ten gmach karciany, budowany od początku ery konstytucyjnej na gruncie liberalno postępowej kałuży, a spajany cementem kłamstwa i fałszu, i zacząć nową budowę od samych fundamentów, a więc od rodziny, od ogniska domowego, od

włości, od parafii i gminy. Dopokąd nie przestaniecie wierzyć we wszechpotęgę zbiorowego działania martwego mechanizmu stowarzyszeń, dopokąd nie przestaniecie ciężarem jego przywalać wszelkiego rozwoju, wszelkiej inicjatywy, działalności i odpowiedzialności jednostek, dotąd musimy na śmierć, a nie na życie narodowe zarabiać. Utrzymuje autor *Pogadank*, że są to *programy niewykonalne*. Śmiem mu na to odpowiedzieć po 19 latach, że chociaż nie wiem dlaczego, bo bez żadnego uzasadnienia, zarzuca mi zwątpienie i zaprzeczenie, to jednakże nie zwątpilem nigdy ani na chwilę o sile, potęgę i wykonalności pracy osobistej, społecznej i narodowej na chrześcijańskim budowanej poświęceniu i nie poszedłem i nie pójdę za łaską Bożą nigdy za przykładem szanownego autora i nie uznaję nigdy programu na takiej opartej pracy, za niewykonalny, chociażby nawet szanowny autor raz jeszcze miał moją wiarę w potęgę katolickiej naszej podstawy moralnej nazwać tą łatwą mądrością, która się zasadza na krytyce wszystkiego i wszystkich, na podchwytywaniu wrzeczonych sprzeczności i przepisywaniu niewykonalnych programów. Wolę tą łatwą mądrość, jak mozolne powtarzanie szablonowych pojęć, które zaledwie co kilkanaście lat zdoła szanowna redakcja *Czasu* odświeżyć jakimś nowym, głębokim poglądem na psychologię naszego narodu i serca, zaczerpniętą z tego samego źródła, z którego pan St. Koźmian i jego polityczni przyjaciele czerpali najsilniejsze wrażenia swojego życia, to jest z teatralnych desek.

Nie mogłem zrozumieć, z kąd hr. Dębicki mógł zasięgnąć tego potwornego przekonania, że u dwustu młodych ludzi, którzy na pierwsze hasło powstania podążyli na pole walki i bohaterską śmierć w Miecho-

wie znaleźli — *było wiele egzaltacyi, mało zapалу* — że ich »marzeniem była śmierć bohatera«. Rozjaśniła mi dopiero tą zagadkę grana na scenie krakowskiej »Warszawianka«. *Pieśń z roku 1831*, napisana przez Stanisława Wyspiańskiego.

W tej to sztuce wkłada pan Wespiański w usta Chłopickiego następujące słowa, których treścią odświeżył pan Dębicki swoje poglądy na narodowe uczucia młodzieży polskiej:

»tu jest ukryty miazm rozstroju i rozkładu
w malowniczości zgonu, to poemat
dla romantycznych głów —
nakryciez im czoło pióropuszcami,
a niech będą pióra czarne
i dajcie im kir na ubiory
niech się stroją wojownicy romansów...

.

było nam wtedy Zwycięztwo na imie
i tylko takie znaliśmy hasła
a dziś... wy chcecie zgonu, — więc zagaśła
Marsowa gwiazda; — wy młodzi, wy młodzi
wy się stroicie w szlify i w pióropusze
a zagrobowy laur wabi wam dusze,
czoła tak dumne, wyniosłe, senackie,
serc czystość, nieprzystępne pychy lackie
mundurami spowite, zatknięte na szpadzie...
Skąd ta żałość, skąd niemoc, skąd śmierci żądanie,
jakiż się smutku cień nad wami kładzie;
wasze śpiewy, rozmowy ukazują groby,
sztandary otulacie szarfami żaloby,
wy rycerze z rozkoszą goniący w podziemie,
wam tak spieszo, wzywając was duchy z Erebów,
już to w Nocy wieczystej wam miło
utonać, — uroczystych spragnieni pogrzebów, —
już się wasze wołanie spełniło?»

Niesumienna taktyka przemilczania i pokątnych napaści, taktyka obrachowana na stłumienie mojego głosu lub zmuszenie mię do połączenia się z nieprzyjaznym moim zasadom obozem liberałów i zabicia mię w ten sposób moralnie, nie powiodła się szlachetnym moim konserwatywnym antagonistom. Pytam się, jak śmie autor *Pogadank*, zarzucać mi niestaniecie w szeregu, wobec faktu, że pierwszy projekt broszury, napisany w r. 1875, przedstawiłem przede wszystkim hr. Stanisławowi Tarnowskiemu, prosząc go o umieszczenie go w *Przeglądzie Polskim*? I cóżem usłyszał wówczas od niego? Obrób szerzej i drukuj sam jako osobną broszurę. Stanisław Tomkowicz poszedł w r. 1895 o wiele dalej, bo gdym go prosił o umieszczenie mojej krytyki *Rzeczy o roku 1863* w *Czasie*, powążył się radzić mi wprost, żebym ją wydrukował w *Nowej Reformie*. Ten przynajmniej był najszczerzym z nich wszystkich i podążał wprost do celu moralnego zabicia politycznego przeciwnika.

Jednakże ten schlachetny, przez panów konserwystów obrany system przemilczania dla zgłuszenia niewygodnego dla nich głosu uczciwej, na dowodach opartej krytyki i niewygodnej prawdy, nie powiódł się tym szlachetnym stróżom godności i honoru narodowego, nie osiągnął swojego celu, nie zmusił mię do milczenia, nie przeszkodził mi do wypowiadania przekonań, które głosić nakazywało mi moje sumienie.

W r. 1884 w I. tomie dzieła pod tytułem: *Polityka austriacko-polska* wykazywałem znowu tym panom konieczność rozbudzenia w kraju inicjatywy indywidualnej, opartej na podstawie osobistej pracy moralnej i rozbudzenia ducha poświęcenia, poczucia odpowiedzialności w warstwach przewodnich narodu za dobre i złe jego losy.

I tak przestrzegałem ich jeszcze w r. 1884 i w r. 1891, w dziele pod tytułem: *Polityka austriacko-polska*, że:

Tymczasowością, bez jasno określonego celu dążeń, żaden na świecie naród żyć nie może, bo każda jego jednostka potrzebuje wyrobić sobie, stosownie do tego celu i do swych zdolności, pewien zakres samodzielnej pracy i indywidualnego działania» (tom I. str. 230).

»Jeżeli nie ogrzejemy szlachty polskiej moralnie, obudzając w niej energią samodzielnej pracy, polegania na własnych siłach i głowie; jeżeli nie wzbudzimy w niej przywiązania i ducha poświęcenia dla ogniska domowego, jeżeli nie pokrzepimy jej materialnie przez wprowadzenie w praktykę nierównych działów majątkowych, to ani kredyt, ani spółki rolnicze nie będą w stanie wstrzymać upadku tej szlachty, która przetrwawszy wieki sławy i niepowodzeń, zginie marnie w powodzi liberalizmu. A wtedy daremnie wysilać się będziemy nad podniesieniem chłopą, dla którego jedynie skuteczna pomoc moralna i materialna wychodzić może od proboszcza i dziedzica» (*ibidem* T. I. str. 256).

»Konserwatywne stronnictwo podobnem jest rolnikowi, który spostrzegłszy na polu perz, miotłę i rumian, w miejsce spodziewanego plonu pszenicy, nie pomyśli o tem, że nawóz przyorał za mokro, rolę źle uprawił, że od dwudziestu lat ziarna do siewu nie zmieniał, siał późno i nie dbale; lecz wypatruje we dnie i w nocy, czy skowronki, wróble lub wrony nie zasiewają chwastów na jego niwie, i jako jedyny środek zbawienia uważa pisanie rozpraw po dziennikach rolniczych o zaprowadzeniu komory celnej dla tych skrzydlatych przemytników.«

»Za każdym bolesnym objawem złego, naradzają się przewodnicy stronnictwa nie nad tem, jaką rozwinąć działalność, nie nad tem, jak wzmocnić uczciwie siły kraju, lecz nad tem jaki napisać artykuł przeciw *N. Reformie*, temu jednemu źródłu upadku moralnego...«

»To też puściwszy w świat artykuł, stronnictwo zasypia w błogiem przekonaniu, że dopełniło swego obowiązku, że złożyło dowód wobec potomności, iż nie zaniedbało

działania społecznego, od którego czuje się już zupełnie zwolnionem kilkoma arkuszami drukowanej bibuły» (*ibidem* T. III. str. 12).

»Wyczekiwanie zbawienia politycznego, ekonomicznego i społecznego od publicznych instytucji i prawodawczych uchwał ztępiło do szczytu wiarę w skuteczność działalności indywidualnej, która jest podstawą chrześcijańskiego ustroju społecznego i chrześcijańskiej miłości. Na człowieka jako jednostkę włożył Chrystus Pan obowiązki i osobistą odpowiedzialność, a nie na kasty, stowarzyszenia, narody lub państwa. To też widzimy, że im więcej społeczeństwo zbliża się do chrześcijańskiego ideału, tem ostrzej zarysowuje się osobista własność, osobisty obowiązek względem bliźnich i społeczeństwa i osobista odpowiedzialność. Przeciwnie w miarę oddalania się od tego ideału, spostrzegamy dążenie do własności zbiorowej, w której nikną osobiste obowiązki i w której zaciera się poczucie osobistej odpowiedzialności, rozplývając się w niepochwytym chaosie materyalistycznego fatalizmu (*ibidem* T. III. str. 138).

»Nie rząd, nie socyalistyczna i materyalistyczna propaganda winne są temu, że dzieci schodzą z drogi praw Bożych, że chłop nie szanuje proboszcza, że da się podburzyć przeciw dziedzicowi, ale winni temu rodzice, proboszcz i szlachcic i to bez względu na to, czy tym rządem będzie rząd austriacki, pruski, rosyjski, a chociażby nawet i chiński. O tem zapominaliśmy na każdym kroku... »Czy panowałyby nędza pośród ludu, gdyby dziedzic stał się jego ekonomicznem centrum, gdyby nie tylko wyparł ze wsi żyda i pokątnego doradcę, ale umiał go sam pod każdym względem chłopu zastąpić? Ale niestety, by dojść do tego celu, trzeba się zdobyć na najtrudniejsze poświęcenie, wymagające za każdym dniem, za każdą godziną tego samego zapалу serca, nie opłacającego się ani dorywczemi skutkami, ani tryumfami miłości własnej. Wygodniej więc tworzyć komitety włościańskie w sejmie, lub komitety żebracze w kraju, wygodniej demoralizować chłopca frazesem lub jałmużną, wyciśniętą wprawdzie nie z potu pracy ludzkiej, ale z potu walca i mazura, rzucając ją bez znajomości właściwej potrzeby, byle tylko zyskać poklask *Nowej Reformy* lub *Kuryera*

Lwowskiego, jak zabrać się szczerze do uregulowania żywotnych spraw tego chłopu u siebie na wsi, lub też w kraju całym, skoro takie staną na porządku dziennym sejmu krajowego» (*ibidem* T. III. str. 139).

»Praca organiczna, jeżeli nie ma być czczym frazesem, lub upoważnieniem publicznem do spokojnego hołdowania często egoistycznej żądzy jak najszybszego dorobienia się majątku, musi mieć za główną myśl przewodnią wyrównanie społecznych nierówności« (*ibidem* T. III. str. 143).

Jednym z największych błędów dzisiejszej formy miłosierdzia chrześcijańskiego, jest przerabianie go na modłę prądów ekonomicznych naszego wieku, zaprowadzając w niem zbiorowość i bezimiennność. Chcąc przyjść w pomoc potrzebującym wsparcia lub ratunku, rzucamy najczęściej swój pieniądź czy to w ręce dobroczynnych towarzystw, czy w ręce kas pożyczkowych, nie będąc najczęściej w możności przyłożenia do niego osobistego ciepła serca, osobistego zetknięcia się z nędzą bliźniego i osobistego poznania własnych jego potrzeb.

Dobroczynność taka stwarza z jednej strony obojętne świadczenie na rzecz pojęcia bezimiennej biedy ludzkiej, wpływające nie z żywej miłości bliźniego, lecz z chęci zadośćuczynienia zasadzie tejsze miłości; z drugiej zaś strony tworzy ona całą warstwę dobroczynnej biurokracyi, ratującej bliźniego nie swoim ale cudzym groszem, a więc pozbawionej tego ważnego czynnika, którym jest duch poświęcenia, zasadzający się na odjęciu od ust sobie, a dania wołającym ratunku i pomocy.«

»Nie wątpię, że w miłosiernej tej biurokracyi znajduje się wiele serc gorących i poświęcających się, ogół jej jednak musi zawsze mieć wszelkie wady obojętności i chłodu, przywiązane do szafowania cudzym groszem. Jedna i jedyna jest na świecie instytucya, która tej wady może uniknąć, a tą jest Kościół, wraz ze swojemi zakonami, bo nad tą instytucją Duch Boży panuje, a członkowie jej poświęcają dla miłości Boga i bliźniego majątek, sławę, rodzinę, a więc wszystko, co stanowi dla ogółu ludzi treść ziemskiego osobistego szczęścia.«

»Tak jest, tylko Kościół powszechny, ogarniający swą miłością cały ród ludzki, mający codzienną styczność i dokładną znajomość wszystkich nędz ludzkich, może skutecznie podejmować się ratunku tam, gdzie nie wystarcza działanie jednostki.«

»Ludzie żyjący w ziemskim ruchu świata, ubiegający się za wywalczeniem dla siebie i ludzkości chleba powszedniego i materialnych środków egzystencji, mają powołaniem swoim wytkniętą sferę działania, w której jedynie mogą skutecznie rozwijać swą miłość bliźniego; bo ta tam tylko może w całej pełni się rozwinąć, tam tylko skuteczną się okazać, gdzie jednocześnie dosięga ręka, rozum i serce. Najszersze pod tym względem pole osobistego działania używała Opatrzność szlachcie, osiadłej na majątkach ziemskich. W jej ręku bowiem spoczywa nie tylko skuteczne ratowanie biedy, ale zarazem wielkie zadanie niedopuszczania do niej.«

»Najważniejszym zadaniem szlachty nie jest szerzenie zebraniń między ludem, lecz wyrabianie u samych jego podstaw samodzielnych i silnych ekonomicznie jednostek, umiających własną pracą dochodzić do mienia i bronić się przeciwnościom losu. Niech szlachta spełnia sumiennie swój chrześcijański obowiązek, a możemy być pewnymi, że dobroczynność publiczna nie będzie potrzebowała zajmować się losem tej masy proletariatu ze zdrowymi rękami, która dziś ciąży na jej barkach, ze szkodą prawdziwych nędzarzy: chorych i kalek« (*ibidem* T. III. str. 144).

»Nie lekceważąc bynajmniej udziału szlachty w gminnej instytucji, mam przekonanie, że jej główne szersze społeczne zadanie, główny sposób wniknięcia w organizm społeczeństwa zupełnie gdzieindziej się znajduje. Zadaniem szlachcica na wsi jest moim zdaniem, wnikanie w potrzeby moralne i ekonomiczne chłopa, nie zapomocą martwej matematycznej formuły, nie zapomocą suchych uchwał i instytucji, ale zapomocą bezpośredniego osobistego wdania się między chłopa a jego potrzeby, w tych właśnie razach, gdzie sucha kańciata formuła prawa lub statutu wystarczyć nie może« (*ibidem* T. III. str. 148).

»W działaniu społecznym najważniejszą jest rzeczą rozsądek, systematyczność i cierpliwość. Nie dojdzie w niem

do żadnych rezultatów człowiek, który chce sam wszystko zrobić i sam oglądać owoce swej pracy. Działanie bowiem ludzkie, ma zawsze pewne granice przestrzeni i czasu; rzucając się po za nie, marnuje się tylko bezużytecznie swe siły. Jak rolnik wszedłszy w spustoszony majątek, musi przede wszystkim wyszukać najlepsze, najsilniejsze kawałki gruntu i ku tym głównie zwrócić swą pieczołowitość, czekając spokojnie, aż zpotęgowana siła produkcyjna dobrej gleby, potrafi z czasem zasilać swą słomą i mniej dobre grunta; tak samo w życiu społecznym należy przede wszystkim wzmacniać i podtrzymywać zdrowe moralnie i ekonomicznie czynniki, czekając spokojnie, aż to zdrowie samo rozleje się na coraz to dalsze koła. Szarpanie się, chęć zaradzenia naraz wszystkim brakom, zwalczania wszystkich złych prądów, podniesienia całego moralnego poziomu, doprowadza zawsze tylko do zawodu i zniechęcenia» (*ibidem* T. III. str. 150).

Słusznie mówi hr. Tarnowski, że przed 30 laty oddawaliśmy się świetnym widokom przyszłości. Tak jest!

»Oddawaliśmy się najlepszej nadziei przyszłości, bo w niedoświadczeniu swem nie myśleliśmy jeszcze o tem, że nie zewnętrzny nieprzyjaciół niszczy ludzi, stronnictwa i narody, ale zawsze tylko wróg, który się zagnieździ w ich własnym łonie» (*ibidem* T. III. str. 59).

»Stać niby to przy krzyżu, a działać wręcz przeciwnie, mówić o chrześcijańskiej miłości, a gruntować patryotyzm na nieprzejeźdździej nienawiści do nieprzyjaciół ojczyzny, oto nasz sposób postępowania. Powykreślaliśmy z prawd wiary wszystko, co nam niedogadza w życiu rodzinnym, politycznym i społecznym i zostawiliśmy z nich tylko martwy szkielet, którego przywiązanie do tradycji nie pozwala nam wyrzucić do kostnicy, ale który nie godzi się, ani z naszym rozumem, ani z naszym sercem» (*ibidem* T. III. str. 185).

Jeszcze przed 8-miu laty pisałem, że:

»Na szczęście w dziewiętnastym wieku jest niechybne lekarstwo na choroby społeczne i ekonomiczne, lekarstwo

wygodne, bo nie zamyka przyszłości, nie nakłada zobowiązań na przyszłe pokolenia, a tem jest kredyt i bank. Wyzebrałszy więc bank, bo lekarstwa nie odmawia się nawet żebrakowi» (*ibidem* T. III. str. 95).

»Żle i nibdbale uprawna rola zaczęła coraz gęściej porastać chwastami. Zwykłą to jest rzeczą, że gdzie proboszcz i dziedzic nie umieją wypełnić obowiązków społecznych, jakie Bóg na nich włożył, tam chłop wpada w ręce pokątnych doradców i żydów, którzy zdobywszy sobie bezwzględne jego zaufanie, wyzyskują je dla osobistych celów i korzyści« (*ibidem* T. III. str. 87).

W temże dziele skreśliłem szkic celów, do jakich powinniśmy, mojem zdaniem, zdążać powoli w przyszłości pod względem uregulowania sprawiedliwych stosunków pomiędzy kapitałem a pracą. Monopol bankowy zdał mi się nieuniknionym warunkiem zaprowadzenia sprawiedliwości pod tym względem, warunkiem jednakże tak trudnym do osiągnięcia, że chyba w dalekiej przyszłości marzyć o nim możemy. Pomimo tego uważam na czasie zacytowanie zasad jakimi — mojem zdaniem — bank państwa powinienby się kierować, sądzę bowiem, że zasady te mogłyby się być i bez monopolu zaprowadzić w ustawodawstwie dla kredytowych instytucji, i myślę, że gdyby konserwatywna prasa zamiast przemilczać moje myśli była wówczas co do nich ożywioną wywołała dyskusyą, to od ośmiu lat dałoby się niejedną z tych zasad wprowadzić do ustawodawstwa, przez co kraj nie byłby się znalazł w tak groźnem finansowem przesileniu, jak się to dziś stało.

»Trzeba przedewszystkiem — żądałem — odebrać kapitałowi cechę niepochwytnej tajemniczości i powrócić do starej zasady Kościoła katolickiego, potępiającej lichwę, t. j. wyższy procent jak piąty, jako rzecz niemoralną i bezprawną.«

»Niech państwo zaprowadzi taką samą ścisłą ewidencją własności kapitałów, jak to zrobiło dla własności ziemskiej i zakładów przemysłowych, niech przetnie silną dłonią lichwę, a kapitał zostanie ostatecznie przyparty do muru i będzie musiał poddać się ciężarom publicznym bez możności zwalania ich na innych.«

»Do tego celu prowadzi, mojem zdaniem — przede wszystkim zmonopolizowanie czynności bankowych i kredytowych w rękach państwa.«

»Bank państwa powinien kierować się następującymi zasadami:

1) Pożyczki na zasadzie zwrotu całego kapitału. mogą być udzielane tylko na krótkie terminy, t. j. najwyżej do roku. Wszelkie sumy lokowane na dłuższe jak roczne terminy i to bez względu czy dłuższy termin odrazu przy udzielaniu pożyczki jest oznaczonym, czy też pożyczka krótkoterminowa następnie jest przedłużoną, mogą być udzielane tylko na zasadzie amortyzacji.«

2) Oznaczenie warunków podług których ma się różnić kredyt krótko i długo terminowy ze względu na jego istotę t. j. na cel, w którym dłużnik zaciąga pożyczkę, należy wyłącznie do Banku państwa. To znaczy, że jeżeli n. p. bank przyjąłby za zasadę, że krótkoterminowe pożyczki mogą być tylko udzielanymi na chwilową, wyjątkową potrzebę rolnictwa, handlu lub przemysłu, t. j. na zyskanie gotówki przez czas pomiędzy wyprodukowaniem wartości, przeznaczonej na sprzedaż, a jej rzeczywistym sprzedaniem, to wierzyciel nie ma prawa lokować w ten sposób swojego kapitału, gdyby się okazało, że dłużnik zaciąga pożyczkę w celu zyskania brakującego mu obrotowego lub wkładanego kapitału, którego potrzeba nie jest chwilową, wyjątkową, lecz stałą, przeciągającą się na dłuższe lata« (*ibidem* T. III. str. 38).

»....Żadna instytucja publiczna, z jedynym wyjątkiem ustanowionego przez Chrystusa Pana powszechnego, katolickiego Kościoła, nie może podejmować dzieł miłosierdzia chrześcijańskiego, gdyż żadna nie może działać inaczej, jak za pośrednictwem rozgałęzionej, płatnej i obojętnej biurokracji, wtłoczonej w zimne, z góry przez prawo przewi-

dziane formułki, wręcz przeciwne rozwojowi chrześcijańskiej miłości. Dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego, nie może być spełnianem bez gorącej chrześcijańskiej miłości» (*ibidem* T. III. str. 53).

»Uważam to — mówiłem w r. 1891 — za pewnego rodzaju zapoznanie prawd Bożych przez konserwatywne stronnictwo, gdy, widząc jak demokratyczny przewrót zyskuje grunt pod nogami przez rozszerzanie swego wpływu na masy ludu, wysiła się ono również by tą samą demokratyczną drogą działania na masy dojść do wywalczenia sobie zwycięstwa«....

»Tak jest, dziesięć jednostek uczciwych, wierzących w Boga i zachowujących Jego prawa, stanowi siłę, wobec której bezsilną staje się złość i przewrotność setek i tysięcy, która wcześniej lub później musi pochylić głowę przed prawdą.«

»To też pierwszym krokiem do podniesienia ludu wiejskiego jest wyszukanie i wzmocnienie żywiołów uczciwych, oszczędnych i pracowitych i ratowanie przed ruiną lub żydowskim wyzyskiem tych właśnie jednostek, które mają w sobie zasób zdrowia moralnego i ekonomicznego« (*ibidem* T. III. str. 150).

»Zazwyczaj chwilą krytyczną dla chłopu jest podział majątku«....

»Zastąpić w tym wypadku żyda i adwokata jest jednym z najważniejszych zadań i obowiązków szlachcica na wsi.«

»Obowiązkom tym bardzo łatwo może podołać dziedzic, użyczając chłopom pożyczek amortyzujących się w latach n. p. piętnastu«....

»Jeżeli się ten system pożyczek amortyzacyjnych uzupełni szerokiem zastosowaniem, drobnych pożyczek bezprocentowych w zbożu i pieniądzech na odrobek dla komorników i gospodarzy, posyłających służbę lub dzieci na najem, to możemy być pewnymi, że żyd zniknie ze wsi jak kamfora, byle tylko dziedzic nie utrzymywał go sam na karczmie, albo nie oddawał mu w dzierżawę swoich krów lub swych folwarków« (*ibidem* T. III. str. 152).

»Wielkim jest to błędem — mówiłem również wówczas — wyglądanie poprawy stósunków społecznych od samych praw i instytucyi, a zaniedbywanie reformy życia społecznego. Niema bowiem na świecie ani społecznych ani politycznych praw tak ciasnych i tak twardych, żeby nie dały się rozszerzyć, zmiękczyć i uszlachetnić przez chrześcijańską pracę społeczeństwa.«

»Najbrutalniejsza litera prawa staje się martwą i bezsilną, jeżeli społeczeństwo przejętem jest prawdziwą miłością chrześcijańską. O tem powinno pamiętać przedewszystkiem w Galicyi to stronnictwo, które katolicyzm wypisało na sztandarze i zamiast uganiania się za większością parlamentarną zapomocą łamanych sztuk i kompromisów, które zawsze prowadzą tylko do chwilowych powodzeń, kosztem zaparcia się pewnej części swych zasad, powinno ono dążyć do stworzenia choćby nielicznego, ale zato zwartego stronnictwa w Sejmie i Radzie Państwa, złożonego z ludzi prawdziwie chrześcijańskich, którzy wzięwszy sobie pracę społeczną w sferze osobistego działania za główne zadanie życia, staraliby się o wywalczenie wpływu dla swych zasad nie tyle w reprezentacyi kraju, jak w kraju samym; w życiu zaś publicznem stali na straży ich czystości, czekając cierpliwie, aż wpływ zdobyty w kraju przez wspólną pracę zapewni im zwycięztwo w Izbie.

»Czyn powinien być hasłem tego stronnictwa, które powinno o tem pamiętać, że działać skutecznie może tylko człowiek, gdy się nie rzuca poza sferę, którą Bóg ograniczył jego działanie. Przyjąwszy za podstawę w pracy społecznej działanie na swym własnym przyrodzonym gruncie — to jest działanie na swoją rodzinę, na swoje dzieci, na swoich chłopów, na swoich sąsiadów i swoich przyjaciół, z którymi łączą ich te same etyczne podstawy — powinni ludzie tego stronnictwa w policyce, zamknąć się również w swym własnym zakresie, a więc tu w Galicyi myśleć tylko o sprawach Galicyi i Austrii« (*ibidem* T. III. str. 205).

Ne mogę tu pominąć faktu, że w *Przeglądzie Pow-szechnym* przerwał milczenie przeciwko mnie w r. 1884

p. Paweł Popiel, umieszczając bezimiennie krytykę dwóch pierwszych tomów mojej *Polityki austriacko-polskiej*.

»Gdyby nie sumienny i dobroduszny zapal — czytamy — który autorem miota, słusznie możnaby mu zrobić zarzut, jakim prawem miesza, zapewne bezwiednie, różnorodnych stronnictw w Galicyi aspiracye. Pisze jakby nie wiedział, *a wie wszystko*, że w koronnym kraju naszym są dwa prądy, które jak różnem płyną korytem, tak nie wolno ich mieszać ze sobą bo dążą do innej przystani. Czy to w Galicyi nie ma ludzi potępiających rewolucyjne ruchy? Czy ludzi co wyrzekli »przy Tobie panie stoimy i stać chcemy«, przystoi o złą podejrzawać wiarę? czy sprawiedliwie można ich oskarżać, że chcą poróżnić Austryę z Rosyą, czy to prawda?» (T. III., r. 1884, str. 145).

Oczywiście, że nie widziałem najmniejszego powodu do odpowiadania na to zapytanie, skoro ani jednego słowa krytyki politycznego działania naszych konserwatystów nie zaryzykowałem bez nieulegających wątpliwości dowodów, zaczerpniętych z mów parlamentarnych najpoważniejszych konserwatywnych posłów i z artykułów *Czasu* i *Przeglądu Polskiego*. To też chcąc zbić moje twierdzenia, trzebaby koniecznie wykazać bezpodstawność moich dowodów, co chyba wątpię, żeby się mogło udać krytyce konserwatywnej, bo, jak słusznie powiada Szanowny Autor krytyki, *wiem ja wszystko*, a więc wiem doskonale to, że cała polityka stańczykowska opartą była na przypuszczeniu, że Austryą popchnie się do wojny z Rosyą i wywalczy się niepodległą z Austryą sprzymierzoną Polskę. Jeżeli zaś dziś poruszam i ten szczegół, to tylko dlatego, by przypomnieć, że i w tym względzie kilkanaście lat przyniosło mi parę nowych niezbitych dowodów mojego twierdzenia. I tak w apologii swojej *Rzeczy*

o roku 1863 pisze St. Tarnowski w lipcowym zeszycie *Przeglądu Polskiego* z roku 1895 na str. 92, że:

»Po śmierci Szujskiego, między zeszytami, w których on zaczynał swoje prace lub rzucał na papier oderwane myśli, znalazł się jeden, pusty cały, tylko na pierwszej karcie zapisane stoi pytanie: *A kto wam powiedział, że Stańczyki nie chcą niepodległości?*

Również hr. Ludwik Dębicki podaje nam wiadomość w *Przeglądzie Polskim*, że celem *Czasu jedynym*, któremu on jest dotychczas wiernym, *jest pracowanie około odzyskania wolnej i niepodległej Ojczyzny*.

U tegoż równie dziennikarza znajduję najlepszy dowód, że zupełnie bezpodstawnym jest zrobiony mi przez pana Pawła Popiela zarzut, że *piszę, jakbym nie wiedział, że w koronnym kraju naszym są dwa prądy, które, jak różnem płyną korytem, tak nie wolno ich mieszać ze sobą, bo dążą do innej przystani*. Prądy te bowiem widocznie umiałem ze stanowiska konserwatywnego odróżnić, gdy pisałem n. p. w tejże *Polityce austriacko-polskiej* (w tomie I, na str. 19) wydanej w r. 1884, że:

»Jakaż byłaby niespodzianka dla ludzi, którzy w dobrej wierze oburzają się na tą nieczułość i brak serca autorów teki, gdyby odczytawszy ją od początku do końca, przekonali się, że w niej niema ani cienia aluzji do cierpień narodowych, że naigrzanie ogranicza się do ludzi, którzy nie pod ogniem rosyjskich armat, lecz pod osłoną swobód autonomicznych chcą sobie zasłużyć na miano męczenników i *uprzywilejowanych miłośników Ojczyzny*, przez czcze demonstrowanie na lwowskim i krakowskim bruku«,

skoro dziś po 15 latach hr. Ludwik Dębicki nie zdobył się na inną definicyą stósunku tych dwóch prądów

i prawie ją skopiował w kwietniowym *Przeglądzie Polskim* z r. b. na str. 109, twierdząc, że:

»*Teka Stańczyka* nie znieważała ostatniej walki, pełnej bohaterstw i ofiar, przedstawiła tylko całą galerię typów politycznej obłudy, tartuferyi patryotycznej«.

Również i artykuł *Przeglądu Polskiego*, omawiający defraudacye lwowskiej Kasy oszczędności, nie umiał wyszukać dla przeciwników politycznych silniejszego argumentu, jak zarzut *monopolu miłości Ojczyzny*.

Jeżeli jednak nie odpowiedziałem na razie na krytykę pana Pawła Popiela, to miałem także inny, ważniejszy do tego powód. Musiałbym był wystąpić do bezpośredniej, osobistej polemiki z człowiekiem, z którego postępowaniem politycznem i politycznemi przekonaniami mogłem się w wielu punktach nie zgadzać, z którym jednakże łączył mię ten sam grunt zasad i pojęć moralnych, a który miłość swoją do ojczyzny taką, jak ją czuł i obowiązki względem niej takie, jakie wskazywało mu jego sumienie, gotów był zawsze stwierdzać czynem, nie oszczędzając ani swojego życia, ani życia swoich synów. Odpowiadać takiemu człowiekowi, który nie wątpił ani o mojej dobrej woli, ani o mojem sumieniu, który wobec rozciągniętego nad moją głową całunu politycznej śmierci, poczuwał się jednak do obowiązku wypowiedzenia swojemu stronnictwu prawdy, że opinii moich nie wolno zabijać milczeniem; odpowiadać mu właśnie wtedy, gdy mimowolnie ranił wszystkie uczucia i dążności, stanowiące treść całego mojego życia, gdy dopuszczał się największej względem mnie niesprawiedliwości, gdy niesprawiedliwość ta godziła nie tylko we mnie, ale we wpływ moich idei na przy-

szłość kraju, to było nad moje siły. Dzisiaj poruszam tą bolesną stronę mojego życia, bo czas zarówno wlał w moje serce spokój, potrzebny do traktowania tak drażliwych wspomnień, jak dostarczył mi nowych niezbitych argumentów prawdy.

»Narody w pełni używania praw swych, jak to doskonale widzieć może p. Moszyński, błędzą po manowcach, kiedy nasze społeczeństwo w Sejmie i Radzie państwa, w publicystyce większością dąży do prawdy. Hr. Moszyński zakochał się w jednym przykładzie, jednej formule. To nie wystarcza, systematu nie rozwinął w tak ciężkich sprawach, jak te, które poruszył, nie da się, powtarzamy, *wojować sentencyami z pisma świętego*, których nie należy tłómaczyć dowolnie, ani *zdaniami z Le Playa*. Kto potępia tych, co posługują się ułamkami prawdy, winien postawić całość, tego nie zrobił i nie potrafi« (str. 145).

Co może znaczyć ten zarzut dla czytelnika, któryby nie miał sposobności albo cierpliwości przeczytać mojej *Polityki austriacko-polskiej*? Oczywiście, że autor jej powyrywał na hybił trafił cytaty z pisma świętego, które pozwoilił sobie dowolnie, a więc fałszywie tłómaczyć, a doczepiwszy do nich zdania *Le Playa*, sformułował zuchwale akt potępienia, przeciwko dążącym do prawdy kierownikom polityki galicyjskiej, nie stawiając sam żadnego jasnego programu przyszłości.

»*Moszyński zakochał się w jednym przykładzie w jednej formule*«, powiada p. Paweł Popiel. Śmiem temu wprost zaprzeczyć. Moszyński zakochał się w jednej podstawie wszystkich swoich sądów, wszystkich obowiązków względem Boga, bliźniego, ojczyzny, społeczeństwa, ludzkości i siebie samego, a tą podstawą jest bezwzględna wiara w prawdę objawioną. Ta wiara była dla mnie i mam w Bogu nadzieję, że zostanie do gro-

bowej deski, jedynym probierzem złego i dobrego, jedynym materiałem do sądów zarówno o postępowaniu własnem, jak o postępowaniu bliźnich. Ta wiara była pobudką do nieustannej walki pomiędzy objawianą prawdą, a pychą własnego rozumu, podłością własnego serca, próżnością i tchórzostwem własnego charakteru. Ta jedynie bezwzględna wiara uratowała mię od zbrocheń stałych umysłu i serca, ta jedynie pozwalała mi na powstawanie z upadków, ta za łaską Bożą wzmocniła o tyle moją wolę, że każdy rozstrój pomiędzy własnym rozumem, a prawdą objawioną, zdołałem albo usunąć zwycięzką walką i zwycięstwem prawdy, albo zmusić do milczenia nurtujące rozum wątpliwości, aż do chwili, której twarda kolej życia pozwoliła mi wykrzyknąć wraz ze Świętym Tomaszem: »*Pan mój i Bóg mój!*«

I zawsze przychodziła ta upragniona chwila, w której te prawdy wiary, które w zarozumiałości i pysze mojego rozumu zdawały mi się zbyteczne, lub niezgodne z rozumem, stawały wreszcie przed umysłem moim, w całej swojej chwale, jako niezbędne podstawy szlachetności serca, jasności rozumu i prawości charakteru i jako konieczne warunki uczciwego życia rodzinnego i zdrowego narodowego rozwoju.

Na myśl mi nigdy nie przychodziło wojowanie sentencyami z pisma świętego. Sentencye te cisnęły się prawie zawsze do mojego umysłu podczas walk własnego mojego sumienia z własną pychą umysłu, z własną słabością woli, z własną nikczemnością serca, z własnym brakiem dostatecznej ufności w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże i najczęściej za łaską Bożą przechylały, albo zwycięstwo, albo wyrok na stronę sumienia.

Z pewnością, że jednego niema zdania wypowiedzianego przeze mnie w moich książkach, któreby nie było wyrazem własnych moich cierpień, własnych moich walk, własnych moich upadków i zwycięstw odniesionych przez własne moje sumienie. Gdyby prawdą było, że dopuściłem się takiej zuchwałości, iż sentencye Pisma świętego považyłem się dowolnie, a więc błędnie tłómaczyć, to dlaczegoż nie wykazał mi błędów p. Paweł Popiel, skoro je spostrzegł? dlaczego nie wykazali mi ich ani Ojcowie Jezuici, ani Biskupi, którzy czytali moje książki? dlaczego nie odesłano ich do Św. Kongregacyi i nie obłożono indeksem? Bóg świadkiem, że ani chwili nie zawahałbym się odwołać wszystkich moich poglądów, wyprzeć się pracy całego mojego życia, gdyby tylko jej owoce potępionemi zostały przez powszechny rzymsko-katolicki Kościół. Że wyjątkami z *Le Playa* nie wojowałem, co więcej, że nie wiedziałem nawet o istnieniu *Le Playa* w chwili, gdy cały projekt do mojej *austriacko-polskiej Polityki* był już napisanym, mogę się w tem powołać na świadectwo hr. Zygmunta Pusłowskiego, który spostrzegłszy w moich poglądach wielkie pokrewieństwo z *Le Playem*, zmusił mię gwałtownie do przeczytania jego dzieł i do zużytkowania jego powagi na poparcie mojego zdania. Zupełnie to samo miało miejsce w kilka lat później z Donozo Cortès'em, po napisaniu pierwszego tomu *Myśli Politycznej z księgi dziejów, cierpień i pracy*, któremu głównie dlatego osobny rozdział w drugim tomie poświęciłem, by nie być posądzonym o kradzież jego poglądów. Ta wspólność uczuć i poglądów między katolikami myślącymi i czującymi z całego świata, bez względu na ich narodowość i czas ich działania, zostanie niezawodnie świetną

illustracją potęgi jedności Kościoła, rodzącej jedność uczuć i myśli jego wiernych.

Zarzuca mi pan Paweł Popiel, że nie stawiam całości prawdy. Chętnie mu wierzę, że tego nie zrobił i zrobić nie potrafię. Ale któż to może zrobić? Mnie się zdaje, że jest to tylko w mocy Bożej i w mocy ustanowionego przez Chrystusa Pana Kościoła Bożego. Bolesną to jest rzeczą, że tak poważny i prawy człowiek jak p. Paweł Popiel od początku do końca podsuwa mi w swojej krytyce jedne insynancje po drugich i to jedne boleśniejsze od drugich, a żadnej nawet pobieżnie nie kwapi się uzasadnić, nie próbuje nawet ani razu wskazać mi na czem opiera tak ciężkie i dotkliwe zarzuty? Krytykę swoją zaczyna p. Popiel od słów:

»Książki, która może nam się wydawać bałamutna, nawet szkodliwa, jeżeli napisana z dobrą wolą, sumieniem i talentem, nie wolno zabijać milczeniem, zwłaszcza jeżeli zasady, których bronić zamierza, choćby je kompromitować były prawdziwemi« (str. 142).

Że książka moja mogła się wydać bałamutną, temu nie dziwię się zupełnie, bo takie wrażenie będzie zawsze robił każdy obraz, zdejmowany wprost z natury, będący wynikiem walki wewnętrznej i zewnętrznej, a nie spokojnie obmyślanego szablonu, przyciętego do pewnej z góry obranej formułki. Ale dlaczego szanowny krytyk nie raczył wskazać mi, w czem uznaje moją książkę za *szkodliwą*, czem ma ona kompromitować zasady, których bronić zamierza? tego niepodobna mi pojąć.

»Czy (Wielopolski) — powiada p. Paweł Popiel — był poparty, albo czemu nie był, czyja w tem wina, jakie ztąd straty, o to dzisiaj już mniejsza, ale nie mniejsza, jak sobie autor myśl Wielopolskiego, którą stawia nam za modłę, wystawia:

»Powracając ustawnie do tej myśli, gromiąc ludzi przewodnich Galicyi, że inną się rządzą, nie określił jej wcale, określić jej nie mógł, bo nie ma do tego danych, bo Wielopolski, człowiek praktyczny, sumiennie działając, bez zdrady monarchy, który mu zaufał, wprowadzał instytucje zbawienne dla nas, nieszkodliwe dla Rosyi, których celem był naturalny rozwój i stosunek, mogący cesarstwo zasłonić od choroby, która je toczy. *O złaniu lub rozplywaniu żywiołu polskiego w rosyjskim nie było tu nigdy mowy* i tu różnica, którą nie wiem, czy autor dostrzegł między Margrabią, a tym, który jego spadek przedstawił, ale go nie odziedziczył. Spasowicza przepaść dzieli od Wielopolskiego. Idealizm jego, zdaje się, zlanie na konstytucyjnym gruncie, zarówno, jak wolni z wolnymi, Rosyan i Polaków, z zatraceniem tych żywiołów, które treść naszej przeszłości stanowią.

Czy mógł tego Wielopolski pragnąć, czy mógł *poświęcić kapitał duchowy* i społeczny, który nasza nagromadziła historia, czy mógł zapomnieć o *wierze katolickiej, hierarchii społecznej, zachodniej cywilizacji*? Nigdy. Czy pragnąłby tego hr. Jerzy Moszyński? Nie należy zatem w szlachetnym zapale zbyt potęgować zasad prawdziwych i stosować ich do przedmiotu, którego nie objęło się wszechstronnie» (str. 144).

Co ta cała filipika przeciwko Spasowiczowi, obsypana znakami zapytania co do zapomnienia o wierze katolickiej, hierarchii społecznej i zachodniej cywilizacji, ma do czynienia w krytyce mojej *Polityki austriacko-polskiej wobec myśli politycznej Aleksandra Wielopolskiego*, tego doprawdy, mimo najlepszej woli i chęci, nawet domyślić się nie mogę. Prawdopodobnie musiał szanowny krytyk mieć przygotowaną krytykę Spasowicza lub Krzywickiego i postanowił ją zużytkować pod moim adresem.

»Wielkie niebezpieczeństwo — pisze p. Paweł Popiel — przypuścić, że wszyscy są w błędzie, a że piszący jeden się nie myli, jeden wierny prawdzie, jeden odważny. Kto

tak rozumuje, zostanie sam, a dawno Mędrzec Pański powiedział: *vae soli*, biada samemu. W rozumieniu autora wszyscy są w błędzie. On jeden ma przywilej dopatrzeć się prawdy, serce, aby ją ukochać, odwagę, aby ją wypowiedzieć, a zrozumienie to posuwa tak daleko, że postawiwszy, jako swój ideał, margrabiego Wielopolskiego, nie dopuszcza, aby ktokolwiek ocenił i zrozumiał tą wyniosłą postać i z p. Lisickim, którego nikt nie posądzi, aby myśli Wielopolskiego nie był przyjacielem, surowiej niemal się obchodzi, jak ze swoimi przeciwnikami. Rezultat książki jest zatem taki: jeden Wielopolski wskazał Polakom właściwą, zdrową, sumienną politykę, a politykę tą jeden zrozumiał Jerzy Moszyński» (str. 142).

Biada samemu! powiada p. Paweł Popiel, a ja powiem, że biada tym, którzy nie umieją być samymi, którzy dla uniknięcia samotności wchodzą w kompromis z własnem sumieniem i nieraz, wskutek tego, kończą na stanięciu w szeregu z rewolucją, bezbożnością, lub złodziejstwem!

Jakiegokolwiek o Wielopolskim wypowiedziałem zdanie, popierałem je zawsze, o ile możliwości, najobfitszym, i najautentyczniejszym materiałem dowodowym. Nieodżałowana szkoda, że pan Paweł Popiel, zamiast zarzucać mi zarozumiałość, nie wykazał mi, w czym Wielopolskiego niewłaściwie sądziłem, bo przecież nigdy nie posądzałem go ani o wyrzeczenie się wiary katolickiej, ani hierarchii społecznej, ani zachodniej cywilizacji, tak samo, jak nikt niema prawa mnie o to posądzać. Czy zdanie moje o Wielopolskim jest słusznem? Czym myśl Wielopolskiego pojął właściwie — sąd o tem naturalnie nie do mnie może należeć, ale co prawda, i nie do szanownego krytyka, który, pomimo wieloletniej zażyłości z Margrabią, tak mało zdołał przeniknąć polityczną myśl jego, że ostatecznie odstąpił go

w stanowczej chwili jego działania. A przecież zanadto mam szacunku dla pana Pawła Popiela, żebym mógł przypuścić, że opuścił on Wielopolskiego dla błahych powodów, chociaż nie stanęły między nimi nieporozumienia ważne i zasadnicze.

Prostą jest więc rzeczą, że jeżeli chodzi o rzetelny sąd co do słuszności przedstawiania przezemnie myśli i zamiarów Aleksandra Wielopolskiego, to przecież muszę bezporównania więcej przywiązywać wartości do uznania, oświadczanego mi przez tą małą garstkę jego rodziny i przyjaciół, którzy stali u jego boku w czasie politycznego jego działania i dokładnie znali jego zamiary, jak do gołosłownych zarzutów niezrozumienia tej myśli, robionych mi przez tych ludzi, którzy go odstąpili i zgubili. A uznanie zarówno syna, jak żony i synowej Margrabiego Aleksandra, jakoteż hr. Rodryga Potockiego, hr. Augusta Ostrowskiego i innych, tem większą zdaje mi się być gwarancją słuszności mojego pojęcia myśli Margrabiego, że jego samego widziałem tylko raz w życiu dzieckiem u mego ojca, a z resztą jego rodziny nie tylko żadne nie łączyły mnie stósunki, ale niezawodnie, że rozdzielały nas w wielu względach pojęcia na obowiązki i zadania życia. Jedynym naszym łącznikiem było jednakie pojęcie myśli Margrabiego i jednakie dla niej uznanie. A faktu tego nie zmieni wyznanie p. Pawła Popiela, że:

»Szczepiąc nad wyraz charakter, poświęcenie, sumienność i talent autora, niełatwo mi taki sąd wyrzec, ale tak jest. Każdy się myli, nikt zdania swego otwarcie wypowiedzieć nie śmie, ani Koźmian, ani Tarnowski, ani Szujski, ani nawet Lisicki, o drogach sumiennych, jakimi postępować mamy, jeden wskazał je Wielopolski, jeden zrozumiał je i w całej pełni gotów ich bronić Moszysński« (str. 142).

Zwracając się do spraw Galicyi, pisze szanowny krytyk:

»Nie on jeden spostrzega popełnione błędy w teorii, słabości w praktyce; widzą je również dobrze i drudzy, ale nauczyło ich doświadczenie, historia, że zwroty społeczne odbywają się powoli i dlatego cenią ludzi, którzy choć niezupełnie dopisują im w nauce i działaniu, to jednak z poświęceniem i wytrwałością, choćby nie umieli postawić absolutnej prawdy, umieją zawsze na ostrze spotkać się z błędem.

Wyjątkową był tu postacią Szujski, który przywilejem dobrej wiary, a intuicyą wyższego umysłu, odgadł prawdę polityczną i choć nie przedstawił jej w logicznym systemacie, bo to nie było jego zadaniem, bo to było w jego ręku kluczem, którym otwierał najtrudniejsze zagadki, jakie napotykał na polu polityki w teorii i praktyce. Niechże autor tak lekko tych ludzi i tego stronnictwa nie waży, niech ich nie kompromituje lekkomyślnem podejrzeniem, bo doprowadzili kraj do normalnego stanu, a po stu latach dowiedli, że Polacy są *regierungsfähig*, t. j. umieją zająć stanowisko w sprawach publicznych, czego, przyznam chętnie, pierwszy dał przykład Wielopolski« (str. 146).

Na tą ostatnią apostrofę mógłbym poprostu odpowiedzieć zapytaniem, rzuconem w Sejmie w dniu 27 lutego 1899 r. przez hr. Stanisława Tarnowskiego:

»Gdyby ci, co zasiadali w tym Sejmie 30 lat temu, wrócili na ziemię i usłyszeli, o czym my tu radzimy, nie mogliby zrozumieć, nie mogliby uwierzyć, że to ten sam Sejm i ten sam kraj. Oni myśleli, że po trzydziestu latach życia politycznego, ten kraj polski będzie miał siłę i znaczenie w państwie, że wyjątrzą się te jady społecznych zawiści, które były chorobą chroniczną, a chwilami gwałtowną — że *zdolnością rządu sobą*, harmonią i równowagą społeczną, dobrobytem ekonomicznym, będzie zdobywał podziw obcych, a chwałę dla swoich.«

Ale nie ograniczę się do tego przypominania naszym konserwatystom, że i na tym świecie daje się czuć ręka sprawiedliwości Bożej, która oby raczyła nie karać nas wedle występków naszych, ale wedle miłosierdzia Swego; nie mogę bowiem pominąć milczeniem kwestyi Szujskiego, co do którego, ku wielkiemu mojemu żalowi, pan Paweł Popiel nie raczył mi wskazać, w czem dostrzegł z mojej strony lekceważenia jego. O ile mi wiadomo, to o Szujskim z największym zawsze odzywałem się szacunkiem, a jeżeli, opierając się na dowodach, wskazywałem, że fałszywa zasada polityczna, panująca w galicyjskim konserwatywnym obozie i jego dosięgnęła i jego w stanowczych chwilach wyprowadzała z równowagi i popychała na drogę najryzykowniejszego dla kraju działania, to nie przez lekceważenie jego działalności i charakteru, ale właśnie dlatego, że zarzuty swoje, sformułowane przeciwko krakowskiemu stronnictwu konserwatywnemu, chciałem na poważnych oprzeć dowodach, i śmiem powiedzieć, że pan Paweł Popiel, wyrządza Szujskiemu daleko większą ode mnie krzywdę, stawiając go w jednym szeregu z p. Koźmianem, a nawet z Lisickim.

Zarzuca mi p. Paweł Popiel, że kompromituję ludzi ze stronnictwa konserwatywnego *lekkomyślnem podejrzeniem*, zapytuje mię:

»czy to niema w Galicyi ludzi potępiających rewolucyjne ruchy?...« Czy sprawiedliwie można ich oskarżać, że chcą poróżnić Austryę z Rosyą, czy to prawda?»

Gdybym innej nie umiał znaleźć odpowiedzi na te pytania, to sam stósunek Szujskiego do krakowskich konserwatystów, wyjaśniłby tą kwestyą aż nadto dobrze. Przypomnijmy sobie treść listu otwartego, pisa-

nego przez p. Pawła Popiela w dniu 25 października 1865 r. do księcia Jerzego Lubomirskiego z powodu wyborów i odpowiedź nań Józefa Szujskiego:

»Muszę zatem potępić głośno usiłowania do odzyskania politycznego bytu *przed czasem*, kiedy do tego są siły wewnętrzne, a sposoby i okoliczności na zewnątrz« — pisał p. Popiel.

Przecież bez najmniejszego naciągania sensu tego zdania, widocznem jest, że pomimo zapewnienia cesarza Austrii »że przy tobie Najjaśniejszy Panie stać chcemy«, pan Paweł Popiel potępia tu tylko usiłowanie do uzyskania politycznego bytu *przed czasem* i w niekorzystnych okolicznościach, z góry więc potakuje usiłowaniu *na czasie*. Tak, a nie inaczej zrozumiał te słowa Szujski, skoro cytując je, napisał w nawiasie (*zgoda!*)

»Potrzeba więc koniecznie — pisał dalej p. Paweł Popiel — wyprzeć się ostatniego ruchu, uznać go i potępić jako zgubny, odtrącić ludzi, którzy mu przodowali, albo mu potakiwali« (»odtrąćmy bezpośrednio Wielopolskiego, który proskrypcją wywołał powstanie i Mierosławskiego, który pisał instrukcję powstańczą!«) — dodaje Szujski.

»Dajmy pokój wielkiej polityce...« »Z mężką odwagą i stanowczością powróćmy na grunt rzeczywisty: marzenie to pociecha dusz słabych, nadzieję mieć należy w Bogu i nie w obcej pomocy, lecz w własnej pracy i zasłudze (*zgoda*)« — dodaje Szujski (*Dzieła Józefa Szujskiego* wydanie zbiorowe Serya III, t. I, str. 232—233).

»Wzywamy — pisze Szujski w swej odpowiedzi — wielkie imiona, wielkie majątki, wielkie stanowiska społeczne. Trzy okręgi wyborcze złożyły już dowód tego usposobienia, stawiając na czele kandydatów p. Agenora Gołuchowskiego, twórcę październikowego dyplomu, zasługę prawdziwą i wielką, człowieka pracy i zasad wytrwałych. Ale wzywając ich, wołamy głośno: Jeżeli chcecie być pożytecznymi krajowi,

jeżeli chcecie zasłużyć na dobre imię, jeżeli chcecie wieniec chwały dorzucić do wieńców chwały ojców, a pokryć nimi nie jedną płamę zbutwiałego karmazynu grobów, jeżeli chcecie stanąć na przeszłości, zagrozić drogę złemu, dać inicjatywę organicznemu rozwojowi społeczeństwa, przerwanemu wypadkami dni ostatnich, jeżeli chcecie być mężami stanu, a nie fantastycznymi przedstawicielami kasty, ludźmi praktycznymi, a nie utopistami, prowadzicielami a nie gwałcicielami społeczeństwa, ludźmi owoców a nie ludźmi bezużytecznej pychy, duchami postępu, a nie upiorami reakcyi; nie słuchajcie takich fałszywych proroków jakim jest p. Paweł Popiel!...» (*ibidem* str. 236).

»Nie macie prawa używać ostracyzmu, który podaje wam p. Paweł Popiel i mówić: »Kto się nie mieści w ciasne ramy naszego politycznego *credo*, ten jest przeciwko nam i tego niszczyć będziemy...«

»Nie byłoby nieszczęśliwego powstania, gdyby nie obopólny ostracyzm warstw społecznych względem siebie. Nie byłoby powstania, gdyby go nowy Targowiczanie nie był wywołał, »rozcinając wrzód, który pęknąć nie chciał«... w poczuciu powszechnej winy i powszechnego nieszczęścia, nie słuchać nam głosów, dzielących nas i kryminujących, nie słuchać proroków, którzy milczeli wczoraj, a dzisiaj narzucają nam mądrość swoją« (str. 236).

Na krytykę tą wystósował p. Paweł Popiel list do Szujskiego, na który tenże odpowiedział w r. 1866, pisząc między innemi, że:

»nie dążenie do odbudowania hierarchii na tymokratycznej lub innej jakiej podstawie, ale czynna, pełna poświęceń, jawna polityka liberalna, inicjatywa w szerzeniu oświaty, dobrobytu, pojęć wolności prawdziwej doprowadzić zdoła do rzeczywistej, a nie poetycznej, jak mi Pan Dobrodziej zarzucasz, zgody w społeczeństwie.«

»Do ułatwienia takiej zgody, znajdują się pomocnicy, a pomiędzy nimi i ja...«

Że taki Szujski jak go z tego listu poznajemy przylgnął nie długo do ludzi, którzy w tymże samym roku 1866 pisali w lipcowym *Przeglądzie Polskim*, że:

»Austria stawszy się tym sposobem przedstawicielką idei, dążeń i pragnień narodu polskiego, około sztandaru swego skupiłaby wszystkie narodu tego usiłowania, i bez wydobywania oręża, samą patęgą polskiej idei zdobyłaby wszystkie pod zaborem rosyjskim stekające dzierżawy polskie!«

że przylgnął do ludzi, którzy w tymże samym numerze *Przeglądu Polskiego* zaręczali, że:

»Dziś już nikt nie wątpi o tem, że wolność jest matką moralności, ale i bogactwa narodowego. Pod jej bowiem dobroczynnem tchnieniem rozwinać się może oświata, która rodząc wynalazki rozwija przemysł i handel«,

to zdaje mi się być rzeczą zupełnie prostą i zrozumiałą, ale mniej zrozumiałem musi się wydawać, że tenże sam Szujski już w r. 1869 był głównym redaktorem *teki Stańczyka*. Żeby taki przewrót pojęć mógłby nastąpić u Szujskiego, to musimy koniecznie przypuścić jakąś wymianę myśli, zaszłą pomiędzy Szujskim a Tarnowskim, Kozmianem i Ludwikiem Wodzickiem, a treścią tejże nie mogło być co innego, jak powiedzenie przez tych panów Szujskiemu:

Chcesz liberalizmu i my go chcemy, chcesz niepodległej Polski i my jej chcemy, ale chcemy nie tylko jej ale i środków do niej, a tych inaczej nie ugruntujemy, jak opierając się na Austrii i nie dopuszczając, by nam burzliwe żywioły społeczeństwa w drogę wchodziły i robotę psuły. Konspirować wolno tylko nam, innym wara!

»W zbrojowni politycznej«, musieli mu powiedzieć: »spisek zajmuje znaczne miejsce. Jako broń, jako środek do pewnych celów nieraz okazał się w różnych przedsięwzięciach skutecznym, w niektórych jedynym i niezbędnym.« (*Rzecz o roku 1863* T. II. str. 301).

Na tej tylko podstawie mógł Szujski rzucić swój rozum i serce na szalę Stańczykowską, na tej mógł tylko stać się szczerym przyjacielem tegoż samego p. Pawła Popiela, na tej podstawie mógł stać się sprzymierzeńcem *Czasu*, który jeszcze w r. 1878 (10 grudnia) nie wątpił, że

»To zwycięstwo Austrii nad Rosyą, na którem zakładaliśmy nadzieję jej i naszego zbawienia, może jeszcze zdarzyć się w przyszłości, ale tak łatwem i pewnem jak teraz być mogło, nie będzie już nigdy.«

Na tej podstawie mógł Szujski tylko, bez sprzeniewierzenia się całemu swojemu życiu, stać się głównym filarem większości Koła polskiego, która współdziałała wówczas gorliwie w kierunku dążeń Koźmianowskiej konspiracji, której głos wołał przez usta Grocholskiego w delegacyach:

»Jeżeli wtedy zapytacie mię panowie, gdzież jeżeli nie na półwyspie Bałkańskim wypadałoby starać się o przywrócenie zburzonych stosunków potęgi w interesie monarchii austro-węgierskiej, nie zawacham się odpowiedzieć: nad Wisłą! w krajach polskich, przerwanych z urzędu zachodniemi caratu rosyjskiego guberniami« (*Czas* z 23 marca 1877 r.).

W tem też oświeceniu zupełnie zrozumieliśmy stają się słowa Szujskiego napisane w *Czasie* z 25 listopada 1877 r. podczas Wojny tureckiej, że:

»przyjść«... »może chwila, podczas, czy w skutku dzisiejszych wypadków, w której bierność nie będzie już odpowiadać ani polskiemu obowiązkom, ani polskiemu interesom«.

W tem również oświeceniu staje się dopiero zrozumiałą rzeczą, dlaczego Szujski tak ostro przed paru laty potępiający ostracyzm i odmawiający prawa obywatelstwa zasadzie, że:

»Kto się nie mieści w ciasne rzeczy naszego politycznego *credo*, ten jest przeciwko nam i tego niszczyć będziemy.«

z zupełnym spokojem znosił to, jak własne jego stronnictwo dopuszczało się w najwyższym stopniu tego ostracyzmu przeciwko mnie, gdy idąc tylko za głosem prawdy, sumienia i miłości ojczyzny zupełnie bezwiednie, wykonałem pchnięcie w Stańczykowski spisek, którego rzeczywistego istnienia dowiodła mi dopiero *Rzecz o r. 1863* p. St. Koźmiana.

To jest dziś dla mnie rzeczą niezawodną, że spójnią ludzi tak różnych intelligencją, charakterem, sercem i sumieniem mógłbyć tylko spisek. On tylko mógł ich utrzymywać w nieskończoność w solidarności, pomimo wszystkiego i przeciwko wszystkim, bo każde zerwanie groziło rewelacją, a więc ostatecznem skompromitowaniem konserwatywnych tych rycerzy.

Bezwzględna bezsilność tego spisku udowodniona została w r. 1891, t. j. w roku, w którym, gdyby wogółności ta polityka pchania Austrii przeciwko Rosyi miała mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia, to powinno było przyjść do wybuchu wojny.

Kłopoty finansowe i głód w Rosyi, zupełny brak porządnego uzbrojenia, nie wykończona organizacja armii rosyjskiej, wszystko to dawało wówczas wszelkie szanse powodzenia Austrii. Jeżeli więc Stańczyki nie potrafili wówczas wepchnąć Austrii w wojnę przeciwko Rosyi, to złożyli dowód, że ich polityka jest

polityką bez treści, i zupełnie bezsilną, i że stawiawszy wszystko na tą kartę wielkich przeobrażeń Europy nie potrafili oni doprowadzić do innych rezultatów, jak do pobudzenia do jak największej zawziętości Rosyi i Prus przeciw narodowi polskiemu, i do ukazów, zabraniających zagranicznym Polakom kupowania majątków w polskich prowincjach rosyjskich i do komisji kolonizacyjnej w Prusach. Tego dopiero potrzebowali dowodu nasi mężowie stanu, by nie powiem zmienić kierunku polityki, ale poprostu osiąść na piasku i iść dalej w przyszłość bez żadnego celu i bez żadnej myśli politycznej, a chyba z tą jedyną myślą, by podstawić nogę hr. Gołuchowskiemu, gdy tenże chciał wreszcie podłożyć fundament pod nowy system polityki austriacko-polskiej.

Raz jeszcze tu powtarzam, że gdybym nie szanował Szujskiego, to nie potrzebowałbym szukać zrozumiałych przyczyn zmiany frontu jego politycznych poglądów, zmiany dokonanej dla niewtajemniczonego ogółu bez widocznego usprawiedliwienia, prawie że nie z dnia na dzień. Tak jest, Szujski żył tylko myślą niepodległości Polski, dla tej myśli połączył się ze Stańczykami i z nią poszedł do grobu rzucając przeciwnikom duszone za życia w głębi serca, a ciągle wydzierające się z niego pytanie:

»A kto wam powiedział, że Stańczyki nie chcą niepodległości?«

Pozwoliwszy sobie na to zboczenie, wracam do głównego przedmiotu. Zbiór moich poglądów, rozrzuconych po dziele p. t.: *Polityka austriacko-polska* przedstawiłem powyżej w trochę może chaotycznej formie w celu przypomnienia konserwatywnemu stron-

nictwu, iż już przed laty zwracałem ciągle na to jego uwagę, że kraju nie można ani politycznie, ani ekonomicznie, ani moralnie podnieść bez popchnięcia głównych sił w kierunku rozbudzenia inicjatywy indywidualnej i bez wprowadzenia w publiczne instytucje ducha sprawiedliwości. A tak samo przed kilkunastu laty, jak dziś, uważam to za jedną z największych niesprawiedliwości, jeżeli instytucje kredytowe wyężdżają wszystkie swoje zasoby przezorności i rygoru na zabezpieczenie wierzycieli, a spuszczaają zupełnie z oka interes dłużników. Stwarzanie więc dla nich o ile się da jak najdogodniejszych warunków spłaty i zabezpieczenie ich przed ewentualnością niespodziewanego wypowiedzenia i zażądania spłaty długu, uważam za konieczny obowiązek. Oczywiście, że szkic warunków, które uważałem za niezbędne dla pożyczek proponowanego przeze mnie monopolowego banku państwa, również jak sam pomysł tego banku, nie jest bynajmniej opracowanym dokładnie projektem do ustawy, ale tylko rzuconą myślą dalekiej przyszłości, przeznaczoną do pobudzenia opinii publicznej do zastanawiania się nad nią i do wyszukiwania dla niej jak najpraktyczniejszej i najwięcej zgodnej z dzisiejszym stanem rzeczy formy. Dlatego też zupełnie nie twierdzę, żeby n. p. wyłączna forma 15-letnich amortyzacyjnych pożyczek, w razie dłuższego nad rok kredytu, mogła się przy dzisiejszych finansowych stosunkach wprowadzić w wykonanie. Ale nie wątpię, że dałoby się już dziś przeprowadzić coś podobnego, a mianowicie przyjmowanie na książeczki tylko wkładek ze ściśle oznaczonymi terminami spłaty, przy czem trzebaby przyjmując za zasadę, że wkłady, lokowane i ubezpieczone na hipotekach nieruchomości, koniecznie musiałyby mieć

kilko- lub kilkunastoletnie terminu zwrotów i powinny obowiązkowo być spłacane, albo w ciągu lat kilkunastu amortyzacyjnie, albo przynajmniej częściowymi płatami półrocznymi lub rocznymi w ciągu lat kilku. Przy takim urządzeniu znikłaby zupełnie obawa zachwiania się kredytu hipotecznego w całym kraju, przez pierwsze lepsze zachwianie się zaufania do banku lub do kasy oszczędności. Naturalnie, że lokowanemi na hipotekach mogłyby być te tylko sumy, które przy wkładaniu ich już w tym celu na dłuższe terminu zostały składane i dlatego powinny one stanowić zupełnie odrębny dział wkładek, które — w razie nawet konkursu kasy — nie musiałyby tracić bezpieczeństwa, danego im przez hipoteki nieruchomości, należących do dłużników kasy, a rzecz ta byłaby najzupełniej zgodną ze sprawiedliwością, gdyż słusznem jest, by nie odpowiadały sumy, lokowane na dłuższe lata i opierające się na hipotecznej pewności, za operacje sumami, lokowanemi na krótkie terminu, a więc pożyczanemi, na potrzeby i przedsiębiorstwa, które wprawdzie robią możliwym szybki odbiór pieniędzy od dłużnika, ale zato z natury rzeczy, nie przedstawiają nigdy bardzo ustalonego bezpieczeństwa sumy.

Raz jeszcze powtarzam, że zreformowania kredytowego systemu Galicyi na tych lub tym podobnych zasadach, nie uważam teraz, i nie uważałem dawniej za rzecz, któraby się dała przeprowadzić z dnia na dzień. Nie wątpię jednak, że ośm lat byłoby przy dobrej woli konserwatywnej większości wystarczająco na to, by wywalczyć w Radzie państwa i w Sejmie stosowne dla tego celu zmiany ustaw, co tem śmielej twierdzę, że właśnie na te ośm lat wypadało najświeższe polityczne stanowisko Koła polskiego w Radzie

państwa i w rządzie. Niestety, weszły na stół ważniejsze polityczne zadania, które musiały pochłonąć energią i cały zasób wpływu naszych galicyjskich konserwatystów na rządowe i decydujące sfery wiedeńskie, jak n. p. inscenacya szopki wystawy lwowskiej, urządzona dla uświetnienia stuletniej pamiątki ostatniego rozbioru Polski i jak wyrobienie orderów i krzeseł w Izbie panów dla zasłużonych w tem patriotycznym dziele mężów stanu.

Na ostatniem posiedzeniu klubu konserwatywnego przypomniał pan Piotr Górski, że

»Szujski, najwyższy człowiek, jakiegośmy mieli w Galicyi, mawiał, że w upadkach i nieszczęściach narodu naszego jest wielka część naszych własnych win i błędów, że chcąc się dźwignąć z upadku, musimy się postarać o poprawę z naszych wad i błędów. Tymczasem polityka wystawy lwowskiej była antytezą myśli przewodniej dźwigania się z wad i błędów, nabywania dojrzałości i roztropności politycznej, gdyż schlebiała wadom, słabostkom i próżniactwom narodowym« (Nr 81 *Czasu* z 1899 r.).

Czyż Szanowny pan poseł potrzebował aż sześćciolecia i to sześćciolecia, zakończonego okropną katastrofą lwowskiej Kasy oszczędności, by dojść do tego przekonania? A jeżeli miał go dawniej, to dlaczego milczał, dlaczego nie poparł mnie, gdy w grudniu 1894 roku, w *Obrachunku z Rzeczą o roku 1863*, pisałem, że:

»Radość z tego świetnego rozwoju Galicyi, dla dopatrzenia którego potrzeba dopiero szopki wystawowej, zostawiam gazetce *Neues Wiener-Tagblatt*.«

To pewna, że całą społeczną stronę mojego programu, t. j. tą, którą autor *Pogadaniek* zakwalifikował jako *beźpłodne moralizowanie i niewykonalny program*,

mogło i powinno było konserwatywne stronnictwo bezwzględnie wprowadzić w życie, a w każdym razie od roku 1891, t. j. od chwili, gdy nie ograniczając się do określania poszczególnych obowiązków pod tym względem, rzuciłem — jak to wyżej cytuję — cały program organizacyi publicznego działania w tym kierunku, a mianowicie stworzenia w Sejmie zwartego, uczciwego konserwatywnego stronnictwa, które stałoby się ogniskiem, pobudzającym szlachtę do pracy społecznej nad ludem, pracy, zasadzającej się na dążeniu, by dwory szlacheckie stały się przykładem tejże pracy, moralności i zdrowego patryotyzmu, a zarazem punktem oparcia dla materialnych potrzeb włościan. Wprowadzenie w praktykę tej myśli, w tej właśnie formie, rozpocząłem od roku 1883 w rodzinnym moim majątku i już wówczas po ośmiu latach do najlepszych doszedłem owoców. Zdawało mi się, że w Galicyi program ten tem łatwiej szerzyć, gdyż można dla propagandy jego wytworzyć punkt centralny w Sejmie. To też proponowałem rozpoczęcie tego działania wielu konserwatywnym posłom, jak hr. Henrykowi Wodzickiemu, marszałkowi Sejmu Zybliekiewiczowi, hr. Tadeuszowi Dzieduszyckiemu i innym, ale u wszystkich spotkałem się z zupełnem niezrozumieniem mojej myśli i z zupełną niewiarą w jej skuteczność. Jeszcze wtedy pojęcie pracy społecznej nie zdołało się wybić u naszych konserwatystów poza wydawnictwo dziennika i poza zbieranie pieniędzy na agitacyą wyborczą.



III.

„A człowiek cielesny nie poymuje tych rzeczy, które są Ducha Bożego: albowiem są iemu głupstwem, i nie może ich rozumieć». (Z listu Św. Pawła I do Koryntyjan).

Ludziom, przerzucającym powierzchownie, bez gruntownego zgłębienia moją broszurę, mogłoby się wydawać, że dopuściłem się tej łatwej mądrości, która zasada się na krytyce wszystkiego i wszystkich i na podchwytywaniu wrzekomych sprzeczności, opierając zdanie swoje o tak poważnym człowieku jak St. Tarnowski na kilku wierszach wyrażonych o nim w biografii Ludwika Wodzickiego, wychodzącej z pod pióra p. Koźmiana, który jak wiemy z teki Stańczyka, pisuje ot tak na kolanie między jednym papierosem a drugim. Możecie mi wierzyć szanowni czytelnicy moi, że nikomu nie moglibyście zrobić większej przyjemności udowodnieniem takiego zarzutu, jak piszącemu te słowa. Niestety niezbite fakta na to się składają, że w całym politykowaniu naszych konserwatystów odbija się na każdym kroku, ten straszny Koźmiowski wyrok, że przedstawienia teatralne w Burgu były najpotężniejszym wrażeniem młodości i najjaśniejszą pochodnią umysłu tych właśnie ludzi, którym się dostał w ręce ster spraw publicznych w Galicyi. Gdziekolwiek rzucimy okiem na

działalność *Stańczyków*, wszędzie spostrzegamy to samo działanie, obrachowane tylko na chwilowy efekt, na chwilowe powodzenie, na chwilowy poklask, po którym na drugi dzień nie zostaje się nic a nic, oprócz brudnych, zakurzonych, a najczęściej podartych papierowych dekoracyi, zwalonych na kupę na teatralnem śmiecku. To samo stało się z działaniem moralnem, to samo z politycznem, to samo z ekonomicznem, daj Boże, żeby to samo nie zostało nam również w dorobku po naukowej pracy akademii umiejętności!

Teatralność *Stańczyków* w stósunku do opinii publicznej, tem się zawsze zaznaczała i zaznacza, że używając patetycznych frazesów, w rodzaju np. »*Trzeba było raz powiedzieć prawdę nagą, twardą, gorzką — niechaj boli jak chce*«¹⁾ nigdy nie próbowali oni prawdy tej zwrócić do swojego stronnictwa, ale obdarczali nią tylko znienawidzonych przeciwników. Nie podobna jest więc zrozumieć, kogo ta prawda miała boleć. *Stańczykom* bowiem najczęściej sprawiała ona niekłamana przyjemność — jakeśmy to np. widzieli w artykule w marcowym *Przeglądzie Polskim*, wystosowanym przeciw p. Zimie, p. Szczepanowskiemu i całemu stronnictwu postępów; napadanych zaś przeciwników, zamiast pobudzać do boleści, doprowadza najczęściej do wściekłości. Wiedzieli o tem doskonale *Stańczykowie* i innego skutku walki zasad nie wyglądali nigdy. Wiedział wybornie hr. Stanisław Tarnowski, że zarówno *Teka Stańczyka*, jak jego artykuły »*O sumienności w dziennikarstwie* i *Królowa opinia*, jak jego porcy żadnego innego celu, jak wylania na papier potoku wymowy nie mają, ani dla niego, ani dla nikogo in-

¹⁾ Z pięćdziesięcioletnich roczników *Czasu*. Kwiecniowy numer *Przeglądu Polskiego* 1899 str. 107.

nego. To jest myślę się, mają one nader szacowną wartość dla historii Stańczykowskiej, ujętej w potężną dłoń hr. Ludwika Dębickiego, który na ich zasadzie może kilkanaście kartek bibuły zaczernić świetnemi powiastkami, opiewającemi zasługi położone przez Stańczyków nad umoralnieniem narodu, które rzeczywiście — trzeba im to przyznać — do świetnych oni doprowadzili owoców! Naturalnie, że wspaniałe zdobycze Stańczykowskie na politycznej, społecznej i moralnej niwie usprawiedliwiają świetnie twierdzenia p. Piotra Górskiego, wypowiedziane na ostatniem posiedzeniu klubu konserwatywnego, że:

»Wobec wszystkich smutnych wypadków lwowskich i bankructwa nie tylko finansowego, ale pewnych innych kierunków, instynkt kraju obecnie czuł, że to stronnictwo stanowi zastęp ludzi, których można sądzić, jak kto chce, ale którym nikt rozumu politycznego i zacności odmówić nie może i że ich kierunek programowy pracy wewnątrz kraju był oddawna dyametralnie przeciwny, kierunkowi tych kół, które w mniejszym lub dalszym stopniu dotknięte były wypadkami lwowskimi.«

Hr. Józef Męciński jeszcze dobitniej formułuje oddawna utartą w praktyce zasadę nieomyłności i bezkarności Stańczykowskiej, twierdząc, że:

»Do krytyki mają prawo tylko stronnictwa opozycyjne.«

Przyznaję się, że dla ciasnego mojego umysłu dowodem rozumu politycznego jest zyskanie politycznego wpływu, a ten dowód chyba od roku nie świetnie dla konserwatystów galicyjskich wypada; warunkiem zaś zacności jest prawda, w jakich zaś z nią stosunkach zostają nasze Stańczyki, będę się starał pokrótce przedstawić.

»Wystąpienie Stanisława Tarnowskiego« — powiada hr. Ludwik Dębicki ¹⁾ — »w artykule »*Porcyje*,« przeciw wypadkom nadużyć w stosunku dworów do robotników rolnych, dało sposobność dziennikom lwowskim z Janem Dobrzańskim na czele, aby powaśnić szlachtę wschodniej Galicyi z partją krakowską. Demokratyczne pisma rzuciły się namiętnie na autora, który przemawiał w obronie robotniczej ludności wiejskiej. Posypały się protesta, powstała istna konfederacya szlachecka z kilkoma demokratami na czele, i nie prędko uśmierzyła się ta burza, której celem było rozdzielenie dwóch części kraju i wbicie klina między konserwatystów wschodniej a zachodniej Galicyi.«

Niech mi wybaczy hr. Dębicki, ale dla mnie jest to widocznem, że nie tylko dla demokratów i szlachty podolskiej, ale również dla hr. Stanisława Tarnowskiego i dla Stańczyków dojechanie konserwatystom wschodniej Galicyi, a więc wbicie tego klina było jedynym celem *porcyi*. Gdyby bowiem *porcyje* naprawdę były napisanemi pod wpływem szczerzego oburzenia i chęci zaradzenia tak obrzydliwym nadużyciom, to przecież pan *Mikołaj Wolański*, nie mógłby być aż do swojej śmierci stałym konserwatywnym kandydatem do sejmu i rady państwa. Również nie mógłby być współredaktorem *Przeglądu Polskiego* pan Stanisław Koźmian i nie mógłby hr. St. Tarnowski występować w obronie steku fałszu, kłamstw i moralnych obrzydliwości, nagromadzonych w jego *Rzeczy o roku 1863*, gdyby szczerze starał się on być wyświecić polską opinią publiczną artykułami p. t. »*O sumienności w dziennikarstwie i Królowa opinia*«; nie mógłby również posunąć hr. Tarnowski obrony tej aż do jawnej nieprawdy w XII zeszytzie *Przeglądu Polskiego* z r. 1896, twierdząc na str. 5 i 6:

¹⁾ Z piędziesięciolet. roczników »*Czasu*.« Kwieta. *Przegl. Pol.* str. 111.

»Ale zapytać raz stanowczo, ogólnie, zasadniczo, czy w warunkach, jakich znajduje się Polska, wybicie się na niepodległość było w ciągu całego tego wieku możliwem — to w skrytości serca może kto robił, ale otwarcie i głośno nikt.«
 »Zrobił to teraz Koźmian. Zawczasie czy za późno?»

Gdyby dla prawdy, a nie dla archiwum *Przeglądu Polskiego* wystąpił był hr. Tarnowski z *Królową opinią*, to nie dopuściłby był, żeby hr. Ludwik Dębicki kłał *Przegląd Polski* swoją nędzną zbieraniną kłamstw i tendencyjnych baśni.

Radbym i ja nareszcie usłyszyć raz przecie szczerze i otwarcie od tej szanownej *Królowej Opinii*, dla czego postanowiliście mię zabić milczeniem i pogardą? Czy może dla tego, żem przed 19 laty powiedziałem wam otwarcie i głośno, że dążenie do niepodległości Polski jest zabójstwem życia narodu polskiego? Ależ przecie hr. St. Tarnowski wyraźnie boi się, czy Koźmian wypowiedziawszy to przed czterema laty nie zrobił tego za późno? Czy może dla tego, żem waszem zdaniem niesłusznie posądził was przed 19 laty o prowadzenie w dalszym ciągu emigranckiej polityki na gruncie galicyjskim? Ale przecież hr. Ludwik Dębicki przyznaje najotwarciej w waszym *Przeglądzie Polskim*, że to wasze ognisko, że ten wasz sztandar,

»że *Przegląd Polski* wziął najwięcej spadku w poglądach i metodzie z paryskich *Wiadomości Polskich* redakcyi Juliana Klaczki i Waleryana Kalinki«,

a chyba temu nie zaprzeczycie, że *Wiadomości Polskie* były szczerem reprezentantem emigranckiej polityki i tej dyplomacji *hotelu Lambert*, która wyczekiwała tylko chwili, a właściwie która starała się stworzyć tą chwilę, w której można będzie podjąć z Rosyą walkę o nie-

podległość Polski. Jeżeli postępowcy przywłaszczali sobie monopol miłości ojczyzny, to wy chcieliście sobie przywłaszczyć monopol walki narodowej o niepodległość Polski. Nie dążenie do niepodległości, nie wyczekiwanie europejskich kataklizmów w celu chwycenia za broń i wszczęcia walki o niepodległość, ale dążenie do niepodległości i wyczekiwanie na wojnę europejską, poza waszemi plecami, uważaliście za zdrożne, zgubne i równające się zdradzie narodowej. To wasze dążenie do zmonopolizowania powstania w waszym ręku ja przejrzałem, zdemaskowałem i udowodniłem, wykazując jednocześnie cały ogrom trudności i nieszczęścia, jakie ściągacie przez to na miliony Polaków pod rządem rosyjskim i tego nie mogliście mi darować! Przecież *Królowa Opinia*, *»Sumiennność dziennikarstwa«* i inne dyscypliny, w które uzbroił się hr. Tarnowski, to tylko narzędzia chłosty na panów Romanowiczów, Asnyków, Janów Dobrzańskich, Gillerów *et consortes*, ale nie na was, którym z prawa Bożego należy się monopol powstania, a biada temu, kto poważyłby się smagać wasze błędy, wasze bezrozumy polityczne i wasze zbrodnie nawet!

A cóż dopiero za chłosta, co za śmierć głodowa musi się należeć takiemu zuchwalcowi, który poważa się żądać od przewodników katolickiego, konserwatywnego stronnictwa, prostej uczciwości i prostej moralności! który poważa się piętnować cynizm, z którym *teka Stańczyka* wystąpiła mówiąc:

»A czyż więcej od niego groźnym jest drugi filar Lustratora, nasz Niby-Forcade?...« »Jego wyłącznym udziałem są kroniki polityczne. Otóż te kroniki, to czasem niedane programy, czasem mniej więcej udane wstępne artykuły, ale na miłość Boga, to nie przeglądy miesięczne! Czyż czytając je nie odgadujesz, że pisane są w chwilach kradzio-

nych zabawie, ot tak — na kolanie!...» »Forkadzik jest jednym z tych pisarzy, którzy z wielkiem upodobaniem uderzają na nasze wady narodowe, a nie znam nikogo, któryby miał ich więcej jak on?«

Jaką śmiercią wypada zadławić tego zuchwalca, który w odpowiedzi na ten bezprzykładny cynizm, poważił się twierdzić, że

»Ten sposób publicznego głoszenia swoich ciężkich grzechów, to nie skrucha, to nie uderzenie się w piersi, to lekceważenie zasad moralnych, to cynizm, który wytwarza zagadkę, niełatwą do rozwiązania, jakim sposobem mogli się go dopuścić ludzie, znani po większej części w całym kraju z przywiązania do wiary, do ojczyzny i tradycji?«
(*Polityka Austriacko-Polska* T. III. str. 21).

A w sześć lat później, w r. 1891, poważił się on napisać (w III. tomie tegoż dzieła na str. 61):

»Podczas, gdy Józef Szujski i Stanisław Tarnowski zabierali się z zapałem poświęcenia do kształcenia umysłów młodzieży, znaleźli się inni »wielcy politycy«, którzy wzięli na siebie kształcenie jej serca zapomocą jawnej propagandy zakulisowego życia między studentami dobrego towarzystwa. Może być, że propaganda ta wpłynęła na podniesienie narodowej sztuki, ale niestety zwichnęła niejedną egzystencją, obdarła z czci i wiary niejednego honor, zaszargała niejedno sumienie, a za szczęśliwych można uważać tych, którym dozwolonem było, otrząsnąć się z tego kału i zachować jeszcze dość siły moralnej na usługi kraju i ojczyzny. Ależ czyliż mogło się dziać inaczej w społeczeństwie w którym lekkie traktowanie moralnych zasad przecisnęło się z salonu do życia publicznego, czyż mogło się dziać inaczej w stronnictwie, które zamiast potępienia, conceptami z lekkim sercem ogłosiło światu, że sztandar, na którym wypisano hasło pracy organicznej i chrześcijańskiej moralności, złożyło w ręce człowieka, żadnej niemającego moralności?«

Tak jest wy reprezentanci konserwatywnego stronnictwa postanowiliście zmiażdżyć mię tylko dla tego, bom poważył się prawdę powiedzieć wam w oczy, bom poważył się żądać od was zerwania zupełnego z polityką, nie opartą na stałym gruncie rzeczywistości i wyparcia się jawnej, bezczelnej niemoralności publicznej, znanej przez każdego doróżkarza i przez każdego ulicznika, a obwieszczonej światu cynicznie przez *Tekę Stańczyka!*

Oto masz panie prezesie krakowskiej Akademii umiejętności całą prawdę, na kim główna wina ciąży za dojście Galicyi na samo prawie dno moralnego upadku. Cięży ono z pewnością nie na *Zimach* i *Szczepanowskich*, nie na *Nowych Reformach* i *Kuryerach Lwowskich*, nie na *Kozakiewiczach*, *Daszyńskich* i *Stojalowskich*, jednym słowem, nie na tym całym motłochu, który podawszy sobie ręce tańczył około złotego cielca, ale na was reprezentantach rozsądnej, konserwatywnej polityki, na was przedstawicielach katolickiej moralności w społeczeństwie, którzy zwątpiwszy o praktycznej sile źródła płynącego z opoki Piotrowej, zmieszaliście się z tym motłochem, by bić pokłony przed złotym cielcem materjalizmu, i zamykaliście z pogardą i zawiścią usta tym, którzy was chcieli powstrzymać na samej krawędzi odchłani od hańby i przენiewierstwa.

Pokażcie, gdzie, na jakim stanowisku życia społecznego, potrafiliście utrzymać sztandar prawdy i wiary? Z Kościoła katolickiego zrobiliście jakiś rodzaj narodowego austriacko - polskiego prawosławia, nie wahając się, jak to zrobił hr. Ludwik Dębicki, ostrzegać Rusinów w *Czasie* z 10 lutego 1882 r., że:

»Kto przechodzi dziś w Austrii na prawosławie, ten porzuca wiarę cesarza austriackiego dla wiary cesarza rosyjskiego.«

Wobec tego znowu przychodzi nam się zapytać naszych konserwatywnych katolików, jakie prawo może im przysługiwać do oburzania się na Rosyą za poniżenie Kościoła do rzędu narodowo-policyjnego prawosławia, skoro sami robią polskie prawosławie z Kościoła katolickiego? Na tym jednakże punkcie nie myślą sobie oni uzurpować nienależnych im praw autorstwa, a sam nawet profesor Tarnowski głosi poprostu co do katolicyzmu zasadę, będącą tylko naśladownictwem zdania K. P. Pobiedonoscewa, który utrzymuje, że:

»Boże zachowaj, żeby jeden drugiego miał ganić z powodu jego wiary: trzeba, aby każdy mógł tak wierzyć jak mu to jest przyrodzonym...« (str. 203).

»Zapominamy...« albo za późno o tem myślimy, że każda historycznie rozwinięta forma w historii wyrosła z warunków historycznych i jest logicznym skutkiem konieczności. Historii jej nikt nie może zmienić ani obejść; a sama historia, wraz z jej wypadkami, działającymi czynnikami i formami życia publicznego, jest tworem ducha narodowego, tak samo jak historia pojedynczego człowieka w gruncie rzeczy dziełem ducha, mieszkającego w nim. To samo trzeba powiedzieć także o formach instytucji kościelnej. Każda forma ma swój duchowy grunt, z którego wyrosła... nieraz jesteśmy bardzo zachwyceni pewną formą, nie zważając na jej podstawę, gdybyśmy ją jednak mogli zobaczyć, nie namyślalibyśmy się po raz drugi, by barwną formę w całej jej rozciągłości odrzucić i pozostać z radością przy dawnej prostszej formie...« (str. 219. W spornych kwestyach teraźniejszości).

Zupełnie tą samą myśl wypowiedział p. Pobiedonoscew w mowie, ogłoszonej w 1895 r.

»W Moskwie — mówił on — powstało koło wykształconych ludzi przejętych myślą o konieczności samopoznania narodowego...« »Ludzie ci szukali w przeszłości swej oj-

czynny ideału dla organizacyi przyszłych jej losów i oni pierwsi wyjaśnili wszystkim, nieprzerwalny związek narodowości rosyjskiej z wiarą i cerkwią prawosławną...»

»Dla potęgi rządu niema nic ważniejszego, nic droższego, jak wiara narodowa w swego rządcę, gdyż wszystko spoczywa na wierze.«

Jeżeli samo zakończenie w dziwny sposób godzi się z podaną wyżej apostrofą hr. Ludwika Dębickiego do Rusinów galicyjskich, to reszta zacytowanych tu poglądów p. Pobiedonoscewa, jest zupełnie duchowo zbrataną ze zdaniami, wyrażonemi w *doświadczeniach* i *rozmysłaniach* przez hr. Stanisława Tarnowskiego:

»Naród — powiada tenże — który swoją istność, swoją treść moralną i narodową chce zachować niezmienną, nie powinien zmieniać swojej religii, bo za jedną zmianą, druga musi pójść koniecznie. Czuje to instynktowo Rosya i dlatego tak się broni od wszelkiego wpływu katolickiego, tak się go boi; wie, że gdyby porzuciła swoją schizmę, musiałaby zmienić swoją naturę. My w wierze rzymsko-katolickiej ochrzczeni, w niej wychowani i przez Kościół oświeceni, my w tej wierze przez cały ciąg naszych dziejów trwający, w jej rozszerzeniu i obronie najbardziej światu i sobie zasłużeńi, jeżeli mamy zostać sobą i swojej narodowej istności i odrębności nie wyprzeć się i nie stracić, musimy tej wiary trzymać się ze wszystkich sił i nigdy jej nie opuścić. Nie z religijnego tylko stanowiska, nie ze względu na zbawienie dusz, ale z czysto nawet świeckiego i politycznego stanowiska, kto chce, żeby naród polski został narodem i polskim, ten jego charakteru katolickiego strzedz ma jak oka w głowie, jak głównego podstawowego warunku jego odrębnej istności i osobistości...« (*Przegląd Polski* z r. 1891, str. 304).

»Nasze instytucye, formy naszego życia, nasza nauka, nasza literatura, nasz obyczaj, nasze towarzyskie nawet stosunki i zwyczaje, wszystko się z zachodnim światem łączy i łączy nas z nim. Że jego cywilizacya jest na naszej kuli

ziemskiej najwyższą, nie zaprzeczy nawet ten, ktoby nie przyznawał, że jego rzymska wiara jest jedyną prawdziwą. Z obowiązku zatem, jaki każdy naród ma względem całości ludzkiego rodu i jego dobra, z obowiązku wierności i sobie samym i cywilizacyjnej przyszłości świata, z obowiązku wreszcie i samego zmysłu zachowania siebie, musimy stać na tym gruncie, na którym wyrosliśmy, i z którego ciągnęliśmy swoje soki żywotne; trzymać się tej cywilizacji, która jest i najwyższą i naszą i jedyną zgodną z naszą naturą, naszą narodową istnością i przyszłością; a wszelkiej innej niższej i gorszej nie przyjmować i jej się opierać« (*ibidem* str. 305—306).

Czyż hr. Tarnowski nie pojmował tego do jakiego upadku moralnego, do jakiego faryzeizmu zachęca temi słowy nasz naród, a na jakie poniżenie chciałby skazać katolicki powszechny Kościół Chrystusowy? Oby choć teraz sprowadziły z tych zabójczych poglądów nasze społeczeństwo, słowa listu pasterskiego Kardynała Gruschy:

»Pszenica nie traci na tem, jeżeli od niej oddzieloną będzie plewa, tak samo nie traci na tem Kościół Chrystusowy, gdy oddziela się od niego niegodne i w wierze od dawna martwe członki« (*Czas* z 16 kwietnia 1899).

A czyż sądzi hr. Tarnowski, że miałby na tem tracić naród polski, pod względem religijnym i moralnym?

Naturalnie, że wobec takiego traktowania wiary przez hr. Stanisława Tarnowskiego i hr. Ludwika Dębickiego, wobec wyznaczania przez nich Kościołowi katolickiemu takiej roli w narodowym naszym życiu, nie mieli też najmniejszego powodu do krępowania się redaktorowie liberalnego *Kraju* petersburskiego, w którym rozpoczęli oni formalną, systematyczną kampanią przeciwko obja-

wieniu Bożemu i przeciwko katolicyzmowi, kampanią tem niebezpieczniejszą, że maskowaną frazeologią poważania i uznawania katolicyzmu.

Zdaniem p. Straszewicza:

»Dla nas Kościół, w którym naród polski żył lat tysięcy jest *jedynym Kościołem narodowym*, a każdy inny będzie nienarodowym, albo antynarodowym. Myśmy przyrosli do niego i on przrósł do nas, zapuścił korzenie głęboko i szeroko. *Tu wola jednostek*, tu rachuba *nie pomoże nic*. Myśmy się urobili do formy i treści Kościoła katolickiego i *on się do nas ponaginał, do naszych potrzeb i pojęć*, do obyczaju i charakteru narodowego. *Nowoje Wremia* twierdzi, że nowemu Kościołowi narodowemu przeciwni są politycy nieprzejednani szowiniści. Nowemu Kościołowi narodowemu przeciwna jest w kraju naszym *ziemia i powietrze, życie i cmentarze*.«

»W Rosyi — pisał p. Straszewicz w Nr. 4 *Kraju* — dosyć powszechnie wierzą w legendę, iż wiara katolicka nie jest odpowiednią dla Słowian, a zależność od Rzymu ścisła nas niby ciasna obroża. Ale i u nas można się czasem spotkać z *równie fałszywemi* przeświadczeniami o niemocy wyznania wschodniego. Nie mamy więc sobie nic do wyrzucenia.«

W bezporównania jeszcze więcej jasny i oburzający sposób wystąpił w tymże samym numerze *Kraju* p. Włodzimierz Spasowicz przeciwko poglądom Włodzimierza Sołowiewa, uważającego połączenie się Kościoła wschodniego z Rzymem za niezbędną warunek odrodzenia Rosyi i gruntownej z Polakami zgody. Pogarda, z jaką p. Spasowicz poważył się doradzać wyrzucenie pierwiastka religijnego na śmieć i z jaką nie wahał się stawiać wiary, jako czynnika cywilizacyjnego w jednym rządzie z operą pierwszego lepszego żyda niemieckiego, przechodzi wszelkie granice przyzwoitości.

»My ludzie naukowego XIX wieku — mówił on — przywykliśmy pomijać pierwiastki religijne, jako rzeczy nieruchome, jako zabytki przeszłości i przedmioty osobistego przekonania osobników, znajdujemy, że bez porównania łatwiej tworzyć kombinacye na gruncie bezwyznaniowym nowożytnego państwa.«

Zdaniem p. Spasowicza ideały Sołowiewa, ideały,

»które karmi i którym jest oddany ten samotnie kroczący, w każdym razie oryginalny myśliciel czy marzyciel«,

powinno się traktować jak baśń Persiwala, opery napisanej przez Richarda Wagnera: Można się

»lubować w pomysłach, jeżeli są prawdziwie piękne, nie wdając się w to, o ile mogą być realne «

Te obelgi miotane na wiarę katolicką, godzące w najgłębsze uczucia każdego prawego katolika i wstrząsające oburzeniem sumienie każdego człowieka wierzącego w Boga, te obelgi rzucone w twarz całemu polskiemu katolickiemu społeczeństwu, nie wyrwały ze zwykłej obojętności, ani konserwatywnego i katolickiego *Czasu*, ani stańczykowskiego *Przeglądu Polskiego*, ani nawet jezuickiego *Przeglądu Powszechnego*! Warszawskie konserwatywne i katolickie *Słowo* wzięło nawet w gorącą obronę artykuł p. Straszewicza, stawiający w jednej linii prawdę Katolicyzmu z Prawosławiem. Widząc tą niezrozumiałą i niczem nie dającą się wytłumaczyć obojętność polskiej konserwatywnej prasy na zuchwałe podmulanie wszelkich zasad wiary — i to w dodatku w tej części polskiego społeczeństwa, przed którem z chwilą stracenia prawdy wiary niema innej przyszłości, jak Tolstojowski anarchistyczny nihilizm, prowadzący następnie prostą drogą w objęcia prawosła-

wia — napiętnowałem zgubny wpływ *Kraju* na rozwój polskiego społeczeństwa, w broszurze p. t. *Fizjologia szowinizmu polskiego*. Ani jedno z polskich pism nie zamieściło o niej recenzji. Może chcecie wiedzieć dlaczego? Prosta na to bardzo odpowiedź: Dlatego, że środków ratunku na to moralne samobójstwo narodu nie szukałem ani u prawosławnego bezwyznaniowca, jakim jest p. Spasowicz, ani u bezwyznaniowego lutra, jakim jest p. Piltz, główny redaktor *Kraju*, ale szukałem ich przede wszystkim u tych ludzi, którzy sami uznają się za katolików, chciałem je znaleźć między konserwatywnymi powagami Królestwa Polskiego.

»Nie ciskajcie anatemów« — odzywałem się wówczas do tak zwanych ugodowców — »nie obdzierajcie społeczeństwa z czci i wiary za to, że pyta się was, dokąd je chcecie prowadzić — gdy przychodzicie do niego z narodowym Kościołem, gdy chcecie zachwiać w niem wiarę w bezwzględność prawdy Chrystusowej, gdy chcecie powierzyć straż jej *ziemi i powietrzu, życiu i cmentarzom*. Bo w zdrowem swoim poczuciu moralnem, społeczeństwo to rozumie, że jeżeli osłabi wiarę w sercach, jeżeli straż jej odda *ziemi i powietrzu, życiu i cmentarzom*, to na to chyba, by na tych cmentarzach wykopać grób dla Kościoła katolickiego w Polsce. Ono wie o tem, że kto katolicyzmu trzyma się z narodowego przyzwyczajenia, lub dla politycznego interesu, ten zawsze musi na tem skończyć, by stósownie do pojęcia tego interesu, albo porzucić prawdę wiary, albo oddać znowu Kościół katolicki na usługi patryotycznych lub socjalistycznych spisków. Ono wie o tem, że rozluźniając stańczykowskiem oportunistem wiarę w bezwzględną prawdę Kościoła katolickiego, zabiłoby w sobie jedyny pierwiastek swojej siły i wartości, zarówno moralnej jak politycznej« (str. 75—76).

Przedstawiwszy następnie cały szereg ran ekonomicznych, moralnych i narodowych, któremi system

rządu okrył społeczeństwo polskie w Królestwie Polskiem zaznaczyłem że:

»Jeśli wbrew pierwotnemu zamiarowi, rozwinąłem ten bolesny obraz naszych duchowych cierpień z powodu systemu rządowego i nienawiści do nas rosyjskiej opinii publicznej, a szczególnie klasy czynowniczej, to nie zrobiłem tego bynajmniej dla zadowolenia pokusy czczych rekryminacyi. Zmusił mię do tego pan Spasowicz swoją propozycją pominięcia w stosunkach rosyjsko-polskich pierwiastku religijnego. Wobec tej propozycji, musiałem rozwinąć przed jego oczami całą grozę rzeczywistych polskich stósunków, by spytać się go, jaki inny czynnik ma do dyspozycji, żeby w takich warunkach doprowadzić nasze społeczeństwo do zgody i do miłości, a nie do zawiści i chęci zemsty? Odejmiemy tylko społeczeństwu pierwiastek wiary Chrystusowej, zróbmy społeczeństwo głuchem na słowa Świętego Pawła:

»Bracia! Radzi znosicie bezrozumne, będąc sami rozumnymi. Bo znosicie, jeżeli was w niewolę podbijają, jeżeli kto pożera, jeżeli się kto wynosi, jeżeli was kto w głębę bije«

(z listu II do Koryntyjan R. XI)

a możemy z góry być pewnymi, że musimy je rzucić w objęcia anarchii i dynamitu, od czego nie odwiedzie go grunt bezwyznaniowego państwa« (str. 139—140).

»Jakkolwiek rzecz obrócimy, to wyrzucając z panem Spasowiczem pierwiastek religijny z kombinacyi, nie można szukać przymierza, ani z panem Sołowiewem, ani z księciem Uchtomskim, bo ci nie myślą go wyrzucać. Pozostaje więc chyba albo przymierze z tą częścią rosyjskiej inteligencji, dla której cerkiew nie ma większego znaczenia, jak każde inne *Kaznaczejstwo* i gotową jest każdej chwili ją rozburzyć, gdyby się tylko przekonała, że od okazywania dla niej szacunku nie zależy ani jej pensya, ani jej awans, ani otrzymanie orderu lub posady w zbuntowanym *prywislanckim* kraju; albo też przymierze z hr. Leonem Tołstojem. A chyba to nie ulega wątpliwości, że czyby ostateczne zwycięstwo przechyliło się na jedną, czy na drugą stronę, to przecież dla naszego cywilizacyjnego i narodowego rozwoju nie mogłoby się wówczas znaleźć miejsca w Rosyi« (str. 145).

Postawiwszy pytanie :

»czy jest miejsce lub niema go dla pana Spasowicza w szeregu stronnictwa zgody z Rosyą?« Odpowiedziałem »na to stanowczo, że jest i powinno być, ale nie przed frontem, nie miejsce chorążego, dzierżącego narodowy sztandar polski i prowadzącego hufce do boju, ale miejsce na petersburskiem skrzydle linii bojowej. Pod jednym jednak warunkiem, a mianowicie: że jeżeli sumienie i przekonanie jego nie pozwala mu brać w rachubę pierwiastka religijnego w ugodowej akcji, to niech go już zupełnie wykreśli, i ze swoich mów i ze swoich artykułów, niech go już zupełnem pokryje milczeniem. Na tem stanowisku może i pan Spasowicz i redakcja *Kraju* bardzo poważne sprawie narodowej oddać usługi, mając rozległe w społeczeństwie rosyjskiem stósunki i mając wogólności ten sam, co ono grunt logiki i ten sam tok myśli. Zarówno jednak pan Spasowicz, jak redakcja *Kraju*, powinni się uważać za armię posiłkową i nie uzurpować sobie prawa do narzucania polskiemu społeczeństwu ani celu, ani głównego traktu pochodu« (str. 145—146).

Jak się wyżej powiedziało, broszura ta nie istniała zupełnie dla polskiego dziennikarstwa, zaledwie zrobiono mi łaskę przyjmując moje sprostowanie fałszów zamieszczonych o niej w jednym z rosyjskich dzienników, zresztą głuche o niej jak zawsze panowało milczenie. Jednego tylko jak zawsze miałem wiernego sprzymierzeńca, sprzymierzeńca, który za łaską Boga dotychczas ani razu mi nie chybił a tym jest *czas*, imiennik konserwatywnego mojego wroga. Niespełna dwa lata wystarczyły na to, by stwierdzić słuszność moich zasad i moich przewidywań.

W *Czasie* z 7 Grudnia 1898 r. wyczytałem wiadomość, że

»Dziś ukazała się na półkach księgarskich w Krakowie książka p. Lutomira Bolesławskiego p. t. »Wobec wznowienia

kwestyi polskiej.« Autor zamierzał wydać ją pod własnem nazwiskiem, lecz zwrot, jaki objawia się od niedawna w stosunkach rządu rosyjskiego do społeczeństwa polskiego stał się w ostatniej chwili pobudką do zastąpienia podpisu pseudonimem.«

Proszę o zapamiętanie faktu, że *Czas* nie znalazł potrzeby ani słowa więcej wypowiedzieć o tej książce. Pozwalam więc sobie wyręczyć go pod tym względem.

Przedewszystkiem zdaje mi się, że będzie to nie od rzeczy zastanowić się nad tem, zkąd powstała u szanownego p. Bolesławskiego myśl do napisania tej politycznej rozprawy. Nie wiem czy daleko rozminę się z prawdą, wypowiadając przypuszczenie, że powodem do chwycenia za pióro, było przeczytanie mojej *»Fizjologii szowinizmu.«*

Spytacie mię na czem opieram to przypuszczenie? Odpowiem, że na rozmaitych wskazówkach. I tak: W całej książce tylko ja jeden t. j. właśnie moja Fizjologia szowinizmu Polskiego, jest atakowaną imieniem, a mianowicie:

»Z wypadków roku sześćdziesiątego trzeciego czynicie akt oskarżenia nie tyle przeciw ówczesnej generacyi, lecz wogóle przeciwko narodowi naszemu. Czyż trzeba wam dowodzić jak fatalnie bładzicie i historycznie i politycznie? Odpowiedź zapewne, że to szowiniści stają w obronie powstania. Najpierw na obronę, byłoby za późno. Powtóre, chociaż Jerzy Moszyński pisze książki o »Fizjologii szowinizmu polskiego« nie widzę wśród składników naszego charakteru narodowego żadnego zgoła materyału na szowinizm. To też w rozprawach Moszyńskiego niema ani fizjologii, ani szowinizmu« (str. 108).

Widocznie, że pisząc swoją książkę mnie miał głównie na myśli szanowny pan Lutomir Bolesławski, skoro

z tym zarzutem wystąpił do mnie, a nie naprzykład do p. Bolesława Lutomskiego, który z taką gwałtowną filipiką wystąpił przeciw warszawskim szowinistom w Nr. 2 *Kraju* z r. 1897, że aż ja musiałem w tejże *Fizyologii szowinizmu polskiego* zapytać go:

»W jaki sposób zamierza szanowny Autor rozszerzać trzeźwe polityczne poglądy wśród społeczeństwa, nie mającego najmniejszego pola do publicznego działania, jeżeli wszystkich i wszystko, co się nie mieści w wyciętym przez niego politycznym szablonie, odsądza w czambuł od czci wiary i bezczęści piętnem miłości własnej, gonienia za popularnością, głupoty, nadętości, krzykactwa, próżni serca i umysłu?» (str. 59).

Pouczał nas wówczas tenże pan Bolesław Lutomski, że:

»Mamy takich, którzy nauczają, że nam nie potrzeba żadnego programu, lecz tylko cicho siedzieć i pracować. Ci są niezadowolnieni z każdej inicjatywy, prawdopodobnie dla tego, że nie od nich wyszła«... »Mamy zwolenników popularności. To rycerze frazesów brukowych, salonowych i dziennikarskich, czczych, pustych lecz popularnych. Ci zawsze niebezpieczni, choć próżni i głupi. Handlarze taniego i obłudnego patryotyzmu, fabrykanci tandety politycznej, wyznawcy głupoty, synowie blagi. Posiadają tylko religią swego interesu i rozdętej miłości własnej, lecz są bardzo zręcznymi trefnisiami i faworytami opinii«... Mamy opozycjonistów z temperamentu, ze zwyczaju, z namiętności do krzyczenia i gadania«... »Mamy jeszcze długi szereg rozmaitych odmian ochotników politycznych.«

Skreśliwszy w ten sposób obraz ogółu naszego społeczeństwa, zastrzega się p. Lutomski, że:

»Nie znaczy to wszakże, abyśmy nie posiadali jasnych i szlachetnych inteligencji politycznych.«

Następnie opieram to przypuszczenie na tem, że cała książka pana Lutomira Bolesławskiego jest punkt za punktem zbijaniem moich poglądów. I tak, gdy ja upatruję przyczyn powstania 1830 roku w tem, że z powodu rewolucyi we Francyi i w Belgii oraz zamierzonego wypowiedzenia wojny przez cesarza Mikołaja I.

»w Warszawie zbiegły się nici politycznych interesów państw europejskich. Po raz pierwszy miała się Warszawa stać teatrem tego dziwnego widowiska, że najsprzeczniesze interesa państw, zostających z sobą w nieprzejednanych antagonizmach politycznych, miały się spotkać w tym samym kierunku działania względem nas, a mianowicie ratowania się kosztem naszej skóry« (str. 17);

pan Bolesławski przeciwnie trzyma się z nabożeństwem dawnej naszej emigranckiej tradycyjnej metody historycznej i nie waha się twierdzić, że

»W istocie, kiedy wkrótce po kongresie wiedeńskim, Austria chwyciła się ohydneho systemu germanizacyi Galicyi, Prusy zaś niedotrzymały systematycznie zobowiązania, że zaprowadzą instytucye narodowe w Poznańskim i wyłącznie krajowców powołają do rządów tej prowincyi, Polacy zepchnięci z drogi pokojowego rozwoju, nawet w tym zakresie jaki im przyznawał kongres wiedeński, zaczęli obmyślać rozpaczliwe plany ku zdobyciu lepszej przyszłości. Związek ich z tak zwaną rewolucją powszechną był więc nieunikniony.«

Rzeczywiście, że Autor przejął się tak gruntownie polską rodzimą logiką, iż trudno pojąć dla czego nie podaje się na członka krakowskiej akademii umiejętności:

Dla tego, że Rosya i Austria nie dotrzymywały Polakom obietnic, byli oni zmuszeni, zdaniem p. Bole-

ślawskiego, do związania się z europejską rewolucją przeciwko Rosyi, która dała im zupełną autonomią, z rządem polskim, z sejmem polskim, wojskiem polskim i szkołami polskimi!

Podczas gdy ja przyznaję niepodzielną słusność Wielopolskiemu, zwalonemu tylko przez brak poparcia u konserwatywnych żywiołów, p. Bolesławski staje zawsze na stanowisku głoszonych przez *Czas* zarzutów w latach 1860—1864, a mianowicie na stanowisku ludzi nie mogących darować Margrabiemu, że nie poddał się podziemnej konspiracyi i nie stał się jej narzędziem.

»Aleksander Wielopolski, pisze on, pod względem planu, rozumu, woli i konkurencyi był politykiem większego stylu; nie umiał jednak spełnić roli człowieka przeznaczenia. Dla czego? Może dlatego, że nie posiadał we wrażliwości swojej nerwu, odczuwającego *wspólną duszę* narodu, może nie przenikł afmosfery otaczającej, nasyconej modlitwą patryotyczną, może nie umiał wydobyć z serca ciepłego i twórczego słowa, które magicznie na ludzi działa« (str. 99).

»Narody mają duszę« — woła autor na str. 54 — »Dusza wykształconego i świadomego narodu, jak i dusza ukształconego i wyszlachetnionego indywiduum pragnie swobody i rozkwitu.«

Widzimy więc, że naprzeciw mojemu pojęciu, opartemu na nauce Kościoła katolickiego, że tylko ludzie, ale nie ich gromady, obdarzone są indywidualną duszą — a co z tego wypływa — i indywidualną odpowiedzialnością, stawia autor duszę narodową, w której naturalnie topi wszelką odpowiedzialność jednostek i gniewa się na każdy akt oskarżenia przeciwko tymże.

O ile w *Fizyologii szowinizmu polskiego*, zarówno jak we wszystkich moich pismach, uważam wiarę katolicką za główny fundament zdrowego rozwoju społecznego i narodowego, o tyle pan Bolesławski idzie

zupełnie za wezwaniem pana Spasowicza i bez najmniejszego wyrzutu sumienia wyrzuca ją na śmieć swoich głębokich myśli. W książce, mającej 307 stronnic, a traktującej o stosunkach rosyjsko-polskich, dwa razy zaledwie wspomina on o Kościele katolickim, a to na to tylko, by na stronnicy 197 pouczyć nas, że:

»Rosyanie biorą od Polaków ich uczucie entuzjazmu rycerskiego, ich pojęcie indywidualności osobistej i narodowej, ich starą cześć dla wolności ludów, ich tolerancją religijną i myślową, *przycmioną niestety przez Jeżuitów* i niewolniczy wpływ państw rozbiorowych«...

Drugi raz na str. 294, gdzie, polemizując z memoriałem księcia Imeretyńskiego, zarzucającym duchowieństwu intrygę polską, powiada on, co następuje:

»Co do duchowieństwa, widzimy, że jest ono nie tylko najlegalniejszym wśród pierwiastków społecznych, lecz słyszymy oskarżenia, popierane licznymi przykładami, że są księża, co rusyfikują kościół i swoją owczarnię, wyszydają patriotyzm, są żandarmami w sutannach, słyną z przewrotności i nadzwyczajnego zdzierstwa.«

Zasadnicze swoje poglądy na zadanie Kościoła, p. Bolesławski w następujących kreśli nam słowach:

»Narody takie, jeżeli chcą być i trwać, powinnyby opowiadać i praktykować wśród siebie ewangelię miłości, sprawiedliwości i współczucia. Okrutna i samolubna polityka starego świata rzymskiego, władającego siłą materialną w kulminacyjnym punkcie rozwoju, rozbiła się o religię miłości i bezmiernej dobroci. Tutaj dotykamy wielkiej kwestyi naszych czasów. Jeżeli bowiem religia ma pełnić szczytniejsze powołanie w społeczeństwie, to oczywiście pozostaje zbyt długo w skrzepłych formach urzędowych kościołów. *»Konające społeczeństwo chwytła się dogmatów i aksjomatów. Ono to nie nie przyjmuje i neguje wszystko — ono samo jest negacją«* (Adam Mickiewicz).

To też potwierdził p. Bolesławski moje twierdzenie, że jeżeli odejmiemy społeczeństwu pierwiastek religijny, to musimy je rzucić w objęcia anarchii i dynamitu i innego wyboru sprzymierzeńców nie będziemy mieli, jak między hr. Leonem Tołstojem a biurokracją rosyjską. Zresztą wdzięcznym mu jestem, że wyświecił pod tym względem moje pojęcia, przekonywując mnie, że nie chodzi tu bynajmniej o alternatywę, »to albo tamto«, ale o naturalne następstwo, a mianowicie: naprzód Mazzini i Garibaldi, następnie Lew Tołstoj, a wreszcie Pobiedonoscew i prawosławie.

Naturalnie, że potężniejszy katolicyzm, oparty na dogmatach wiary, musiał on szukać nowych ideałów moralnych i nowych ich kapłanów. Wiarę w Boga ma nam zastąpić *instynkt historyczny*, jak to widzimy z następującego ustępu:

»Korzystajmy z każdego przyjaźniejszego prądu w Rosyi; na objawy sprawiedliwości odpowiadajmy uznaniem i wdzięcznością. Kiedy jednak duch gnębienia i nienawiści bierze górę, jedyną ucieczkę znaleźć możemy pod skrzydłami instynktu historycznego« (str. 208).

»Im więcej godzono — powiada na str. 28 tenże autor — w narodowość Polaków, tem głębiej ją skrywali w głębi swego uczucia, które podnieśli do wyżyn kultu religijnego. Po takiej właśnie linii nieuchronnie postępuje psychologia prześladowanej narodowości: uczucie narodowe skupia się wewnątrz i krystalizuje w fanatyczną nienawiść prześladowcy.«

»Zapytajcie się teraz — mówi p. Bolesławski na str. 145 — socjologów, historyków i polityków, co się stanie z narodem, który otoczony żelaznym pierścieniem, dławiony i ścigany, wyrzeka się nienawiści do nieprzyjaciół i za kamień płaci chlebem? Odpowiedź prosta: zniknie z powierzchni i zostanie wykreślony z pośród żyjących«.

Arcykapłanem tych nowych prawd ma być dla nas widocznie Leon Tołstoj, który zdaniem autora

»ze swoim głębokiem i prostem przenikaniem życia, ma w oczach naszych żywotność i wielkie znamiona prawdy« (str. 193).

Gdzie mamy szukać ideałów cnót obywatelskich i wzorów obowiązkowości względem kraju? Gdzie szukać oparcia i światła?

Chyba nie potrzebujemy się o to troskać, skoro objaśnia nas autor, że:

»Najszlachetniejsi synowie wieku: Lafayette, Lamartine, Mazzini i Garibaldi, Hercen i Tołstoj aż do Renana i Brandesa, zwrócili najszczytniejsze myśli i słowa, niekiedy czyny ku Polsce, poświęcali jej łzy żalu, zasyłali wyrazy współczucia lub uwielbienia.«

Proszę sprawdzić na stronnicy 307, że ten bigos opiekuńczych duchów sprawy polskiej nie jest moim wymysłem.

To jednak widocznie zrozumiał autor, że wszystkie te ideały i wszyscy ci apostołowie mogą bardzo skutecznie, przy sprzyjających okolicznościach, posłużyć za klin do wybicia katolicyzmu z serc polskich, zastąpić jednak pierwiastku religijnego i Kościoła na dłuższy czas nie zdołają. W naszych więc warunkach po rozbiciu katolicyzmu musiałoby nastąpić prawosławie. To też nie omieszkał p. Bolesławski i dla jego apostołów równać ścieżek w naszym społeczeństwie. Przecież pod rycerską maską pseudonimu można sobie i na to pozwolić!

»I Pobiedonoscew — pisze on — i Danielewski posiadają jednakże umysły niepospolite, wykształcenie rozległe, są filo-

zofami i myślicielami. Lecz jest to zjawisko powszechne, że obok wybitnych wyobrazicieli doktryn i kierunków, powstaje długi szereg zwolenników, którzy już to w materyalnym interesie, już to oślepieni ciasnemi namiętnościami, przesadzają i karykaturują idee swoich mistrzów, sprowadzają je na poziom nizki, dowodzą do *absurdum*» (str. 186).

Dzięki panu Bolesławskiemu, widzimy przed sobą przynajmniej już teraz tą legią filozofów i myślicieli, mających niepospolite umysły i rozległe wykształcenie, którzy czekają tylko na zajęcie miejsc, obsadzonych dziś w Królestwie Polskiem tymi żandarmami w su-tannach, odznaczającymi się tylko niesłychanem zdzierstwem.

Kraj w zeszycie Nr. 3 z 15 (27) stycznia 1899 r. rozpiął się szeroko i z uznaniem o broszurze p. Bolesławskiego.

»Pomimo przebijającego się wszędzie podkładu uczuciowego książki« — pisze on między innemi — »i coraz to wyraźniejszego ku końcowi wpływu tej właściwości na wnioskowanie autora, dążenia jego zasadnicze i analiza stosunków naszych mają charakter realny i oparte są na znajomości warunków podstawowych życia dzisiejszego i ścierających się w niem prądów.«

Ale cóż się mamy temu dziwić, że *Kraj*, przygotowujący ludność polską do zupełnego złania się moralnego z Rosyą, bo atakujący prawie w każdym numerze zasady wiary i moralności katolickiej, poświęcił aż 3 strony pochlebnemu sprawozdaniu z tej pouczającej książki, jeżeli *Czas* nie uznał za stósowne ani jednym potępić jej słowem, a konserwatywne, katolickie warszawskie *Słowo* następującą o niej swoim czytelnikom podało recenzją w Nr. 297 z dnia 29 grudnia 1898 r.:

»Bardzo cenną i ciekawą jest książka pana Lutomira Bolesławskiego, Warszawiaka, omawiająca stosunki rosyjsko-polskie w Królestwie. Rzec napisana rozumnie, niekiedy głęboko, rozważająca jasno i krytycznie, a spokojnie wiele zasadniczych kwestyj, związanych z bytem i potrzebami społeczeństwa polskiego. Autor jest gorącym zwolennikiem wyrównania stosunków rosyjsko-polskich. Widzi on przyszłość pomyślną społeczeństwa polskiego w jego rozwoju normalnym w ramach państwowości rosyjskiej. Twierdzi i słusznie, że wymagania państwowości dadzą się doskonale pogodzić z kulturalnym rozwojem i prawdziwymi potrzebami Królestwa Polskiego, potrzebami, które, wedle Najwyższego Manifestu, są drogie sercu Najjaśniejszego Pana.

Autor okazał się rzadkim u nas pisarzem politycznym, o wyrobionej metodzie, stylu jasnym, poważnym, rozwija krytykę wielostronnie ze stanowiska dziejowego, omawia wszystkie kapitalne zagadnienia chwili obecnej. Nie stoi na gruncie żadnego stronnictwa, nie stawia żadnego programu, nie bawi się w horoskopy; mimo to udowadnia możliwość urzeczywistnienia się naczelnego postulatu swej książki.

Wśród bieżącej literatury politycznej, książka ta jest zjawiskiem niezwykłym i zasługuje na bliższą ocenę, jako wyobrazicielka właśnie chwili obecnej, połączonej z postulatami przyszłości. Pisana językiem dobrym, barwnym, prowadzona jasno, przepełniona spokojną argumentacją, pełna godności, uczuć sympatycznych, wolna od szowinizmu i przesądów, czyta się z wielkiem zajęciem i pobudza do myślenia. Niewątpliwie, że prasa tutejsza poświęci jej bliższą uwagę i szersze referaty.

Sincerus.»

Nadaremnie szukam w *Czasie*, szukam w *Przeglądzie Polskim*, szukam w *Przeglądzie Powszechnym*, gromów, rzuconych na pana Lutomira Bolesławskiego i na redakcję warszawskiego *Słowa* przez autora *Królowej opinii*! Ale czyż może stańczykowski Jowisza obchodzić to, gdy ugodowy pismak lub konserwatywny redaktor rzuci najohydniejszą kalumnię na całe kato-

lickie duchowieństwo w Królestwie Polskiem, gdy rzuci rękawicę samej nawet podstawie wiary katolickiej i pokłony bić zacznie przed Mazzinim, Garibaldim, Tołstojem, Hercenem, Renanem, Brandesem i Pobiedonoscewem? Przecież redakcja *Słowa*, to nasza, konserwatywna, swoich przecie nie można atakować! Gdydy to tak był napisał p. Romanowicz, p. Szczepanowski lub p. Świętochowski, to co innego, a wtedy to hejże na niego *Królowo opinio!* Krop! wal! a nie żałuj! Ale p. Mścisław Godlewski, p. Doniemirski, tych trzeba przecież bronić, choćby same strzępy już tylko zostały z ich konserwatywnych i katolickich opinii, chociażby wprost i otwarcie pracowali dla prawosławia lub bezwyznaniowości! Trzeba ich bronić i zaślaniać tak samo, jak zaślaniało się pana Bobrzyńskiego, gdy śmiał głosić w swej historyi, że program zupełnego zlania się Polski, Prus i Rosyi na podstawie zerwania z Rzymem, zniesienia celibatu księży i zaprowadzenia narodowego Kościoła

»był to niewątpliwie najszerszy polityczny program, na jaki naród polski zdobył się w ciągu dziesięciu wieków swego istnienia.«

Ależ to stańczyk, głosuje z nami, trzeba więc oddać mu w ręce wychowanie całej polskiej młodzieży w Galicyi!

Ale gdy kto zuchwał się poważy się z całą świadomością rzeczywistego pomieszania pojęć religijnych, nurtującego konserwatywne organa warszawskie, przestrzedz je przed ich szkodliwością, to albo się milczy, albo się bierze je w obronę, jak to n. p. zrobił *Czas* z 14 stycznia r. b. z powodu mojej broszurki o odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Warszawie:

... »Niewątpliwie — pisze *Czas* — p. Lutosławski w *Kraju*, sławiący mądrość i wielkość Towiańskiego, jako jednego z największych po Skardze naszych kaznodziejów, domagał się surowego skarcenia. Co do innych wytkniętych artykułów, nie da się wprowadzić zaprzeczyć, iż znalazło się w nich niejedno zdanie, ścisłej krytyki nie wytrzymujące — atoli może nie zasłużyły na sąd tak ostry, a zwłaszcza zgryźliwy. Uroczysty nastrój, zapal chwili, tłómaczy w znacznej części przesadę i brak ścisłości w wyrażeniach, które się wkradły w rzeczy, pisane pod chwilowem wrażeniem«.

Czyż może także zapal chwili tłómaczy taką chwałbę
Słowa dla książki pana Lutomira Bolesławskiego?

»Długoby mówić, przechodzić okropnie
 Wszystkie od chwały do niewoli stopnie«,

ale jeszcze okropniej widzieć, jak po tych stopniach
 wije się i szerzy jad moralnej zgnilizny i być zmuszo-
 nym wykrzyknąć:

»Lecz narodu Duch otruty,
 To dopiero bólów ból!«

Gdy przed 27 laty ukazała się broszura pana Kazimierza Krzywickiego, byłego członka rady stanu Królestwa Polskiego, w której tenże z wielką bystrością nawołując naród nasz do budowania przyszłości na gruncie realnej polityki istniejących stósunków, poważyl się zachęcać nas do zrezygnowania z własnej polskiej mowy, twierdząc, że:

»Po utracie politycznej udzielnosci, ani marzyć możemy o utrzymaniu mowy naszej w sferach urzędowych czynności«,
 (str. 59).

przedkładając nam następnie z niczem niezamąconym spokojem, że:

»Jeśli mi ktoś chciał zrobić uwagę, że mimo usunięcia wszelkiego ucisku, jakiego dziś we względzie językowym doznajemy; już przez to samo, że mowa nasza przestanie być mową sfer oficjalnych z czasem — dojdą rzeczy do tego, że w wyższych warstwach społecznych będzie można co krok napotykać Polaków, nieużywających polskiej mowy, tak jak dziś widzimy Litwinów, nieużywających rusińskiego języka, którym mówili ich przodkowie, na to odpowiem, że sam najzupełniej to jego przewidywanie podzielam. Atoli, niech raczy wziąć na uwagę, że skoro podobne fakta nastąpią w drodze zupełnie naturalnej, powolnej, bezprzymusowej transformacji; to jak wszystko w podobnej drodze przycho-dzące, nie powinny obudzać wstrętu. Nie ludzkie upodobania zresztą, lecz niezłomne prawa świat prowadzą« (str. 60).

wówczas we wszystkich odcieniach społeczeństwa polskiego, jeden głos słusznego oburzenia był odpowiedzią na to wezwanie, na to proklamowanie wynarodowienia niezłomnem prawem natury!

Ale gdy dziś p. Włodzimierz Spasowicz nie waha się dla ułatwienia zbliżenia się polsko-rosyjskiego wyrzucać pierwiastka religijnego na śmieć i gdy na tej drodze doszedł już, jak widzimy, do świetnych zdobyczy zarówno na niwie politycznej, jak do znakomitych owoców w sferze duchowej i moralnej społeczeństwa polskiego, owoców tak ponętnych, że nawet najkonserwatywniejszy organ warszawski nie waha się z zapałem pochwalać nikczemnych napaści na duchowieństwo katolickie i na dogmata Kościoła katolickiego — to *Czas* krakowski, ten Nestor konserwatywnej polskiej opinii, nie ma nic pilniejszego, jak ogłosić tego prawosławnego bezwynaniowca kierownikiem działania polskiego pod rządem rosyjskim, bezsprzecznym politycznym spadkobiercą Aleksandra Wielopolskiego! Oto artykuł wstępny, zamieszczony w Nrze 24 *Czasu* z dnia

29 Stycznia r. b., poświęcony p. Spasowiczowi w dniu jego jubileuszu:

»Nie przebrzmiały jeszcze echa biesiady literatów rosyjskich, zgromadzonych dla uczczenia pamięci polskiego wieszczą — dziś znów w Petersburgu do wspólnego zasiądną stołu ludzie nauki i pióra dwóch narodów zwaśnionych. Oddawać oni będą hołd mężowi, który wbrew prądom czasu, zdołał utrzymać stanowisko międzynarodowe.

Włodzimierz Spasowicz urodzony przed siedmdziesięciu laty gdzieś na zaścianku białoruskim, choć wyznaniem rozdzielony, do polskiego należy społeczeństwa nie tylko pochodzeniem, lecz całą swą duchową indywidualnością.

Większą część życia spędził w stolicy Rosyi — tam otoczyła go powaga, mir i sława.

Literatura polska, zarówno jak literatura rosyjska szczytną się imieniem słynnego prawnika, wymownego obrońcy, śmiałego publicysty, biegłego znawcy i badacza sztuki i poezyi, głębokiego myśliciela. Dwa społeczeństwa o tylu sprzecznościach i ostrych przeciwieństwach składają zgodnie uznanie, że w jego życiu i pismach nie było nigdy dwulicowości, ani wallenrodyzmu, ani zaparcia się wrodzonych uczuć i wyższych ideałów; że w tem wszystkim, co podejmował, pisał i działał, był zawsze szczerym, wiernym i szlachetnym.

Potężna to postać, niezwyklej miary umysł i wyjątkowej wartości charakter, co ponad otwartą i zgłębiającą się przepaścią rzucał pomosty i utrzymywał moralną równowagę.

Nie bez zastrzeżeń przyjmowaliśmy dążność publicysty, gdy wskazywał drogę bliższego zespolenia ze światem słowiańskim lub *podejmował w zmienionych stosunkach polityczny spadek Wielopolskiego*. Doznane obopólnie zawody tych, co się zwracają na Zachód, jak i tych, co na Wschód, zmniejszają dziś różnice dwóch programów.

Z Zachodu zaczerpnięta cała treść polskiej cywilizacyi i ten duch zachodni wieje z pism tego, który bada prawodawstwo różnych wieków i narodów, komentuje Hamleta lub Wallenroja, rozbiera pierwiastki piękna i prawdy w arcydziełach sztuki i poezyi.

Są wyżyny wspólne pochodowi ludzkości, są sfery neutralne wśród walk politycznych; z takich wyżyn Spasowicz przemawia do dwóch społeczeństw. Głos jego wywołuje żywe echo wśród towarzyszków rosyjskich naukowej i literackiej dziedziny — głos ten rozszerza się na tysiące rodaków, rozrzuconych wśród olbrzymich przestrzeni państwa rosyjskiego, głos ten i ta postać jednoczy liczną osadę polską w stolicy Rosyi.

Przykuci do rydwanu wszechświatowej potęgi, która coraz to nowe otwiera sobie szlaki na daleki Wschód — Palacy całymi zastępami odrywani z rodzinnych stron, wystawieni bywają na liczne próby i pokusy. Bodajby od nich chronił wzór tego męża, który nigdy nie sprzeniewierzył się uczuciom polskim — a zajmąwszy zaszczytne stanowisko wśród obcych, swoim niósł pomoc, rzecznictwo i obronę.

Jubileusz Włodzimierza Spasowicza w Petersburgu jest nowym dowodem, że niema tak ciężkich czasów i trudnych warunków, w którychby wyższa zdolność, wytrwała praca i dobra wola nie osiągnęła skutku i nie zyskała uznania».

Tak jest! doszło nasze konserwatywne dziennikarstwo do tego stopnia upadku moralnego, do tego zatarcia się w niem najprostszych uczuć wiary i moralności, że już straciło nawet instykt najzwyczajszej przyzwoitości, względem zasad wypisanych na swoim szyldzie. Proszę przeczytać w Nr. 82 *Czasu* z dnia 11 kwietnia r. b. opis uroczystości złożenia przez pana Kazimierza Skrzyńskiego wieńca na pomniku Mickiewicza w Kapitolu.

Opis ten brzmi:

....»Uzyskawszy od mera Rzymu księcia Ruspoli pozwolenie złożenia wieńca u stóp pomnika Mickiewicza na Kapitolu, wiceprezes Towarzystwa dziennikarzy polskich pan Skrzyński zaprosił polskich uczestników kongresu na godz. 4 po południu do uczestniczenia w tej uroczystości»....

»Złożywszy wieniec, p. Skrzyński nasamprzód po polsku, następnie po francusku przemówił, w niewielu sło-

wach mieszcząc całą gorącą cześć i uwielbienie dla wieszcza oraz wyraz wdzięczności dla gościnnego narodu włoskiego. Następnie korespondent *Kuryera Warszawskiego* p. Darowski w krótkiej przemowie włoskiej, oddawszy cześć poecie, przypomniał, że Mickiewicz przed pół wiekiem *współpracował tu nad jednością i niepodległością Włoch*. Wreszcie Commadore Lazzaro odpowiedział w języku francuskim, dając wyraz sympatii narodu włoskiego dla Polski, czci dla Adama Mickiewicza i wdzięczności za udział Polaków *w walce o jedność Włoch*. Wreszcie wyraził nadzieję, że i Polska wyjdzie zwyciężko z walki o wolność i niepodległość.«

Przecież tego rodzaju przemówienia musiały być zgóry aprobowanemi przez głównego inicjatora uroczystości t. j. przez p. Kazimierza Skrzyńskiego. Z jego więc wiedzą p. Adam Darowski korespondent *Kuryera Warszawskiego* — a o ile mi wiadomo także warszawskiego *Słowa* — w krótkim swem przemówieniu znalazł dosyć na to czasu, by jako reprezentant polskiej prasy, w samymże Rzymie u stóp Waykanu, sławić współpracownictwo Mickiewicza nad *jednością Włoch* i wywoływać wyrazy wdzięczności pana Lazzaro za udział Polaków w walce o *jedność Włoch*!

Jeżeli tak dalej poczynać sobie będziemy, to ta przyobiecana nam przez pana Lazzara nagroda wolności i niepodległości, za pomoc w rabunku państwa kościelnego na rzecz królestwa Włoskiego i za odebranie politycznej niepodległości Ojcu świętemu, musi się nam obrócić na zagładę ostatnich szczątków narodowego bytu polskiego.



IV.

«Albowiem takowi Panu naszemu Chrystusowi nie służę, ale brzuchowi swemu i pobłażania żwodzię serca niewinnych ludzi». (Lit. Ś. Pawła do Rzymian R. XVI. 18).

Powiedział w swojej mowie hr. Stanisław Tarnowski, że

»dzis wypadki, które zachwiały wewnętrzną równowagę monarchii, zachwiały i nasze w niej znaczenie. Wewnętrzna jedność i harmonia okazała się złudzeniem, skoro nawet posłowie polscy w Wiedniu nie wszyscy poczuwają się do jej obowiązku. Społeczny ład jak silnie ugruntowany, to pokazały rozruchy, podniecone jakimś podmuchem wiatru niewiedzieć skąd. Nie świetny rezultat trzydziestoletnich starań«.

I niestety nie omylił się tym razem! Z całej niedawnej świetności politycznej naszej, z przewodniego w rządzie Austrii stanowiska, została nam kupa gruzów, gorzej, bo kupa trzasek i zgniłej słomianej strzechy! Na toście lat trzydzieści dla tej właśnie polityki poświęcali wszystko, coście mieli najdroższego, bo czystość zasad wiary, zdrowy rozsądek, uczciwy rozwój moralny i ekonomiczną pracę społeczeństwa, żeby się doczekać obstrukcyi w parlamencie, dezorganizacyi socyalnej w kraju, a reasekuracyi, defraudacyi bankowych w Sejmie!

Wam się zdaje, że nie ma logiki w dziejowych wypadkach, że polityka to nie moralność i nie matematyka. Ale czyż nie powinienby naprowadzić was na myśl uznania dziejowej sprawiedliwości fakt, że jedno tylko naczelne w rządzie stanowisko i to stanowisko najwyższe w całej austro-węgierskiej monarchii, przetrwało wasze polityczne i moralne bankructwo, a tem jest stanowisko hr. Agenora Gołuchowskiego, a więc tego właśnie człowieka, któremu pan Koźmian nie wahał się podstawiać nogi za świetnych chwil prezydentostwa hr. Kazimierza Badeniego w austriackiej Radzie ministrów. Tak jest! Ten sam *Czas*, który umie tak pięknie moralizować *Nową Reformę*, *Pszczołkę* lub *Naprzód* na temat narodowej solidarności, nie wahał się atakować Hr. Gołuchowskiego, właśnie w najtrudniejszej dla niego chwili, bo w chwili nowego rozżarzenia się kwestyi wschodniej i to właśnie w czasie, gdy rozpoczęta obstrukcyja osłabiała siły wewnętrzne monarchii i wpływ jej na zewnątrz.

Przez jakiś czas zaczęły krążyć po świecie wieści o mianowaniu pana Stanisława Koźmiana dyrektorem biura prasowego. Pogłoski pokazały się nieuzasadnionemi. Na ich miejsce zaczęły się pojawiać w *Czasie* następujące artykuły wstępne o zagranicznej polityce Austro-Węgierskiej.

W *Czasie* z dnia 27 Stycznia 1897 czytamy z okazji ogłoszenia Księgi błękitnej:

»Tu zamyka się Księga błękitna i czytelnik nic więcej nie wie co do głównego dziś i *jedynie poważnego punktu przymusu, bez którego, jak twierdził hr. Gołuchowski niczego po akcji spodziewać się nie można*«.

»Całość zatem położenia przedstawia się w następujący sposób: Ambasadorowie naradzają się jeszcze w tajemnicy

nad planem reform; gdy szczęśliwie skończą, Anglia postawi wniosek co do środków przymusowych, na wybór których mocarstwa musiałyby się jednomyślnie zgodzić; chodź jednak będzie przede wszystkim i głównie o to, czy wedle zdania Anglii i Austrii postawić należy środki przymusowe przed przedłożeniem planu reform sułtanowi, czy wedle myśli Francji i Rosji, dopiero gdyby go nie przyjął».

»Przytem widzimy, że co do owego rozstrzygającego punktu przymusu są za nim z lekkim sercem tylko gabinety londyński i wiedeński; że berliński zachował się wobec niego chłodno i obojętnie; że rzymski niewolniczo idzie za Anglią; że wreszcie paryski i petersburski, po ociąganiu się, zgadzają się nań z wstrzemięźliwością co do użycia go i z pewnem zastrzeżeniem, które odnosi się do tego nieobojętnego szczegółu, czy przed albo też po wręczeniu planu reform należy postanowić środki przymusu i to pod warunkiem zupełnej zgody mocarstw, a ze strony Francji pod trzema jeszcze innemi, które czytelnik znajdzie w ogłoszonych przez nas wyciągach z Księgi błękitnej«.

»Z tego nie można jeszcze wnosić, co nastąpi; ale, że coś gotuje się zdaje się nie ulegać wątpliwości. Różnica temperatury dla myśli angielskiej i przymusu w gabinetach wiedeńskim i berlińskim usprawiedliwiłaby mogła przypuszczenia, że podróż hr. Gołuchowskiego do Berlina między innemi spowodowana była chęcią zrównania stopni temperatury«.

»W każdym razie zbliża się zapewne chwila, w której dowiemy się o losach punktu jedynie ważnego przymusu, bez którego akcja mocarstw małe miałyby znaczenie. Ale właśnie dla tego zdawaćby się mogło, że ci *życzą sobie postawienia sprawy wschodniej na porządku dziennym, którzy prą do użycia przymusu*, a szczerze jej zażegnania pragną ci, co się nie kwapią z odwołaniem się do niego. Przymus bowiem to bezpośrednia, czynna akcja; a kto zaręczyć może, iż nie będzie on miał znaczenia »iskry rzucanej do prochu«?

»Zresztą przymus pociągnąłby prawdopodobnie za sobą następstwa, bo gdyby się ześliznął po klasycznym oporze tureckim, który przybrałby formę zezwolenia na reformy

bez chęci, a może i możliwości zastosowania ich, to wtedy trzeba by rozciągnąć przymus do przeprowadzenia i ustalenia reform, a to byłoby już zapewne rzuceniem zapalonej pochodni do prochni.«

»Dla reform, w których możliwość i skuteczność nikt ostatecznie nie wierzy, narażałoby się na niebezpieczeństwo wielkiego pożaru.«

»Rozumielibyśmy to, że strony tych, którym pilno było wszcząć go, aby w nim spoczął *status quo*; ale nie ze strony tych, którym interes nakazuje oddalać katastrofę, w której nic rzeczywistego zyskać nie mogą. I zaprawdę czytając Księgę błękitną, zdumionym się jest zmianą ról. I obawiać się przychodzi, jeżeli wogóle z tej mąki będzie chleb, aby nie był gorzkim i drogim.«

W kilkanaście dni później w *Czasie* z 9 lutego 1898 znowu czytamy z tego samego powodu:

»Sądząc jednak po Księdze błękitnej, oraz odpowiedzi bar. Banffego na interpelację p. Kossutha, w której nadmieniał o będącej w toku akcji dyplomatycznej, oczekiwać trzeba, iż koncert europejski objawi się znowu na zewnątrz. Oczywiście, że wiele zależeć będzie od treści i formy tego nowego mieszania się w sprawy tureckie. Czy weźmie w niem górę pod formą przymusu owo: hejże na Turka! które możnaby wziąć za objaw atawizmu z kalendarzową pomyłką trzech wieków, czy też kierować niem będzie roztropność, oparta na usprawiedliwionym sceptyzmie.«

»Od nieszczęśliwej chwili, w której zamiast pozostawić sułtanowi poskromienie buntów i rozruchów, mocarstwa przyjęły system mieszania się w wewnętrzne stosunki tureckie, jesteśmy świadkami stopniowego poruszania sprawy wschodniej i już niema mowy o błogim stanie rzeczy, który od kongresu berlińskiego tak doskonale zapewniał *status quo*. Nowy krok mocarstw, jeżeli nastąpi, będzie dalszym ciągiem *poruszonej niefortunnie sprawy wschodniej*, ale nie jej zamknięciem. Nie można pod tym względem się łudzić.«

»Zanim życzyć sobie przyjdzie, aby działanie mocarstw skoro już będzie przedsięwziętem, dobre przyniosło skutki,

przedewszystkiem pragnąć trzeba, aby nie wywołało zawikłań strasznych, a groźnych wkońcu dla pokoju europejskiego. Zanim interwencya stanie się użyteczną, trzeba, żeby nie była szkodliwą i zgubną. A wtem właśnie wielka trudność i niemałe niebezpieczeństwo, podczas gdy skutek więcej niż wątpliwy. Zgodność mocarstw pełna jest odcieni, które wyszły na jaw w Księdze błękitnej. Przy opuszczeniu gruntu akademickiego zalecania reform w *memorandum*, a przejścia do jakichkolwiek czynów, te odcienie przybraćby mogły jaskrawsze barwy. Już dziś przeczuć można, że zbytnie zespolenie się polityki austriackiej z angielską ułatwiłoby zbliżenie się między Rosyą Francją i Niemcami.«

»Ani za tem, na przygotowujący się krok mocarstw, ani na jego następstwa nie można obojętnie się zapatrywać. Niewdzięczna to rzecz drutowanie rozbitego garnka. — Najbezpieczniej jeszcze, kiedy stoi odosobniony i nikt się go nie dotyka, przez dłuższy czas sprawia złudzenie, że jest cały; ale przy pierwszej próbie naprawy rozpada się.«

»Gdyby w skutku nowej interwencji mocarstw całe państwo tureckie przedstawiło przerażający obecny widok Krety po przyznaniu jej reform, skutek byłby zaiste opłakany, ale nie całkiem niezastężony.«

W pięć dni później t. j. w *Czasie* z dnia 14 lutego znowu ukazuje się następujący artykuł z cierpką krytyką polityki zagranicznej w kwestyi wschodniej obranej przez hr. Agenora Gołuchowskiego:

»Ale słyszymy, że powstają rozumowania jakoby Turcya, ulegająca wpływowi rosyjskiemu, była ciąglem niebezpieczeństwem na Wschodzie i że dla tego trzeba skończyć z nią jak najrychlej. Tem rozumowaniem też tłumaczą ochotę pewną do działania i dodają, dlatego, że Turcya rosyjska jest nieustającą na Wschodzie groźbą, Anglia woli raczej dziś, niż jutro, koniec z nią zrobić, a kto podziela to zapatrywanie, musi się łączyć z Anglią.«

»Nie podobna zaprzeczyć, aby nie można z tego także punktu widzenia zapatrywać się na położenie. Tylko *nie trzeba twierdzić wtedy, że się zmierza do zażegnania sprawy*

wschodniej i utrzymania status quo. Przeciwnie, ten sposób zapatrywania się jest zupełnie nowym dlatego, że dąży wprost do prędkiego postawienia sprawy wschodniej i przyjmuje jego następstwo, to jest poświęcenie *status quo*. Teraz dopiero zawziętość na Turka i cały szereg myśli i czynów stają się zrozumiałemi. Nie zmienia to przecież tej prawdy, że na ostatecznych, a bardzo niedalekich wynikach, *Turcyja nawet zostająca pod wpływem Rosyi daje więcej bezpieczeństwa, niż rozbiór Turcyi*, któryby zmienił tylko formę dzisiejszego wpływu, a zwiększył nieodwołalnie jego istotę.«

I znowu przytyk do dyplomacyi austriackiej umieszcza *Czas* z 14 marca 1897 r., z okazji interpelacyi w sejmie węgierskim:

»Tymczasem baron Banffy w odpowiedzi na interpelacyę posła Horanszky'ego, bardzo trafnie określił położenie i z siłą i prawdą zaznaczył, jedynie rozumną i dającą rękojmię w sprawie wschodniej politykę istotnego *status quo*, to jest utrzymanie Turcyi. To oświadczenie bar. Banffego przynosi zaszczyt gabinetowi wiedeńskiemu ¹⁾ jasnością swoją i stanowczością. *Trzebaby jednak, żeby zachowanie się dyplomacyi odpowiadało słowom bar. Banffego.*«

Oto macie próbkę, w jaki sposób *Stańczyki* poczuwają się do popierania ministra rodaka, gdy pierwszy raz podczas ery konstytucyjnej Polakowi dostał się w ręce ster austriackiej i węgierskiej zagranicznej polityki.

A coby była powiedziała na to *Królowa Opinia*, gdyby podobnego poparcia doznawał był hr. Badeni od *Nowej Reformy* lub *Gazety Narodowej*? Ileż to pięknych artykułów bylibyśmy się naczytali w *Czasie* i *Przeglądzie Polskim* na temat *prób rozstroju! liberum veto! niesolidarności i niekarności narodowej! złej wiary! zażdrości* i t. d.!

¹⁾ Widoczna pomyłka druku, prawdopodobnie powinno być »gabinetu peszteńskiego.«

A wartoby także dowiedzieć się, co działało się z tą *Królową Opinią*, gdy pierwsze rodziny w kraju gotowały socjalizm, rozpuszczając żydom w dzierżawę rodzinne swoje gniazda! A cóż się działało z tą *Królową Opinią*, gdy Dyrekcyja i Rada nadzorcza krakowskiego Towarzystwa ogniowego zostawiała panu Czesławowi Kieszkowskiemu całemi latami, bez najmniejszego nadzoru, bez najmniejszej kontroli, swobodny szafunek funduszami działu życiowego, pomimo tego, że nie było przez cały ten szereg lat jednego człowieka w Krakowie, któryby mógł być pojąć, za jakie pieniądze ten człowiek, obarczony tak liczną rodziną, siada do grubej gry hazardowej, za jakie codziennie spija szampana, za jakie sprawia kolacyjki damom, za jakie rozbija się z szykiem zawsze i wszędzie?

Utrzymuje hr. St. Tarnowski, że w sprawie tej

„jeden człowiek brał — inni zawinili niedozorem.»

Hola! tak się nie pisze historii!

„*Jeden człowiek brał*“ to prawda, ale ci inni zawinili świadomem dozwalaniem mu prowadzenia życia rozrutnego i rozwiązłego, kosztem kasy Towarzystwa, rachując na jego szczęście w grze i obrotność; rachując na to, że będzie mu się udawało w nieskończoność łatanie wybijanych dziur w kasie; a tolerowali otwarte to nadużycie nawet wówczas, gdy sprawa poruszona została publicznie z powodu sprzedaży Podhajec, a tolerowali i wprowadzali w błąd opinią publiczną dla tego, bo pan Czesław Kieszkowski to był nasz, nasz Stańczyk, syn naszego dyrektora Towarzystwa ogniowego!

Darmo, tak samo nie wytłómaczy mi hr. Tarnowski, żeby p. Kieszkowski ojciec mógł nie wiedzieć

o tem, że p. Kieszkowski syn żyje nad stan i utrzymuje się z szulerki, jak nie mógł mi wytłómaczyć hr. Andrzej Potocki, że pan Szczepanowski nie wiedział o tem, iż p. Zima nie miał prawa pożyczać mu z Kasy oszczędności milionów na węgiel i naftę!

P. Kieszkowski ojciec wiedział o rzeczywistej wartości moralnej swojego syna, a jeżeli nie wyrzucił go od wielu lat z Towarzystwa, to tylko dla tego, że był jego współwinnym; widząc bowiem, że syn jego będący urzędnikiem ubezpieczeń, żyje tylko z gry i z podejrzanym spekulacyi, tolerował to zupełnie świadomie, w nadziei, że może mu się uda. Świadomie również cierpiała ten stan rzeczy Rada nadzorcza, nie wchodząc w to z jakich przyczyn, czy z powodu stósunków dawnej serdecznej przyjaźni z rodziną Kieszkowskich, czy też z powodów partyjnych, stańczykowskich, ale tolerowała ona w zarządzie p. Czesława Kieszkowskiego, znając doskonale jego wartość moralną i pustki jego kieszeni. Tej tolerancji najwstrętniejszych występków — jako to n. p. złodziejstwa, defraudacyi, fałszowania weksli, i innych jeszcze obrzydliwszych środków do nieprawego nabywania pieniędzy na rozpustę i życie nad stan — z jaką spotykamy się na każdym kroku u nas w najzacniejszych nawet rodzinach — nie znajduje się chyba na całym świecie. Jeżeli czasami zbiera nas ochota oburzać się na tą karygodną pobłażliwość występku i zbrodni, to z pewnością wówczas tylko, gdy wypadek nie dotyka ani naszej rodziny, ani naszego stronnictwa. Wtedy potrafimy zamieniać się w Katonów, ciskać anatema na zepsucie obyczajów, upadek moralności, wtedy potrafimy nawet domagać się jawności i piętnowania. Ale niech się ta sama zbrodnia w naszej zdarzy rodzinie, to gotowiśmy ostatni

grosz nieraz poświęcić, byle tylko zatrzeć jej ślady, byle ratować honor syna, wnuka, siostrzeńca; to znaczy, byle mu zapewnić bezkarność zarówno prawną jak towarzyską, byle jemu i jemu podobnym, dać list żelazny na dalsze łajdactwa i defraudacye, w tej nadziei, że może wreszcie bogato się ożeni i nie będąc zmuszonym do szukania środków na zaspokojenie szerokich potrzeb swojego arystokratycznego wychowania i wyższej rasowej natury, stanie się prawdopodobnie »porządnym człowiekiem.« Jakżeż można potępić tego lub owego młodzieńca, skoro on jest synem pana X. lub wnukiem pana Y?! Nie można przecież kalać ani własnego swojego gniazda, ani obniżać wartości własnego swojego stronnictwa!

Oto jest nasza polska, rodzima logika, ta sama logika, która nie pozwala robić odpowiedzialnymi za opuszczenie margrabiego w 1861 roku, ani Zamoyskich, ani Górskich, ani Popielów, ani całej naszej arystokracji i szlachty, bo jakże mieli oni inaczej postępować, skoro mieli takie nadzieje?! skoro cesarz Napoleon III wypił do księżniczki Janiny Czertwertyńskiej kieliszek wina ze znaczącym uśmiechem, a cesarzowa ucisnęła ją za rękę w kadrylu!

Miałem już kilka razy sposobność przypomnieć naszemu społeczeństwu jak się, na daleko poważniejsze nadzieje, zapatrywali jednocześnie Węgrzy, co o nich myślał n. p. taki Kossuth lub Klapka. Nie myślę tym razem się powtarzać, ale zato muszę przedstawić przykład mojemu społeczeństwu, jak Węgrzy umieją sobie postępować z oszustami i defraudantami, i w jaki sposób ratują przed nimi honor rodzinny. W czasie mojej służby wojskowej zdarzył się wypadek, że jeden z oficerów, należących do arystokracji węgierskiej, mający świetną

przeszłość wojskową, bo był dekorowanym za waleczność na polu bitwy orderem żelaznej korony, piękny, należący do pierwszego towarzystwa, znany z szyku światowego w Wiedniu i Peszcie, ale wyrzucający na ten szyk tysiące i tysiące, przyciśnięty do muru sprzedał dwóm kupcom, i wziął od obydwóch pieniądze, jednego i tego samego konia. Naturalnie, że gdyby to był nasz Polak, nasz brat, nasz syn, nasz krewniak, zapożyczilibyśmy się byli, choćby na lichwę, by zatkać gębę interesowanym, by uratować jego honor. Inaczej pojął swój obowiązek blizki jego krewny Węgier, młody porucznik, służący w tymże samym pułku. Dowiedziawszy się o tem oszustwie, ubrał się on natychmiast w paradny mundur i zameldował się do pułkownika, żądając sądu honorowego i wydalenia z pułku oszusta. O ile sobie przypominam, świetny lew zarówno na polu bitwy jak i na salonach dwóch stolic, pozbawiony złotego *porte épée*, był już nazajutrz w drodze do Bułgaryi, gdzie dalsza wieść o nim zaginęła. Tak się ratują przed zgnilizną społeczeństwa, które pomimo wielkich niedostatków moralnych, mają jeszcze w sobie siłę do życia, bo czują potrzebę prawdy, potrzebę zwalczania kłamstwa i zbrodni.

»My pobłażaliśmy sobie wiele i tem pobłażaniem obniżyliśmy nasz poziom moralny, stąpiliśmy w sobie zmysł uczciwości i honoru.« »Przywykliśmy nieszcześciem do nieprawdy. Karmiliśmy się nieprawdą o ludziach, o stósunkach, o sprawach, nawet lepsi z nas przedstawiali zbyt łatwo na tem, żeby u nas wszystko dobrze się wydawało, a mniej pytali i strzegli, czy istotnie dobrze było.«

Straszna to prawda! ale prawda — ale prawda pocieszająca, ożywcza, najlepsze rokująca nadzieje, dlatego właśnie, że wyszła z ust hr. Stanisława Tarnowskiego,

że wydartą została z jego serca tym ogromem nieszczęścia i klęski narodowej, tą odchlanią wstydu, tą bezdenią upokorzenia, które rozżarzają serce, wyświetlają umysł, które wiodą do prawdy i hartują wolę do czynu i działania.

Tak jest, nawet lepsi z nas przestawali zbyt łatwo na tem, żeby u nas wszystko dobrze się wydawało, nawet lepsi przystawali na to, żeby tacy Mikołaje Wołańscy, Franciszkowie Jędrzejowiczowie i Wiktorowie byli reprezentantami katolickich narodowych i konserwatywnych interesów kraju w sejmie i w radzie państwa, przystawali na to, żeby jedność koła polskiego polegała głównie na zupełnej obojętności dla sprawy publicznej tych i tym podobnych panów, którzy w mandacie poselskim nie widzieli i nie widzą nic innego, jak przyzwoitą sposobność do siedzenia całemi miesiącami w Wiedniu i zgrywania się po klubach, lub próbowania szczęścia na giełdzie wiedeńskiej; nawet lepsi z nas przystawali na to, żeby taki adwokat Machalski po świetnych tryumfach obrony socjalizmu w procesie Wareńskiego i towarzyszy, był kandydatem konserwatywnym do Rady państwa, by taki Stanisław Koźmian, taki Kazimierz Skrzyński, taki hr. Ludwik Dębicki, byli głównymi szermierzami katolickich i konserwatywnych zasad!

Nawet lepsi z nas tolerują bez najmniejszego wahania ogólny prawie prąd nawet pomiędzy powagami konserwatywnego stronnictwa do szybkiego dojścia bez pracy do milionowego majątku.

Polowanie na posagi, atakowanie testamentów, gra na giełdzie, spekulowanie na handlowaniu majątkami za pożyczone na wechśle tysiące lub krocie, próbowanie cudzemi pieniędzmi szczęścia na nafcie, wreszcie wyssysanie chłopca za pośrednictwem żydowskich dzier-

żaw, o to są główne pola zawodowej pracy w konserwatywnym stronnictwie, a ludzie, którzy inaczej życie i pracę pojmują do prawdziwych wyjątków w niem się zaliczają. Nie dziwota, że samobójstwa zaczynają być zwykłym sposobem zakończenia tej skszętej i produkcyjnej pracy politycznej i ekonomicznej, a chyba z dniem każdym muszą zyskiwać więcej prawa obywatelstwa, skoro dziś już na palcach możnaby policzyć ludzi, odgrywających rolę polityczną w konserwatywnym obozie, którzyby nie siedzieli wyżej uszów w długach wechslowych, liczących się na krocie złr. Wartoby, żeby hr. Ludwik Dębicki przygotował sobie zawczasu szablon do wspomnień pośmiertnych zastósowanych do tego rodzaju ludzi i okoliczności. Myślę, że powinny one mniej więcej w tych zamykać się słowach:

Nieboszczyk był jednym z tych cichych pracowników, którzy wiernie stojąc przy narodowym programie Koła polskiego i jego solidarności, nie wyłamywali się nigdy z pod komendy tych, co mówili w lewo lub w prawo, nie mącili nigdy żadnemi niewykonalnemi programami lub niewczesnemi odzywaniem się, posiedzeń Koła lub Izby, lecz przeciwnie posuwali oni poczucie obowiązku cichych pracowników na politycznej polskiej niwie do ostatnich granic delikatności, i najczęściej nie zakłócali powagi i spokoju Koła i Izby nawet swoją obecnością, oddając się podczas obrad parlamentarnych, pracy nad ekonomicznym rozwojem swojego kraju, który uważali oni jako pierwszy obywatelski obowiązek i dlatego pracowali bez wytchnienia czy to w dżokej-klubie czy w gmachu giełdowym. Rzutki jego umysł i niewyczerpany duch inicjatywy, odgadnął wcześniej znaczenie rozwoju ekonomicznego i dlatego nieszczęślił on nigdy niezmordowanej pracy, by podnieść stan eko-

nomiczny Galicyi, a z nim polityczne i cywilizacyjne europejskie, wszechludzkie znaczenie polskiego narodu. Jest coś, jest jakiś fatalizm, co każe marnować się u nas najtępszym umysłem i charakterem! Co to jest to coś? Na pewno nie wiemy — ale myślimy że tem coś jest ta trucizna, to zatrute powietrze, roztaczane przez szkalowanie i intrygi tych ludzi, który przywłaszczają sobie monopol patryotyzmu i postępu i nie uszanują żadnej społecznej i narodowej powagi! Oni to, a nie Stańczyki, zatrują nasze powietrze i sięją rozkład i zgniliznę. To też możemy sobie powiedzieć z zasłużoną dumą, że jeżeli ten lub ów przywłasciciel monopolu patryotyzmu i postępu wybiera z kasy bez dostatecznego pokrycia kilka milionów, należących do tego biednego ludu, którego postęp i dobrobyt głosi i na to łapie nawet uczonych profesorów, to kończy on ten epizod swojego życia, prawdziwie po mieszczańsku, bo niesmaczną rozprawą przed kratkami sądu karnego! Jakaż to różnica z naszymi protektorami ekonomicznego rozwoju kraju, którzy zrujnowawszy do szczętu liczne majątki, na których handlu zamierzali zrobić pieniądze, albo roztrwoniwszy cały majątek rodzinny, puściwszy cały posag żony — w razie za wielkiego ciężaru długów, nie mających pokrycia — umieją przecież zakończyć obrachunek swój z pokrzywdzoną rodziną, żoną lub dłużnikami prawdziwie po rycersku, prawdziwie po średniowiecznemu, ginąc od kuli rewolwerowej.

Oto jest prawdziwa kwintesencja waszej wyższości i waszej solidarności. Skłamię p. Romanowicz, albo p. Rewakowicz, to jest to złem, jest to nikczemnem uwodzeniem opinii publicznej i t. d., skłamię p. Stanisław Koźmian lub hr. Ludwik Dębicki, to jest to dobrem, genialnem, potrzebnem, użytecznem dla interesów

i powagi kraju i nietylko nie wolno przeciwko temu występować, ale przeciwnie każdy prawy Polak ma obowiązek stawiać w jego kłamstwa obronie, a w razie potrzeby powinien sam kłamać dla ratowania honoru i powagi stronnictwa. Tymczasem zapominacie o tem, że nawet gdyby skłamał p. Romanowicz lub p. Rewakowicz, to zrobiłby on wprawdzie źle, ale zło ztąd wynikłe byłoby daleko mniejszem, daleko mniej karogodnem, jak np. kłamstwo pana St. Koźmiana, hr. Ludwika Dębickiego lub hr. St. Tarnowskiego. Tamci bowiem kłamiąc lub przecząc prawdzie przykazań Bożych słowem i postępowaniem swoim robią źle, ale kompromitują tylko siebie, zasada zaś ich przekonań zostaje nietkniętą, bo ta zasada nie uznaje bezwzględnej prawdy objawienia Bożego; podczas gdy ci kłamiąc i źle robiąc, nietylko że grzeszą osobiście, ale grzeszą przeciw Bogu i samej zasadzie Jego prawdy, bo zachwiewają wiarę w samąże tą prawdę, której sługami się głoszą.

Nie powinniśmy o tem zapominać, że im bliżej kto prawdy Bożej, tem straszniejszą odnosi karę za każde przeczenie, za każde chwilowe nawet powątpiewanie o wszechmocy Boga, a więc o nieprzewyciężonej sile dobrego i o nigdy niesłabnącej potędze praw moralnych.

Przecież ten Mojżesz, który z Bogiem rozmawiał twarzą w twarz, za to tylko nie wprowadził sam ludu Izraelskiego do ziemi obiecanej, że raz jeden zwątpił, iż Bóg może rozkazać wodzie trysnąć ze skały. A naszym konserwatystom zdaje się, że mogą bezkarnie na każdym kroku wątpić, by ze skały Piotrowej tryskał obiecany nam źródło prawdy i łaski Bożej, żeby tryskała z niej siła i potęga prawdziwa, której nie przemogą

mocy piekielne! Zwątpiwszy o rzeczywistej ożywczej sile tego źródła łaski na polityczne, społeczne i rodzinne życie nasze, wysilają się oni w nieskończoność, żeby zasadać powodzenie i przyszłość narodową na czysto materialistycznych poglądach i sposobach, jakoto: na rozbudzaniu zawiści, antagonizmów, brudnych namiętności, próżności, egoizmu i w nich dopiero starają się odnaleźć realne czynniki do prowadzenia racjonalnej, opartej na rozumie stanu, polityki. Ktokolwiek nie pojmuje takiej genialności, jest szkodliwym utopistą, goniącym za niewykonalnymi programami, wyłamuje się z szeregu, trzeba go więc zabić milczeniem, albo zmusić go do wyparcia się zasad wiary i porządku społecznego i zabić go moralnie.

Mowę swoją nad 35 milionową gwarancją zakończył hr. Stanisław Tarnowski następującymi słowy:

»piętnowanie należy się za fałszowanie rachunków. I na to ta dyskusja była potrzebna. Po niej możemy sobie powiedzieć, że cokolwiek kraj w tej sprawie stracił, to stracił dużo, ale *hors l'honneur*, możemy mieć nadzieję, że Sejm polski nigdy więcej nie będzie słyszał i radził o riezucziwościach pieniężnych».

W tych słowach, które hr. Tarnowski zachował aż do samego końca, tkwi niezawodnie najdrażliwsza, najboleśniejsza strona moralnego stanu naszego konserwatywnego stronnictwa.

Co to jest to wielkie słowo *honor*? dla czego hr. Tarnowski nie powiedział n. p. że stracimy dużo oprócz cnoty, albo oprócz wiary, albo oprócz ducha chrześcijańskiego poświęcenia? Z chrześcijańskiego stanowiska możnaby na to odpowiedzieć, że ten honor jest to godziwe staranie się o dobrą cześć między ludźmi,

jest godziwa dążność do zasłużenia sobie na to, abyśmy
»dobrze czyniąc usta zatkali niemądrych ludzi głupstwu.«

Zechcimy być na chwilę szczerymi sami z sobą i przyznajmy się, że w rzeczywistości ten honor, to jest szyld społeczeństwa, z którego uleciał już nie tylko duch chrześcijańskiej moralności, ale nawet pogańska wiara w duchowość człowieka, w którym zniknął nawet duch pracy i związanych z nią obowiązków. Ten honor to antyteza krzyża, to antyteza objawienia, to sztandar materializmu, na którym nawet nie można oprzeć organicznej pracy narodowej.

W tem przekonaniu pisałem już w r. 1891 w III tomie dzieła p. t. *Polityka Austriacko-Polska* (na str. 136), że:

»Jeżeli jakiegokolwiek towarzystwo ludzi wystawi sobie hasło honoru, to musi zmuszać do honorowości swych członków, musi potępiać i wykluczać z pośród siebie ludzi oszukujących w karty, fałszujących weksle, tchórzących przed pojedynkiem lub niepłacących długów karcianych, bo inaczej ich hasło będzie czczem kłamstwem«.

Żem tego hasła bynajmniej nie uważał za skuteczne tam, gdzie się rozchodzi o rzetelną chrześcijańską pracę organiczną społeczeństwa, a więc o pracę dążącą nie do pozorów, ale do treści, do rozwoju zalet ducha, serca i zdolności do pracy, najlepszym jest tego dowodem, że innego dla niej zabezpieczenia szukałem, i nie myślałem opuszczać się na utarte sposoby ochrony honoru, lecz twierdziłem że:

»wypisując pracę organiczną na sztandarze, wzięliśmy obowiązek zmuszenia społeczeństwa do tej pracy i potępienia, wykluczenia każdego, kto za nią iść nie chce, bo inaczej ten sztandar będzie tylko pokrywką egoistycznego

materyalizmu. Wielkie cierpienia wymagają wielkiego heroizmu, jeżeli do niego nie jesteśmy zdolnymi, to lepiej nie udawajmy go i wlecmy się na oślep ku niewiadomej przyszłości. W ten sposób unikniemy przynajmniej ohydy fałszu i faryzeizmu.

Ohydy tej nie umiał uniknąć ani »Czas« ani hr. Ludwik Dębicki. Paradowanie z katolicką frazeologią nie przeszkodziło »Czasowi« głosić otwarcie chwalby pojedynku hr. Badeniego i utrzymywać o *zarzutach natury więcej zasadniczej, dotyczących dopuszczalności pojedynku jako takiego, że*

»Teoretyczna słuszność zarzutów tego rodzaju jest zarówno dawno uznana, jak ich praktyczna bezwartościowość w dobie obecnej«. (Nr 222 »Czasu« z r. 1897).

A nie jest to wyjątkowe, wyrwane, a nieopatrznie wypowiedziane zdanie, ale ogniwo całego łańcucha entuzjastycznych zachwytów nad pojedynkiem hr. Badeniego, któremi »Czas« obdarzał swoich konserwatywnych czytelników w 221 i 222 numerze z r. 1897.

I tak w dniu 28 września 1897 r. pisze on pod rubryką:

— *Pojedynek hr. Badeniego* — co następuje: Potężne wrażenie wywołane pojedynkiem hr. Badeniego w całym państwie, i serdeczne, ze wszystkich stron, nawet od przeciwników płynące objawy sympatii dla prezydenta gabinetu, świadczą najwymowniej, że powody tego wypadku, wynikające z poczucia rycerskości, szlachetnej dumy i towarzyskiego taktu, tudzież jego doniosłość zrozumiano i oceniono należycie we wszystkich kołach. A wśród tych objawów najcenniejszymi są niezawodnie wyrazy głębokiego współczucia i szczerzej życzliwości, jakie przesłał Monarcha hr. Badeniemu.

Prasa całej monarchii wszystkich ludów i wszystkich stronictw, zrozumiała mniej lub więcej trafnie sytuację hr.

Badeniego i pobudki, które mu wcisnęły broń do ręki w obro-
nie nie tylko własnego honoru, ale także honoru państwa,
na którego czele losy go postawiły i społeczeństwa, do któ-
rego należy.

Z zadowoleniem i dumą stwierdzając tę rzadką
w Austrii jedynomyślność, musimy jednak zauważyć, że
w tym zgodnym akordzie jedyny fałszywy zgrzyt wyszedł
z redakcyi tego dziennika, który zawsze stoi na czele każdej
niskiej, ujemnej i nieczystej intrygi polityczno-publicystycznej.
Nie podobna wymagać od redaktorów *N. fr. Presse* ani ry-
cerskości, ani poczucia honoru, bo są to dla nich pojęcia
tak obce, jak dla nas etyka pewnych kół giełdziarsko-ży-
dowskich, grupujących się około tego dziennika; wolno je-
dnak przypuszczać, że posiadają oni przynajmniej jakąś
skromną dozę towarzyskiej przyzwoitości. Pokazuje się prze-
cież, iż tak nie jest. *N. fr. Presse* rzuciła się na hr. Bade-
niego z zaciekłością bezwstydnego ulicznika i — nie śmiejmy
się — potępiła pojedynek w imię moralności, religii i prawa.
Nie dziwi nas i nie oburza, że organ wiedeńskiej giełdy nie
zachował w danym wypadku przynajmniej dyskretnej miary;
jego redaktorom wydawało się — i to jest właśnie ciekawym
objawem ich towarzyskiej ignorancyi — że ta właśnie chwila
jest najlepsza do podkopania stanowiska hr. Badeniego; ale
żeby dziennik, który z rzadką konsekwencyą i cynizmem
poniewiera i lekceważy zasady moralności, religii i prawa,
na tych właśnie pojęciach opierał swoje obłudne potępienie,
to jest to szczyt bezwstydu, do jakiego nas nawet *N. fr.*
Presse nie przyzwyczaiła.

Opuszczam tu szczegółowe opisy pojedynku i. t. p.

I znowu w dniu 29 września 1887 daje *Czas* wy-
raz swojemu zachwytowi nad pojedynkiem Kazimierza
Badeniego w następujących słowach:

»Niepodobna opisać wrażenia, jakie tu wywołała wiado-
mość o pojedynku hr. Badeniego z postem Wolfem. Nietylko
dlatego, że niespodziewana, nietylko, że wypadek jest pierw-
szym w tym rodzaju w Austrii (nie licząc pojedynków nie-

doszłych), ale przede wszystkim ze względu na tło polityczne, od którego wczorajszy pojedynek odrzyna się ostro i jaskrawo. W chwili, kiedy zdawać się mogło, że w Izbie i poza Izbą zamarła świadomość czci osobistej, kiedy miejsce pierwotnego oburzenia zajęła zatęchła, duszna jakaś obojętność i apatya wobec potopu grubiaństwa w Parlamencie i prasie, wiadomość o wyzwaniu p. Wolfa i o pojedynku podziałała jak iskra elektryczna. Minęło kilka godzin zanim zjawiły się sądy i zdania o wypadku — z początku samo wrażenie, jakie wywarł, górowało nad wszelkiem rozumowaniem. Już z powodu, że wypadek to taki niezwykle, nie dziw, że sądy owe rozbiegły się z początku w przeróżne strony. Prezydent ministrów nie powinien wogóle bić się z powodu napaści w Izbie, prezydent ministrów nie powinien wogóle bić się z Wolfem i. t. p. i. t. p. Pomijam już zarzuty natury bardziej zasadniczej, dotyczące dopuszczalności pojedynku, jako takiego. Teoretyczna słuszność zarzutów tego rodzaju jest zarówno dawno uznana, jak ich *praktyczna bezwartościowość w dobie obecnej*.

Co się tyczy wspomnianych powyżej wątpliwości osobistej natury, to najtrafniejsze o nich zdanie wyraził podobno ks. Alojzy Lichtenstein, mówiąc, że na to pytanie, czy jest osobisty powód i osobista możliwość rycerskiej rozprawy, odpowiedzieć może tylko hr. Badeni; zdania osób trzecich są tu bez wartości. Naturalnie, że w parlamencie, w którym każde wykroczenie przeciw przyzwoitości znajduje skuteczną represję, pojedynek w tych warunkach byłby niepotrzebny i niemożliwy. Ale niestety u nas ani regulamin nie daje w tym względzie żadnych rękojm, ani dotychczasowa praktyka prezydentów i większości nie ochroniła nikogo przed osobistą napaścią. Co zaś do osobistości p. Wolfa, to nikt dotąd nie twierdził, jakoby był on niezdolny do dania satysfakcji: dziś twierdzi to pan... Vergani! Więc i pod tym względem nie może istnieć żadna wątpliwość. Skoro już mowa o głosach prasy, to trzeba jeszcze stwierdzić, że w tej sprawie honorowej zabrała głos z ostrą krytyką hr. Badeniego właściwie tylko *N. fr. Presse*. Sądzę, że jest rzeczą niewątpliwą, iż kompetencya tego dziennika do rozstrzygania

spraw honorowych jest zupełnie ta sama, co jego uprawnienia do przemawiania w imieniu obrażonych uczuć katolickich — bo i to uczyniła wczoraj *N. fr. Presse*. Elukubracye jej sprawiły w całej Izbie i w mieście wrażenie poprostu fizycznego obrzydzenia.

Osobistą więc stronę sprawy streścić można w słowach: postąpienie hr. Badeniego wzbudziło powszechną i bardzo żywą sympatyę. Okazało się raz jeszcze, że szef gabinetu nie jest urzędowym i politycznym schematem, ale indywidualnością wybitną.

Czy wolno wogóle mówić o politycznej stronie kwestyi? Ściśle biorąc, nie. Bo polityczny sąd o pewnym kroku lub wypadku odnosi się zawsze do przypuszczalnych i przewidywanych przez odnośną jednostkę polityczną skutków. Pojedyny zaś jest sprawą, w której wykluczone jest obrachowanie i obrachowywanie skutków. Hr. Badeni wyzwał p. Wolfa, bo się uczuł przezeń obrażonym, bo musiał, nie zaś w celu wywołania tych lub owych następstw politycznych, nie dlatego, że chciał.

Skutki polityczne może mimo tego mieć wypadek tak doniosły, jak pojedynek szefa gabinetu austriackiego z jednym z przywódców opozycji. Pomijając już konieczną zmianę w formie walki, prowadzonej przez narodowców niemieckich przeciw hr. Badeniemu, pojedynek wczorajszy może i powinien oddziaływać na całą Izbę w kierunku przywrócenia świadomości, iż dalej w tym tonie iść nie może. Wszystko to jednak są *imponderabilia*, niemające nic wspólnego z celami pojedynku. Gdyby następstwa takie objawiły się istotnie, w takim razie do uczucia serdecznych osobistych sympatyj i podziwu, jaki wywołało męskie postanowienie szefa gabinetu, dołączyłoby się gorące uczucie wdzięczności dlań za oczyszczenie powietrza z dusznych wyziewów karczmy, w których dławił się parlamentaryzm austriacki. Dziś już ci, którzy wczoraj jeszcze w postępkach prezydenta ministrów widzieli coś złego, przyznają, iż to złe było konieczne — jutro może przekonają się, że to nie *malum* ale *bonum necessarium*.

W tym względzie warto podnieść niepospolity istotnie artykuł, jaki pojedynkowi hr. Badeniego poświęciła wczoraj *W. Allg. Ztg.* Wskazuje ona, że pojedynek był historycznie następstwem i reakcją przeciw prawu pięści. W austriackim parlamencie zapanowało od kilku miesięcy prawo pięści, i oto z koniecznością prawa natury zjawił się pojedynek jako jego represya. --- Ale trzeba pójść jeszcze dalej i powiedzieć, że nadużycie pojedynku i niesprawiedliwość, tkwiąca tak często (i wczoraj także) w tym rodzaju »sądu bożego«, doprowadziła w dalszej konsekwencji do skutecznego zniweczenia prawa pięści. Chcąc usunąć niebezpieczne lekarstwo, najlepiej usunąć chorobę samą. Gdyby pojedynek hr. Badeniego stał się punktem wyjścia do usunięcia z Izby poselskiej rozpanoszonego w niej prawa pięści, byłby dobrodziejstwem dla parlamentu i państwa. Należy mieć nadzieję nietylko, że tak się stanie, ale że do tego dzieła przyłożyć rękę czuć się będą zobowiązani i ci także, którzy dotąd najwięcej grzeszyli, związani od wczoraj przykazaniami tego samego kodeksu honorowego, który uznali czynem.

Wiem doskonale, że nie może być, aby nie było zgorszenia; rozumiem wybornie, że ludzie jako istoty grzeszne i ułomne mogą upaść, mogą nie wytrzymać walki moralnego obowiązku z namiętnością, z próżnością, z miłością własną, chęcią zemsty i innemi swojemi złemi skłonnościami. Ale to wiem także, że biada temu, przez kogo przychodzi zgorszenie, biada temu, kto z upadku robi zasadę życia, kto go apostołuje, kto w nim się lubuje, kto go znajduje pięknym i dobrym. Takiego to występku dopuszcza się tu *Czas*; takiego występku i to jeszcze w wyższym stopniu, bo popełnionego zupełnie spokojnie, na zimno i z rozważą, dopuścił się w *Przeglądzie Polskim*, hr. Ludwik Dębicki, który na to wyciąga z pod 50-cioletniego kurzu i brudu redakcyi *Czasu*, zapomniane już roczniki, by sławić ry-

cerskość pojedynków redaktorskich katolickiego i konserwatywnego organu polskiego!

„Po śmierci Sobolewskiego» — powiada on — »Mann odwiedził Kłobukowskiego.«

....»Do takiego stanowiska potrzeba było warunków wychowania, poprawnych form, nadewszystko przymiotów charakteru i czegoś jeszcze więcej bo *ducha rycerskiego*».

»Kłobukowski miał te zalety, był typem gentlemiana, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Podzielając zasady *Czasu* gotów był zawsze wobec samowoli rządu, czy zaczepki, z jakkolwiek ona pochodziła, stanąć w obronie dziennika, z *prawdziwie rycerskiem poczuciem*. Czy więzienie, czy *rozprawa honorowa*, przed niczem się nie cofnął. Odpowiedzialny redaktor nie był to *ein Strohmann*«....

W kwietniowym zeszycie *Przeglądu Polskiego* 1899 r. na str. 110, obdarzył nas hr. Ludwik Dębicki jeszcze wstrętniejszą apologią pojedynku, i to pojedynku własnego w obronie katolicyzmu! Doprawdy, że to możnaby chyba podciągnąć pod ten chorobliwy stan psychiczny, w którym ten nieszczęsny Krzyżanowski, trzymając w ręce krucyfiks, w łeb sobie wypalił! Czyż pan hr. Ludwik Dębicki tego nawet niepojmuję, że jeżeli katolik miał to nieszczęście, iż upadł moralnie tak nisko, iż popełnił taką podłość, że wbrew prawom Bożym, wbrew głosowi swojego sumienia dopuścił się zbrodni pojedynku, to dlatego chyba wolno mu o tem wspominać, by służyć potomności za odstraszący przykład, by naprawić zgorszenie dane społeczeństwu, by przebłagać Boga za nikczemność swojego serca i charakteru?

Innego niestety jest zdania hr. Ludwik Dębicki, który w tej niskiej zbrodni szuka widocznie chwały swojej, chwały *Czasu* i chwały katolicyzmu!

»Gdy dziennik *Kraj* dowodził« — powiada on — »że rezultatem i zbawienną zdobyczą 1863 r. pozostanie, iż na zawsze złamaną jest przewaga katolicyzmu i polskiej szlachty — Czas to dowodzenie napiętnował, a dalsza polemika przeszła w studium, stwarzające ciężką kolizję dla katolickiego publicysty: kiedy trzebaby albo *sztandar porzucić*« (sic) »albo go piersią osłonić. Bolesna ta próba i wewnętrzna walka nie była oszczędzoną w tych zapasach o zasady polityczne. Niebawem po spotkaniu w lasach krzeszowickich, dziennik *Kraj* zaczął chylić się ku upadkowi, a niektórzy redaktorowie weszli w inną koleję«.

Oto jest katolicyzm, oto są zasady moralne takich panów Ludwików Dębickich, będących kierownikami konserwatywnej, katolickiej opinii publicznej!

Przypatrzmy się bliżej, co oni apostołują wśród swoich prenumeratorów? Do katolika, wierzącego szczerze w Boga, uważającego siebie za obraz i podobieństwo Boże, za siedlisko ducha nieśmiertelnego, przychodzi albo dwóch prostych głupców, którzy nigdy trzech własnych myśli nie byli zdolnymi zklecić, albo dwóch ludzi, uważających siebie za czysto zwierzęcy twór natury, różniący się tylko stopniem doskonałości budowy swojego fizycznego organizmu, od innych bydląt czworonożnych i skrzydlatych, albo też wreszcie dwóch najpodlejszych z ludzi bo dwóch faryzeuszów, którzy biją się w piersi po kościołach, robią przed mółtochem paradę katolickich uczuć, ale w głębi serca mają za głupców tych, którzy im wierzą, bo mają się oni sami za najzupełniejszych materyalistów, dla których Bogiem jest brzuch, a największym ideałem ciętość zębów i pięści przeciwko innym samcom z tego samego dwunożnego gatunku. Takich to dwóch panów przychodzi do wierzącego w Boga katolika i śmie mu proponować, żeby ich zrobił na 24 godzin sędzią swojego

honoru! On zamiast odpowiedzieć, że innych sędziów honoru swojego nie uznaje jak Boga, spowiednika, własne swoje sumienie i swojego biskupa, oddaje się potulnie w ręce tych dwóch moralnych nicości, albo moralnych drabów i zgadza się na to, by w celu złożenia dowodu swojego honoru, stać się na kilka minut zupełnem bydlęciem i wbrew prawom Bożym, wbrew zakazom i klątwom Kościoła, wbrew głosowi własnego swojego sumienia, poddaje się on tej idyotycznej i wstrętnej komedyi, kończącej się czasami raną i śmiercią, a zawsze spodleniem całej moralnej i duchownej istoty człowieka dla udowodnienia swojego honoru, t. j. swojej bydlęcej zaciętości względem innych samców. Dodać tu jeszcze trzeba, że na sto wypadków, z pewnością w 90-ciu, pojedynek nie dowodzi nawet innej odwagi zwierzęcej, jak tej, której doznaje zając lub dzika świnia, pędzona przez chmarę naganiaczy na wymierzoną lufę myśliwego. Tymi zaganiaczami jest opinia świata, odmawiająca czci nieprzyjmującemu pojedyнку. To też chęć okazania swojej odwagi nie może tu wchodzić w rachubę, bo tchórze do niej się nie kwapią, a dla odważnych, życie aż nadto daje do wypróbowania jej sposobności prawdziwie poważnych i uczciwych.

O cóż więc może chodzić tej sławnej opinii światowej, trzymającej się rękami i nogami pojedynekowego rozstrzygania spraw honorowych? Tej opinii świata nigdy o nic innego nie chodzi, jak o danie możliwości człowiekowi — który fałszował weksle, który maczał ręce w defraudacjach bankowych, który nie chcąc zwrócić posagu swojej żony, zgodził się na służenie za parawan jej rozpucie, który będąc rozpustnikiem nie wahał się swoich metres wprowadzać między żony i córki składników tegoż właśnie świata i jego opinii — iżby

mógł z podniesioną głową chodzić i tańcować po jego salonach. Dla czego? Spytacie się naiwnie! A, czyż wy tego nie wiecie, że ten, co weksle fałszował.... to koniec końcem wyborna partya dla panien szukających męża! On przecie odziedziczy kiedyś po ojcu bardzo ładny majątek, a oprócz tego wyborne ma stósunki i piękne nazwisko, może nawet tytuł hrabiowski!

A jacyż rodzice chcieliby go za męża dla swojej córki, spytacie z prostotą dziecięcia?

O sancta simplicitas! Czyż tego nawet nie możecie zrozumieć, że zwracanie uwagi na moralność, na uczciwość, na zdrowie i t. p., dobre i pożyteczne są to rzeczy, gdy się rozchodzi o przyjęcie bony, guwernantki lub pokojówki do swoich dzieci. Naturalnie, że wówczas trzeba bacznie zwracać na to uwagę, by nie dała ona im złego przykładu, by ich nie zgorszyła, by ich nie okradła, lub ich zdrowia na szwank nie naraziła. Ale któżby znowu mógł myśleć o takich rzeczach, gdy się rozchodzi o wydanie za mąż panny? Jacy rodzice mogliby sobie łamać nad tem głowę, czy ich zięć będzie dobrym ojcem dla ich wnuków, czy ich potrafi nie gorszyć, czy potrafi nie roztrwonić rodzinnego ich majątku? Co to ich może obchodzić? No dobrze odpowiecie mi może, ale przecież trzeba myśleć o tem, żeby ta córka mogła się z nim rozumieć, żeby mogła go kochać i szanować, żeby znalazła w nim miłość, podporę moralną i praktyczny kierunek życia. --- A cóż to znowu za zacofane pojęcia o miłości! Może byście jeszcze zechcieli żądać, żeby te dwa serca przejęte były niewinnem czystem uczuciem, żeby na tą jedną kartę małżeństwa postawiły szczęście całego swojego życia, żeby przypuszczały, że do pojęcia wielkości i potęgi uczucia należy koniecznie jego czystość i wyłączność. Czyście widzieli na jakiej-

bądź scenie w ten sposób przedstawianą potęgę uczucia? Czy zresztą sztuka taka nie byłaby zupełnie nudną? Wielkie uczucie zawsze przecież na tem polega, że człowiek, który już użył świata i łatwych miłości aż do przesytu, zapragnie wkońcu czegoś innego i zaczyna zaciekawiać się jak też smakuje cnota? To pytanie drażni jego nerwy i wyobraźnię, szuka stósownego medyum, co zazwyczaj z łatwością mu przychodzi, bo tą przynajmniej praktykę sumiennie od 15 lat swojego życia odbywał. I wielka miłość gotowa, nowy Romeo łączy się z nową Julią. Ale cóż będzie dalej. Po co o to naprzód się kłopotać? Może być, że dzieci będą skrofuliczne, może być, że za rok lub dwa powróci Romeo do dawnych przywyczek, może do dawnych podpisywań weksli cudzem nazwiskiem, ale prawdopodobnie jak mu już ojciec odda majątek, to będzie bardzo statecznym i porządnym człowiekiem, a nawet jeżeli mu szczęście posłuży, to będzie mógł zrobić miliony na giełdzie, a wówczas stanie się jedną z głównych politycznych gwiazd konserwatywnego stronnictwa i z pewnością, że będzie zajadłym Stańczykiem i nigdy nie rzuci okiem z ukosa na pana Stanisława Koźmiana. Myślę nawet, że stanie się jego stałym partnerem w klubie, tylko trzeba mu koniecznie dać prawo do obrony pojedynkiem swojego honoru, bo przecież czem innem nie mógłby go w żaden sposób bronić, a szkoda by było i takiego zięcia i takiego konserwatywnego męża stanu.

A jakażto równie byłaby dla naszego towarzystwa strata, gdyby ubył ten pocziwy mąż, co z taką powagą parawanuje swojej uroczej połowicy, pełnej niezrównanego wdzięku i dającej mu swoim posagiem możność odgrywania znakomitej roli w konserwatywnym obozie

i dawania świetnych bali z wybornemi kolacyami i jeszcze lepszymi winami, i jeszcze wyborniejszych obiadów, a już się nie mówi o tych małych wieczor-
kach w kilka osób, co tak czarują serce i kształcą umysł młodzieży. To wszystko trzasłoby w jednej chwili, jak bańka mydlana, jak sen nocy letniej, gdybyśmy temu pocziwcowi odjęli prawo pojedynku, a z niem prawo chodzenia między nami z podniesionem czołem.

Oczywiście bez tego pocziwego prawa pojedynku musielibyśmy wykluczyć z naszych salonów tego ciętego junaka, który w towarzystwo naszych żon i córek posyła swoją metresę i ściąga do niej młodych studencików, a byłoby to rzeczą nader nieprzyjemną, z pewnością bowiem nie obeszłoby się bez jakich przejść w złym tonie, niegodnych dobrego towarzystwa! A tak pif! paf! i naraz już żonom naszym i córkom nic nie szkodzi, że potańczą sobie od czasu do czasu w towarzystwie nierządnic kadryla lub mazura. Wszystko naraz w najlepszym znalazło się porządku, a konserwatywnemu stronnictwu pozostał do dyspozycji jeden *»tęgi«* człowiek, o którym hr. Ludwik Dębicki powie z pewnością w nekrologu, że była to rycerska, średniowieczna dusza, mająca w sobie coś z Cyrano de Bergerac'a.

A cóżby to wypadło dopiero powiedzieć o stratach, jakie poniósłby cały kraj, gdyby w braku pojedynku musiały marnować się te potężne siły konserwatywne, które zaręczają nas przy każdej sposobności, że społeczeństwo nie może w Galicyi nic a nic poradzić na społeczny roztrój, że tylko nowa organizacja rządu może mu zaradzić, a chcąc udowodnić na przykładzie prawdziwości swojej tezy, nie wachają się w piątek obstałowywać sobie połędwicę, a gdy służący zwróci im uwagę, że to dziś post, nie cofają się przed pełną

dowcipu odpowiedzią: »A! dziś post? To podaj mi najprzód majonez z sandacza a potem polędwicę«. Teraz chyba każdy już uwierzy, że tylko energia rządu może powstrzymać kelnera, by nie oddał się na usługi ks. Stojłowskiego, p. Daszyńskiego lub p. Kozakiewicza! Niech żyje honorowość konserwatywna! Niech żyje pojedynek!

Tak jest, potrzebnymi są wam pojedynki na to, aby mogli z podniesionem czołem chodzić między wami ludzie, którzy, chcąc w pełni utrzymać potęgę arystokratycznych majątków, nie wachają się nad świeżą mogiłą swojej matki, bezcześcić jej pamięci niecnymi procesami godzącymi w jej kobiecy honor.

Potrzebnymi są wam pojedynki, byście mogli radować się nad przywiązaniem do konserwatywnych klejnotów tych ludzi, którzy chcąc hrabioskiej dochrapać się korney, nie wahają się zaręczać kijowskiemu jenerał-gubernatorowi, że między niższą służbą niema u nich ani jednego katolika, a między wyższą trafiają się oni tylko dla tego, że trudno znaleźć prawosławnych, ze stósownem uzdolnieniem.

Potrzebnymi są wam pojedynki, byście mogli spokojnie bić pokłony przed moralną wyższością i narodową powagą człowieka, który, mszcząc się na młodej pannie za to, że miała nieszczęście nosić przez kilka miesięcy jego nazwisko, nakreślił wstrętną jej karykaturę i strzelał do niej z poza wspaniałego płotu swojej wszechświatowej sławy pociskami nikczemnej potwarzy.

Tak jest! potrzebnymi są wam, niezbędnymi są dla was pojedynki, bo wiemy przecież, że żądanie od ludzi, by wyzbywali się nieuczciwości, podłości, niemoralności i t. d. jest programem niewykonalnym, że jest ono bezużytecznem moralizowaniem. Łatwo więc staćby się mogło, że salony konserwatywne, gdyby wstęp do nich

otwierała uczciwość i prawość, a nie pojedynek, zaczęłyby świecić pustkami, a panny pierwszych rodzin musiałyby chyba wszystkie wstąpić do karmelitanek bosych. Bez porównania więc prostszą jest rzeczą powiedzieć tym wszystkim ludziom:

Wiemy doskonale, że jesteście podłymi nikczemnikami, złodziejami, zawadyakami i t. d., ale któżby uświętniał nasze bale i rauty, ktoby był aktorem naszych paradnych ślubów, gdybyśmy was wykluczyli z naszego towarzystwa? Dowiedźcie się więc, że w dobrem towarzystwie chodzi przedewszystkiem o doskonałość form i o harmonią kształtów, a nie o abstrakcyjną jakąś wartość moralną. Damy więc wam sposób, żebyście się stali doskonałymi w swoim rodzaju, a wówczas zyskacie zupełne prawo do trwałego naszego szacunku. Fałszowaliście weksle, służyliście za usłużny parawan waszym żonom, wprowadzaliście nierządnicę między nasze córki i żony, deprawowaliście naszą młodzież, bezczęściliście pamięć i cześć waszych matek, spotwarzaliście wasze żony rozwiedzione; wszystko to razi nasz zmysł estetyczny, pewni bowiem jesteśmy, że sumienie wasze dygotało, gdyście kładli fałszywy podpis na wekslu, że sumienie wasze wyrzucało wam, gdyście protegowali miłostki waszych żon, gdyście metresy wasze posyłali między nasze żony i córki, gdyście siali zgorszenie i rozpustę między naszymi synami, gdyście bezczęścili wasze matki i żony.

Chcecie, żebyśmy was cierpieli między sobą, to złożcie nam dowód, że jesteście kompletnymi, że nie macie ani honoru, ani sumienia, że nie uznajecie ani Boga ani duszy, że niczem się nie różnicie od każdego innego bydlęcia, jak dwiema nogami i że gotowicie każdej chwili dla naszej przyjemności, śmiercią swoją stwierdzić, że nie wierzycie ani w Boga ani w nieśmiertelność duszy!

Oto jest Szanowny hr. Stanisławie Tarnowski ten wasz konserwatywny honor, którym tak się lubicie przechwalać przy każdej sposobności. Ale czyż temu można się dziwić, skoro spotyka się między wami ludzi, którzy zaprzeczają istnieniu osobistego Boga i zastępują Go jakimś nieokreślonem pojęciem panteizmu.

Nie upokarzajmy się aż do tego stopnia, lub może nie posuwajmy się aż do tych granic obłudy, byśmy mieli twierdzić, że nie my odpowiedzialni jesteśmy za ten upadek społeczeństwa polskiego w Galicyi, który odsłoniły nam ostatnie katastrofy finansowe i moralne lwowskiej kasy oszczędności.

Wygnaliśmy Boga i prawdę z polityki, wygnaliśmy z życia społecznego, wygnaliśmy Go z życia towarzyskiego, rodzinnego, ba staramy się go wykarczować nawet z dusz naszych, a pomimo tego chcielibyśmy piętnować i czynić odpowiedzialnymi za złodziejstwa i defraudacye męty społeczne liberalnego postępu!

Powiecie mi na to może: Obłudniku wyjmij naprzód belkę z własnego oka! Zgoda! Przyznaję, że macie prawo mi to powiedzieć, przyznaję, że dopuściłem się w życiu nikczemności, którą wam wyrzucam i dla tego chwale Boga, że dał mi dziś siłę do napiętnowania pojedyńku, piętnem największej podłości, jakiej się dopuściłem w mojem życiu.

Chwałę Boga, że pozwolił mi zdobyć się jeszcze na to dziś, gdy jestem w całej pełni męskiej siły, że pozwolił mi zdobyć się na to dziś, gdy jeszcze ani razu w życiu nie miałem sposobności złożyć dowodów swego męztwa, gdy każdy będzie miał prawo rzucić mi w oczy obelgę, że wygodnie to z góry zasłaniać się religią przed daniem satysfakcyi za wiele przykrych i bolesnych prawd, które w nos rzucam konserwaty-

wnemu społeczeństwu. Tak jest! Chwała niech będzie Bogu, że wszelkie te upokorzenia i zniewagi, które mię mogą w przyszłości spotkać, będą się mogły złożyć na ekspiacyą wyrzutów sumienia i publicznego zgorszenia, które kiedykolwiek dałem moim bliźnim, że Bóg może będzie raczył policzyć mi je na sądzie Swojego miłosierdzia, wraz z temi wszystkimi upokorzeniami, które w przeszłości znosiłem dla miłości Boga, wobec których milczałem, gdy nieraz oburzenie i chęć zemsty rozsadzały moje serce. Tak jest. jestem tchórzem, bo boję się... Boga! A jednej dziś tylko żałuję rzeczy, że wykreśliłem się już ze stanu armii, że nie mogę już dopełnić tej jeszcze, może najtrudniejszej ekspiacy za przeszłość, by rzucić złote swoje *porte épée* pod nogi tych honorowych sądów armii w apostołskiej monarchii, które zamiast apostołować honor, oparty na szlachetności serca, na wyższości moralnej, na duchu nieograniczonego poświęcenia dla Boga, ojczyzny i monarchy, apostołują honor, którego jedynym dowodem jest pięść, apostołują męztwo, którego jedynym dowodem jest pogarda bojaźni Bożej.

Jeżeli lat temu dziewiętnaście, puszcżając w świat moją krytykę austriacko-polskiej polityki, mogłem się być ludzi zupełnie z dobrą wiarą, że szczere wypowiedzenie prawdy, do którego wzywała mnie miłość ojczyzny i głos sumienia, nie może mi zamykać drogi do politycznego działania, nie może zrobić nieprzejednanymi moimi wrogami ludzi, którzy choćby tylko z powodu nazwisk, które noszą i z powodu szyldu, który wywiesili nad swoją budą, nie mieli prawa zamykać ust żadnemu ze szczerego serca płynącemu przekonaniu; to teraz chyba nie potrzebuję nikogo zapewniać, że piszę to, co mi nakazuje moje sumienie,

z całą świadomością, że zamykam sobie wrota nie tylko do politycznego, ale nawet do towarzyskiego życia.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, żebym zwątpił dla siebie o możności dalszego publicznego działania w kraju. Nie byłem nigdy pesymistą i nie jestem nim dzisiaj. Przeciwnie! Nie wątpię, że choć odpadnie w mojem życiu ta cała nędzna dekoracja, która się życiem towarzyskiem i światowem zowie, to pomimo tego zakres mojego działania rozszerzy się i wzmocni, a myśl moja, wypowiedziana jasno i bez wykrętów, zgrupuje około siebie te wszystkie serca i umysły, które brzydzą się faryzejsstwem, które pragną prawdy, które pojmują, że Bóg jest największą miłością, Bóg jest największą dobrocią, największą sprawiedliwością, największą mądrością, największą mocą, a więc wszechmocą, największem miłosierdziem, ale szczytem wielkości i dobroci i sprawiedliwości i mądrości i wszechmocy i miłosierdzia jest ich prawda. Dlatego to najogólniejszą definicyą Istoty Boga jest, że Bóg jest najwyższą prawdą. Dlatego Chrystus Pan, posłany przez Ojca niebieskiego dla zbawienia świata, wyrzekł, że: *«Jaciem się na to narodził i na tom przyszedł na świat, abym światectwo dał prawdziwe»* (Ew. św. Jana, r. XVIII).

To też rozmyślne kłamstwo i fałsz jest najzupełniejszą i najdoskonalszą negacyą Boga i odcina samą nawet możność łaski Bożej i podniesienia się. Podniosła się z samego dna upadku jawnogrzesznica, Chrystus Pan przebaczył jej grzechy; podniósł się łotr na krzyżu i Chrystus Pan powiedział mu, że dziś jeszcze będziesz ze mną w niebie. Nie podniósł się jednak z rozmyślnego kłamstwa i fałszu ani jeden z faryzeuszów i ani jednemu też z nich Chrystus Pan nie

przebaczył ich potwornych występków, zbrodni, ich nikczemnych kłamstw i fałszów.

Pierwszym więc jest naszym obowiązkiem — jeżeli chcemy naród nasz podnieść ze wstrętnej kałuży, w której zanurzyła go nikczemność moralna i kłamstwo — nie dopuścić, by kłamstwo to stało się świadomym fałszem, by stało się nieodstępnym towarzyszem naszego osobistego, rodzinnego i towarzyskiego życia i naszego narodowego i politycznego rozwoju. Nie możemy dopuścić, by faryzeizm zyskał między nami prawo obywatelstwa! Może się to podobać albo nie, niektórym konserwatywnym wielkościom, wyrosłym i rozdętym na gruncie próżności, fałszu, kłamstwa, miernoty i bezmyślności, ale tak jest i ani słowa z tego nie cofnę i nie przestanę wszelkich sił używać, by zgniliznę moralną faryzeizmu wyrzucić ze zdrowej pszenicy, by krzepić nieustannie posiew przyszłości bezwzględną wiarą w prawdę objawioną, duchem chrześcijańskiej miłości i poświęcenia się, poddania się synowskiego wyrokowi Kościoła Chrystusowego i bezwzględną gotowością położenia każdej chwili za prawdę swojej głowy, swojego życia, swojego majątku, swojego politycznego i towarzyskiego stanowiska i swojego szczęścia rodzinnego nawet. Gdyby Bóg nie miał pobłogosławić mojej pracy w tym kierunku, gdyby miało się na mnie sprawdzić słowo Chrystusa Pana, że nic zmazanego nie wejdzie do Królestwa Bożego, gdyby naród nasz rzeczywiście upadł tak nisko, że nie znalazłby się w nim nikt, ktoby był godnym dzierżyć sztandar prawdy, miłości i poświęcenia; gdyby nadal biedny ten naród zstawać miał pod przewodnictwem kłamców i faryzeuszów — to musiałby dla nas nastać ten czas straszliwy, w którym synowie wasi, albo padną od topora i cepów, albo

też zostaną krupierami w Monte - Carlo i stróżami w domach rozpusty! a córki wasze będą królowały na deskach ogródkowych teatrzyków; musiałyby nastać te dni, w których ujrzyście brzydkość spustoszenia, o których mówi Ewangelia św. Mateusza w rozdziale XXIV: *«A biada brzęmiennym i piersiami karmiącym w one dni... A gdyby nie były skrócone one dni, nie byłby zachowany żaden żywy człowiek, ale dla wybranych będą skrócone dni one.»*

Nazywacie mnie pesymistą, zarzucacie mi szleszczące zwątpienie, a sami nie wachaliście się przed sianiem fałszów religijnych, zdążających do zrobienia katolicyzmu słuzalcem politycznych polskich celów, nie cofaliście się przed żadnym fałszem, by zapewnić opinią rozumu politycznego i moralności waszemu stańczykowskiemu stronnictwu.

Raz jeden tylko w życiu, na samym do niego wstępie, miałem chwilę rozpacz i zwątpienia o wszechmoc prawdy Bożej i polegającej na niej potędze objawionych praw moralnych. Ten jeden raz wystarczył, bym stał się ziarnem, które padło między ciernie, a społecm zrosłszy ciernie, zagłuszyły je.

Ale Bóg w miłosierdziu Swojem pozwolił mi przebić się przez te ciernie.

«Albowiem byli niekiedy ciemnością, lecz teraz światłością w Panu. Sprawuycie się iako synowie światłości. Boć owoc światłości, iest we wszelakiej dobrotności i sprawiedliwości i w prawdzie» (z listu Św. Pawła do Efezów, R. V).

Od tego czasu mogłem grzeszyć i upadać, ale nie zwątpilem już nigdy ani na chwilę jedną o potężnym wpływie prawd wiary na duszę ludzką i na rozwój społeczeństwa ludzkiego. Jeżeli nie uwierzycie nie zrozumiecie,

bo początkiem zrozumienia jest wiara. Tak jest! O ile prawda miłości jest największą ze wszystkich prawd, jeżeli ona odkrywa nam skryte i utajone iskry mądrości Bożej, jeżeli ona wlewa w nasze dusze ducha poświęcenia chrześcijańskiego, jeżeli ona w tem poświęceniu odkrywa nam szczyt miłości chrześcijańskiej, jeżeli ona to poświęcenie robi miarą miłości, czy to Boga czy bliźniego, czy rodziny, czy ojczyzny, czy ludzkości; to wiara, wiara silna, niezachwiana w prawdę miłości Bożej, w potęgę przykazań Bożych, jest jakoby pochodnią rozwidniającą nam działanie tej miłości w ziemskich, doczesnych naszych stosunkach, to wiara ta jest jakoby iskrą, rozpalającą drzemającą w naszej duszy, miłość i siłę woli, i rozpalającą ją aż do tej potęgi gorenia, która rozkazem swym góry ze swych posad wysadzić może.

To też na potęgę wiary, na potęgę wiary w miłosierdzie i w sprawiedliwość Bożą we wszystkich ludzkich kolejach, zarówno w pracy nad osiągnięciem osobistego zbawienia duszy po śmierci, jak w pracy nad wychowaniem dzieci, nad rozwojem społeczeństwa, nad przyszłością ojczyzny i ludzkości polega zdrowie rodu ludzkiego. Nigdy i nigdzie nie wolno nam wątpić o tem, że miłosierdzie i sprawiedliwość Boża przemoże mocy piekielne. Musimy w to wierzyć niezachwianie, że o co będziemy prosić Ojca niebieskiego w imię Chrystusowe, da nam Bóg, bo jeżeli żaden z nas nie poda kamienia przyjacielowi, gdy go będzie prosił o chleb, a żaden węża, gdy go będzie prosił o rybę, to i Ojciec nasz niebieski nie da nam synów złodziei, łajdaków i rozpustników, jeżeli prosić Go będziemy o łaskę uczciwego wychowania ich w imię Chrystusowe, a więc w imię poświęcenia, w imię cierpienia, w imię poddania się w każdym wypadku ży-

cia woli Bożej, a nie w imię ludzkiego ich szczęścia, nie w imię próżności, nie w imię światowego powodzenia, słowem nie w imię tych wszystkich celów i pragnień ludzkich, z których każde jest samo w sobie już dostateczną zaporą do zbliżenia się ku doskonałości moralnej, do ochotnego brania na swoje barki krzyża, i do podążania za Chrystusem Panem ciernistą drogą cnoty, czystej miłości, poświęcenia się i obowiązków.

Pamiętajmy, że jeżeli Bóg może Swoją łaską świętą z najgorszego wpływu rodziców wyrwać ich dzieci i wbrew pragnieniom i ambicyom ojca lub matki przeprowadzić je przez ciernie i głogi cierpień do szlachetności i czystości serca, ożywionego silną i do dobrego skierowaną wolą, oraz jasnym prawdy pożądającym rozumem, to za wszelkie moralne zboczenia swoich dzieci muszą zawsze odpowiadać rodzice przed Bogiem i społeczeństwem, bo Bóg dał im w sakramencie małżeństwa szczególniejszą łaskę do ich wychowania, i obiecał im, że o cokolwiek prosić Go będą w imię Chrystusowe da im.

Cała nasza przyszłość rodzinna, narodowa i społeczna, w tym głównie tkwi zadaniu. Jeżeli potrafimy prosić Boga o łaskę dla dzieci w imię Chrystusa Pana, jeżeli potrafimy całych swoich sił na to dobyć, by dzieci złym przykładem nie gorszyć, pojąć ich nie fałszować, własnych podłości, nikczemności i słabości moralnych nie tłómaczyć, nie usprawiedliwiać koniecznością tego a tego złego na świecie, jak np. pojedynku, rozpusty i t. p.; jeżeli zaprzestaniemy podkopywania bezwzględnej siły praw moralnych, chęcią osłabienia brzydoty własnych swoich postępków czy to obecnych, czy przeszłych; jeżeli nauczymy się modlić szczerze i gorąco do Boga, żeby za grzechy nasze chłostał

nas samych, ale żeby raczył nie karać nas za nie na wartości moralnej naszych dzieci: to możemy być pewnymi, że Bóg jak dobrotliwy Ojciec nie odda ich na igraszkę czarta i nie dopuści do tego, żeby ich Bogiem tał się brzuch.

A niech sobie p. Piotr Górski dziesięć tomów jeszcze napisze o tem, że społeczeństwo nie może nic poradzić na szerzącą się dezorganizacją moralną i polityczną, że tu tylko rząd, któremu się da w rękę silne i sprężyste prawa, może powstrzymać dalszy rozkład społeczny — to ja mu odpowiem, że jeżeli budowy społecznej nie zaczniemy od samych fundamentów, jeżeli nie zabierzemy się przedewszystkiem do reorganizacji rodziny, w prawdziwie chrześcijańskim duchu, jeżeli nie dojdziemy do prawdy i czystości uczuć; jeżeli nie nabierzemy zrozumienia, że wartość moralna człowieka wzrasta w geometrycznej proporcji w miarę jak potrafi on w całym swoim życiu utrzymywać ciągłość cnoty, prawości i poświęcenia się, ciągłość zgody między przykazaniami Bożemi a sumieniem i między sumieniem a postępowaniem; jeżeli więc nie rozumiemy, że na tej ciągłości polega prawdziwa potęga uczuć, czy to w miłości do kobiety, czy w miłości do bliźnich, czy w miłości do Ojczyzny, czy w największej ze wszystkich miłości do Boga — to możemy być pewnymi, że najwięcej sprężyste prawa staną się pustą i martwą literą, która nie zdoła ani na krok jeden powstrzymać tryumfalnego postępu bezbożności, socjalizmu i anarchii.

Pytam się pana Piotra Górskiego, czy śmiałyby on sumiennie twierdzić, że powodem dezorganizacji Galicyi są niedostateczne prawa? A czyż nie ma w Austryi § 14? A czyż nie ma w Austryi możności zaprowadzenia stanu doraźnego? A czy poza temi środkami nie ma

żadnych przepisów prawa, które pozwalałyby administracyi powstrzymywać propagandę zawiści socyalnej? Niech mi p. Górski raczy n. p. powiedzieć, czy władza administracyjna jest zmuszoną ustawami państwa, pozwalać na jawną propagandę socyalizmu, mordów, złodziejstw i t. p. cnót obywatelskich, na tak zw. uniwersytecie ludowym imienia Adama Mickiewicza, na którym przed gawiedzią, złożoną z terminatorów, studentów i żydówek, koncesyonowani socyalistyczni prelegenci sławią użyteczność terroryzmu gilotynowego podczas wielkiej rewolucyi francuskiej, lub apoteozują oszustwa rozbierając sztuki Ibsena? Czy władza politechniki lwowskiej miała obowiązek na znaczne te wykłady użyczać prelegentom swojej sali wykładowej? Czy reprezentujący rząd komisarze mają obowiązek spokojnie słuchać, jak p. Daszyński lub p. Kozakiewicz, wśród socyalistycznej gawiedzi bezcześci — nie żenując się — władze naczelne od niedołęgów i głupców, a reprezentantowi rządu wygraża się pięściami? Czy władza dozoruująca takich zebrań ma obowiązek spokojnie słuchać, jak ci panowie opowiadają tej gawiedzi, że dopiero wtedy będzie dobrze, jak głów szlacheckich padnie tyle co jest kamieni w bruku? Czy naprawdę to zachęcanie do zbrodni nie podpada pod kodeks karny? Czy pan komisarz rządowy nie ma obowiązku w takim razie rozwiązać zgromadzenia i oddać winnych prokuratorowi? Nie praw nam brakuje, nam brakuje urzędników, którzyby nie kokietowali, nie schlebiali socyalizmowi, którzyby nie pozwalali na nieustanną jawną publiczną propagandę lekceważenia władzy, praw i rządu i nieustanne namawianie publiczne gawiedzi do nienawiści przeciwko posiadającym warstwom, którzyby ciąglem oswajaniem jej z myślą o mających się kiedyś dokonać

mordach, nie pracowali jakby umyślnie nad doprowadzeniem kraju do krwawej socjalnej katastrofy.

Tak jest! Nie zmiany praw i ustaw, ale uczciwych i rzeczywiście prawych ludzi potrzeba w administracyi od góry do dołu. Trzeba żeby tradycyjna rycerskość dla płci pięknej, a szczególnie w najwięcej rasowym jej izraelskim odłamie, raz przecie nie była rozstrzygającą przy powzięciu postanowienia, czy należy rozwiązać socjalistyczne zebranie, na którem przywódcy socjalizmu pomiatają rządem, wygrażają się pięściami jego reprezentantom, propagują między motłochem myśl mordów i rzezi. Możeby i wypadało rozwiązać to zacne zgromadzenie, ale trudno, bo połowę jego stanowi piękna płeć żydowska, a czyż ta biurokratyczno-konserwatywno - austriacko - galicyjska rycerskość nie ucierpiałaby na tem, żeby się miało za drzwi wypraszać tak zacne damy, tak nadobne córki Izraela? Czy płacz i łkanie nie potoczyłyby się z Zarwanicy przez Kazimierz aż do samej stolicy monarchii, aż do samej jej Leopoldowej dzielnicy? A wówczas co za kłopot, jaka niewygodna i drażliwa sytuacja, bronić się i zasłaniać przed czułemi łzami lub może morderczemi pociskami nadobnej oblubienicy wybranego narodu, pięknej »*Neue Freue Presse*«!

Niewątpliwie, że w każdej porządnej, konserwatywnej polityce, powinna być koniecznie ciągłość. Ciągłość ta jest najlepszym dowodem stanowczości i najlepszym zadatkiem spodziewanych w przyszłości owoców. Rycerskość względem dam, nie odstępowała nigdy hr. Kazimierza Badeniego, który energiczną swą dłońią musiał przez cały szereg lat wybić niezatarte piętno swojej indywidualności na namiestniczej administracyi we Lwowie. Przecież zaraz nawet po przegranej wiel-

kiej nagrodzie wiedeńskiej imienia Wolfa, startował on z Blowitzem w biegu pocieszenia w salonie uroczej damy paryskiego półświatka, w którym skreśliła ostatecznie raz na zawsze kark polityczna jego karyera. W ustroju biurokratycznym, każda niesprawiedliwość puszczona w ruch leci samą swoją bezwładnością jak lawina, dopokąd nie zatrzyma się wreszcie na samym dnie przepaści. Mógł już wicher oczyścić sklepienie niebios, mogło słońce na nowo tysiącznemi opromienić je blaskami, a lawina pomimo tego leci jeszcze w przepaść, skołatana, zbita, niszcząca, złowroga. A gdy się widzi tą nieudolność, tą pobłażliwość, tą niczem nie wytłómaczoną apatyą administracji galicyjskiej wobec jawnie pod jej bokiem, zaledwie, że nie pod jej protektorem organizującej się rewolucji socyalnej, to do prawdy, że trudno się uchronić od przypuszczenia, że chyba bezinteresowna sprawiedliwość, nie zawsze musiała kierować zarówno awansami, jak i pomijaniem w awansach w organizmie administracyjnym.

Czy przy bliższym rozpatrzeniu rzeczy nie znalazłoby się niesprawiedliwości w tym względzie? czy nie znalazłoby się administracyjnych wyroków na dośmiertne nieruszenie się z zajmowanych posad, i to wyroków wydanych bez żadnego administracyjnego lub sądowego śledztwa, bez żadnego dyscyplinarnego postępowania przeciwko urzędnikom, służącym cesarzowi przez lat kilkadziesiąt? Są to pytania, w które powinnyby bliżej wejrzyć naczelne władze Galicyi. Nie wątpię, że znajdą się życzliwi przyjaciele, którzy będą się starali za podniesienie tej kwestyi rzucić na mnie podejrzenie osobistej niechęci lub zemsty. Na szczęście dałem już dostateczny dowód, że najwięcej niesprawiedliwe przeciwko mnie wycieczki, największa chęć szko-

dzenia mi, największe nawet lekceważenie, nie zdołało mię nigdy wyrwać ze spokoju, nie zdołało mię nigdy obrócić przeciw osobistemu nieprzyjacielowi, dopokąd miałem najmniejsze powody do przypuszczania, że może on być użytecznym sprawie publicznej i narodowej. To pewna, że większego nieprzyjaciela między ludźmi odgrywającymi poważną polityczną rolę w Galicyi nie miałem, od hr. Kazimierza Badeniego. Przez 19 lat nie chciał on mię dopuścić do żadnego politycznego działania w Galicyi i w Austryi, a nie chciał dopuścić tylko dla tego, bo bał się mojej moralnej niezawisłości, bo bał się uczciwej kontroli. Pomimo tego nie zrobiłem nigdy ani jednego kroku przeciw niemu, przez ten cały szereg lat, dopokąd tylko miałem najmniejszą nadzieję, że może on być użytecznym dla sprawy publicznej, przeciwnie dałem mu takie moralne poparcie i tak piękne świadectwo, jakiego z pewnością nigdy od nikogo innego w życiu jeszcze nie otrzymał i jakiego z pewnością nikt mu już więcej nie wystawi.

»Zaprawdę dziwna jest kolej rzerzy ludzkich i dziwnem jest z rządzenie Opatrzności« — pisałem w r. 1895 w moim *»Obrachunku z Rzeczą Pana Stanisława Koźmiana o roku 1863«*. — »Wśród uczącej się młodzieży podczas burzy 1863-go roku, tym roku ogólnego szaleństwa lub kłamstwa, dwóch znałem ludzi, którzy nie szaleli i nie kłamali. Jeden z nich był kolegą mojego brata. Nie mieszał się do demonstracji, a gdy wszyscy prawie słuchacze tłumnie opuścili salę wykładową, w dniu 6 lutego 1863 roku, biegnąc do Ojcowa, lub udając, że tamże podążają, jego jednego tylko zastał ówczesny rektor uniwersytetu w pustej sali wykładowej. On jeden nie dał się porwać szałowi i on jeden miał dosyć odwagi cywilnej i hartu, żeby to publicznie pokazać. Człowiekiem tym jest dzisiejszy namiestnik Galicyi hr. Kazimierz Badeni«.

»Drugim, jak już wiemy, był dzisiejszy marszałek sejmu krajowego, Książę Eustachy Sanguszko«.

»Tak jest, na czele zarówno rządu krajowego, jak krajowej autonomii, stoją dziś ludzie, którzy nigdy nie szli drogą szaleństwa lub fałszu. W rękach więc ludzi rozumnych i prawych spoczął ster Galicji«... (str. 128—129).

Naturalnie, że niema żadnego logicznego powodu doszukiwania się związku pomiędzy temi słowami, a sromotną śmiercią polityczną hr. Kazimierza Badińskiego. A jednak wolnoby mi może było zapytać się byłego prezydenta ministrów czy też sumienie jego nie przywodzi mu nigdy na myśl słów z listu Św. Pawła do Rzymian w R. XII.:

»Mnie pomstę, ja oddam, mówi Pan. Ale jeżeli łaknie nieprzyjaciół twój, nakarmij go: jeżeli pragnie napój go. Bo to czyniąc, węgle ogniste zgromadzisz na głowę jego. Nie daj się zwyciężać złemu: ale zwyciężaj złe w dobrem.«

Mnieby się zdawało, że między Bogiem a sercem ludzkim, między Bogiem a działaniem i losami człowieka, istnieje bezporównania silniejszy i bezpośredni związek, jakby to mogły przypuszczać trzeźwe, filozoficzne umysły dzisiejszych mężów stanu. Mnie się zdaje, że są chwile, w których Bóg sam bierze w obronę czy to krzywdę maluczkich, czy też taką Chrystusowi Panu wyrządzoną zniewagę, jaką było postawienie pomnika Chmielnickiego na przeciw katolickiego kościoła w Kijowie, w czasie 1000-letniej rocznicy zaprowadzenia chrześcijaństwa na Rusi; czy też wreszcie taką krzyżującą obrazę sprawiedliwości publicznej, jakiej dopuściły się sądy rosyjskie, podczas procesu Hermanna, naczelnika powiatu opoczyńskiego.

Nie praw, ale ludzi nam trzeba. Czy wśród tego zgniłego bagna, w którym wyżej uszów niż się całe nasze pokolenie, mogą jeszcze powstać ludzie czynu? tego nie wiem; ale w to wierzę niezłomnie, że Bóg ulituje się nad nami i po nas powoła do działania tych ludzi, którzy mogli grzeszyć a nie grzeszyli, o których powiedział Chrystus Pan: *»Błogosławieni którzy nie widzieli, a uwierzyli«*, a więc błogosławieni ci, którzy nie potrzebowali wetknąć swojego palca we wszystkie rany Chrystusowe, we wszystkie brudy, we wszystkie niemoralności, we wszystkie kłamstwa i fałsze tego świata, by wykrzyknąć ze św. Tomaszem: *»Pan mój i Bóg mój!«*

Ta nadzieja, ta wiara nie opuści mię, mam w Bogu nadzieję do grobowej deski, a to z pewnością, że nie dla chęci dokuczenia panu Dębickiemu, albo panu Tarnowskiemu, albo innym panom, wylewam na papier do samego dna treść moich myśli i uczuć, ale dlatego tylko, by odstraszać prawdą naszego postępowania, naszej nikczemności moralnej, naszego bezrozumu politycznego, mogła stanowić wysoko świecącą latarnią morską, ostrzegającą skołataną nawę życia narodowego, przed sterczącymi skałami fałszu, kłamstwa i materializmu, a które wymijać powinno młode polskie pokolenie, pod grozą ostatecznej zagłady narodu polskiego.

Nie traćmy wiary w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże! Niech nam nie imponuje moc złego i liczba jego wyznawców. Pamiętajmy, że jeden stuletni dąb wpośród halizny, puszcza dalej i głębiej we wnętrze ziemi swe korzenie i szerzej roztacza ożywczy cień konarami swojemi, niż tysiące pasożytów, żyjących tylko z dnia na dzień, czepiających się kory drzewek i z niej czerpiących swoje istnienie. Siedmiu sprawiedliwych może uratować najwięcej nawet upadłe społeczeństwo; podajmyż więc

sobie dłonie i nie dajmy wpaść w przepaść tej jedynej nadziei naszej przyszłości. Róbnmy wszystko, co w naszej jest mocy, by niedopuszczyć do młodych serc tego zwątpienia o potędze i prawdzie prawd moralnych, które zatrzymało nasze serca i pchało je w objęcia najgrubszego materyalizmu, bo materyalizmu na zimno wyrozumowanego i na zimno propagowanego w społeczeństwie; materyalizmu na którym zamierzaliśmy budować polityczną przyszłość narodu naszego, odwracając się ze wzgardą i lekceważeniem od jedyne go światła w dziedzinie moralnej t. j. od katolickiego Kościoła Chrystusowego. Idźmy za pochodnią tego światła, pamiętając, że wszelkie dążenia do udoskonalenia społeczeństwa i narodu, trzeba koniecznie rozpocząć od zapalenia iskry prawdy, miłości, nadziei i wiary w sercach i sumieniach ludzkich. W tym celu łączmy się i skupiajmy, ale nie jako niesforna i przypadkowo na kupę podmieciona masa, ale jako żywe ogniwa naturalnego społecznego organizmu. Wytwórzmy pole moralnego wpływu i działania dla jednostek w naturalnym zakresie ich działania społecznego. Niech rodzice oddziałują na swoje dzieci i rodziny, niech panowie gospodarze, majstrzy oddziałują na swoją czeladź, swoich służących, swoich wyrobników, niech ludzie zamożni oddziałują na dostawców swoich potrzeb, niech zapalą ich do apostołstwa prawdy i wspólnie z nimi szerzą ją wśród ich czeladzi i terminatorów. W ten tylko sposób można wpływ moralny wzmocnić dobrodziejstwem ekonomicznym t. j. zapewnić szewcom, krawcom, piekarzom, rzeźnikom, handlarzom wina, kaszy, siodlarzom i t. d. w miejscu swojego zamieszkania, nie tylko zdrowy obroczek duchowny, ale także stały zbyt na produkta ich pracy, a więc zapewnić stałość bytu ich rzemiosłom i handlom,

która jest największym dobrodziejstwem i najważniejszym warunkiem trwałej pomyślności i rozwoju ekonomicznej produkcyi, a zarazem jest najważniejszym cywilizacyjnem znamieniem. Tak jest! główną cechą cywilizacyi jest stałość warunków ludzkiej pracy, główną cechą barbarzyństwa jest koczownictwo i niepewność jutra. Tego nie chce zrozumieć największa część konserwatystów naszych i zdaje im się, że zapewniają sobie oni największe korzyści — trzymając podług rosyjskiego systemu — całe swoje otoczenie na wylocie z dnia na dzień, zastrzegając sobie jak największą, o ile się da, swobodę wypowiedzenia miejsca.

Znam wypadki, że n. p. nauczyciel domowy, który już złożył bardzo poważne dowody swojej sumienności i umiejętności pedagogicznej, i to człowiek mający żonę i dzieci, był trzymanym całemi latami w niepewności, czy za 6 miesięcy nie osiedzie bez żadnej swojej winy na bruku z całą rodziną. Zdarzało mi się również widzieć majątki, w których rządcy zmieniali się co pół-roku, jeżeli nie co kwartał, a cała niższa służba folwarczna przeskakiwała z miejsca na miejsce się jak w kolejdoskopie. Pojmuję, że mogą się zdarzyć czasem wypadki, iż dla samego przykładu trzeba wypowiedzieć służbę. Ale czy godziwem jest przyczepiać się do najmniejszej wady i ułomności ludzkiej, a nieraz nawet do drobnych uchybień, będących wynikiem koniecznej potrzeby odpoczynku lub wytchnienia, by pozbawiać człowieka służby i chleba?

A jednak nieraz tak się dzieje. Dziedzicowi wolno być nygusem, próżniakiem, śpiochem, nie mogącym po-dnieść się z łóżka przed 10-tą godziną zrana; ale rządcza, ekonom, parobek powinien być jakimś mechanicznym tworem i to z jakiejś nadziemskiej wykutym stali, któ-

ry od 3-ciej zrana do 11-tej wieczór, z wyjątkiem południa, a jak potrzeba to i w nocy, powinien bezustannie pracować tylko dla dziedzica, nie powinien mieć żadnych osobistych pragnień, żadnych potrzeb, żadnych słabości, powinien być wyższym nad głód, nad potrzeby snu, nad zmęczenie i nad wszelkiego tego rodzaju złe pokusy. Jeżeli mu brak tej wyższości, to niech szuka miejsca i chleba gdzieindziej.

A jakże to rzadko przychodzi na myśl temu dziedzicowi, że on ma przecież obowiązek — jako wyższy wykształceniem i umysłem — kształcić do pewnego stopnia i tego rządcę i tego ekonoma i tego parobka, i to kształcić nie tyle słowem jak przykładem sumiennej pracy; jak rzadko pamięta ten dziedzic o tem, że on jest właściwie najwięcej odpowiedzialnym za moralny stan i swojego rządcy i swojego ekonoma i swojego parobka i służącego. A to samo oczywiście powiedzieć się da i o obowiązku kupca względem swoich subiektów, służących i chłopaków sklepowych, i o obowiązkach majstra względem swoich czeladników i terminatorów, sędziego względem swoich praktykantów i woźnych i t. d. Przestańmy raz robić głupią poradę z zupełnie bezcelowych i bezskutecznych sztucznych sposobów działania na lud i na niższe warstwy społeczne, którego jedynym celem, jedynym wynikiem jest artykuł dziennikarski, dmący w trąbę pochwał nad wielkością naszej publicznej pracy — a rozwińmy tę pracę każdy na przyrodzonym, naturalnym jej gruncie, na którym może ona doprowadzić do nowej, zastosowanej do dzisiejszych potrzeb organizacyi społecznej i stokrotnie musi wydać owoce. To samo dźiać się powinno z lokacją zaoszczędzonych przez pracujące warstwy pieniędzy. Pytam się dlaczego zamiast składać zbyte-

czny od niezbędnych potrzeb grosz na książeczkę kasy oszczędności, niema go rolnik użyć albo na zakupno ziemi, w celu zaokrąglenia swojego majątku, albo na korzystne amelioracye jak drenowanie irygacją i t. p.

Pytam się dlaczego doktor niema tych oszczędności użyć na zakładanie zakładów leczniczych, sanatoryów, szpitali i t. d. w zakresie swojej specjalności. Dlaczego fabrykant niema ich użyć na ulepszenie techniczne swojej fabryki lub powiększenie jej rozmiarów, nie mówiąc już o pytaniu dlaczego niema ich w pewnej części użyć na podwyższenie ceny surowych produktów dostarczanych fabryce przez rolnictwo i t. d.?

Z pewnością, że siła produkcyjna i przemysłowa kraju wzrosłaby przez taką lokacyą oszczędności, bezporównania więcej niż przez składanie ich na książeczkach. To też mojem zdaniem, kasy oszczędności wypadałoby bezpośrednio łączyć z biurami melioracyjnymi dla włościan i jak tylko lokowane oszczędności na książeczce wzrosłyby do kwoty, którą możnaby już przeprowadzić potrzebną melioracyą na zagrodzie włościańskiej, lub założyć wspólnemi siłami jaki przemysł we wsi, w którym znalazłyby dobry zbyt surowe produkta rolne, to zaraz reprezentant biura melioracyjnego w porozumieniu, a właściwie za współdziałaniem rady powiatowej powinien namawiać do użycia na te melioracye lub przedsiębiorstwa zebranych oszczędności, czy to jednego go z gospodarzy czy też całą gminę. Nie przestanę powtarzać, że bezmyślne zbieranie lub wytańcowywanie pieniędzy i jeszcze bezmyślniejsze rzucanie ich między pracującą ludność, czy to na wsi czy w mieście, nie doprowadzi do niczego, nie stworzy ani cienia ładu społecznego i nie zażegna społecznych załości i antagonizmów. Czy na wsi czy w mieście pło-

dną pracę w tym kierunku może opierać się tylko na naturalnej spokojnej chrześcijańskiej organizacji pracy społecznej t. j. pracy opartej na łączności powstałej z naturalnych potrzeb ekonomicznych i moralnych ludzi kojarzących się do wspólnego działania. Wszelka komedia pracy narodowo społecznej, z całym wtórem krzyków, przechwałek, publicznych reprezentacji, frazeologii i agitowania, może tylko w swych skutkach być wodą na młyn przewrotu społecznego. Nie należy też kredytu koncentrować całemi dziesiątkami milionów we Lwowie lub Krakowie, ale przeciwnie należałoby go rozbić na drobne kredytowe instytucje działające po całym kraju. Pod tym względem mogłaby nam za wzór służyć normalna ustawa, wydana w roku zeszłym dla całego cesarstwa rosyjskiego, ułożona zdaje się głównie podług ustawy obowiązującej w Prusach. A mianowicie: Towarzystwo wkładowo - zaliczkowe nie może ani podstawy ani działalności swojej rozszerzać poza promień trzechmilyowy. Nikomu więc nie mieszkającemu stale w tym promieniu nie wolno być ani członkiem kasy, ani dłużnikiem tejże. Udziały pojedyncze nie przenoszą 100 rubli. Każdy członek odpowiada za straty kasyiesięciorazowym swoim udziałem t. j. 1000 rubli. Członkowie zarządu i rady nadzorczej odpowiadają za straty całym swoim majątkiem. W razie jakiegokolwiek deficytu zarząd kasy przechodzi na rząd. Długi kasy nie mogą być wyższymi od 5 razy, wziętych udziałów członkowskich i innego majątku kasy. Zastrzegam się, że piszę z pamięci, mogłem się dopuścić jakiego błędu w którym ze szczegółów. Zdaje mi się jednak, że ogólny szkic przedstawiłem zgodnie z prawdą.

Samo się przez się rozumie, że kredyt, ograniczony do tak ścisłego koła terytoryalnego, otwiera ogromną

łatwość kontroli i obeznania się z tokiem interesów, nawet dla członków nie będących ani w zarządzie ani w radzie, a następnie ułatwia bardzo dokładne poznajamianie się i członków między sobą i członków z zewnętrznymi interesantami. Szczytem jednakże kredytu włościańskiego na wsi, zarówno pod względem skutków moralnych jak ekonomicznych, pozostanie zawsze kredyt, dawany osobiście przez dzidzica, zastosowany u mnie w Łoniowie od lat 15-stu, a przed paru latami propagowany przezemnie za pośrednictwem broszury p. t.:
» *W Sprawie Kredytu włościańskiego.*«

V.

„Będąc tedy z wiary usprawiedliwieni, pokoy u Boga mieymy przez Pana naszego Jezusa Chrystusa. Przez którego też przez wiarę mamy przystęp ku tej łasce, w której stoiemy i chlubiemy się, w nadziei chwały synów Bożych. A nie tylko w nadziei, ale się też i w uciskach chlubiemy: wiedząc, iż ucisk sprawuje cierpliwość: A cierpliwość doświadczenie; a doświadczenie nadzieię.» (List św. Pawła do Rzymian R. V.).

»Oni myśleli«, mówił hr. Tarnowski w swojej mowie sejmowej 27 lutego r. 1899, »że po trzydziestu latach życia politycznego ten kraj polski będzie miał siłę i znaczenie w państwie, że wyjątrzą się te jady społecznych zawiści, które były chorobą chroniczną a chwilami gwałtowną, że zdolnością rządzenia sobą, charmonią i równowagę społeczną dobrobytem ekonomicznym, będzie zdobywał podziw obcych, a chwałę dla swoich».

»To była rola i powinność, tej części Polski, która jedna miała sposobność politycznego, a swobodę narodowego życia«...

»Obcy mówią i piszą, że jesteśmy narodem bez pojęcia i poczucia prawa, że mamy u siebie małą Panamę, a my nie możemy powiedzieć nieprawda«...

»I to o nas mówią z urąganiem Niemcy i Moskale. a my — my cośmy za całą Polskę i dla całej Polski mieli dać próbę i przykład wzorowego rządzenia sobą i niepokalanej czci, my musimy milczeć, oczy spuszczać i rumienić się ze wstydu«.

»Ten rodzaj boleści jest dla nas nowy. Złodzieje i oszuści byli zawsze, ale to byli tylko ludzie. Instytucje powierzone wierze publicznej, te były dotąd nieposzlakowne. Nie było nadużyć pieniężnych ani za Księstwa Warszawskiego, ani za Królestwa, ani za czasów emigracyjnych, ani później. Nie wiem o żadnej instytucji finansowej polskiej, któraby się była splamiła. Naszemu schyłkowi wieku i naszej części Polski przypada ta chwała i zasługa, że dopisały tę kartę do naszych porzobiorowych dziejów«.

Rozbiór Polski dzielący ją pomiędzy trzy mocarstwa, zaprowadził faktyczną trójkrajowość każdego Polaka, której nie zdoła usunąć lub znieść żadna na świecie ustawa lub konwencja. Nie może być żadnego poważnego ciosu, rażącego w jedną dawną Polskę dzielnicę, nie może być żadnego promienia szczęścia, rzucającego ożywcze i jasne swoje światło na jedną dawną Polskę dzielnicę, któreby nie pobudzały do robienia bilansu moralnego i politycznego na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej. Ta trójkrajowość jest jednym z najpotężniejszych czynników naszego narodowego życia, i jednym z najważniejszych zadatków naszej przyszłości, ona bowiem określiła nam obszerną rolę w przyszłości, bo rolę historyczną, której granice dochodzą do ostatnich kresów trzech państw rozbiorowych.

W tych granicach szuka hr. St. Tarnowski miejsca i powietrza dla rozdętej boleścią, żalem i wstydem piersi swojej, niechże i mnie będzie wolno w tych szukać granicach przestrzeni dla jasnych promieni otuchy i nadziei, nadziei opartej na niewzruszonej wierze w ważność roli, i wpływu, określonego przez Opatrzność naszemu katolickiemu narodowi, na przyszłość i rozwój Słowiańszczyzny.

W roku 1896, wyszła w Lipsku po rosyjsku broszura pana M. Ursina, z przedmową hr. Leona Tołstoja. Koniec tej broszury poświęcony jest moim poglądom politycznym. W recenzji umieszczonej o broszurze tej w Nr. 10 *Kraju* z r. 1896 pod tytułem: »*Praca M. Ursina*« czytamy co następuje:

»Starając się zaś pogodzić gorący swój patryotyzm z mądrością praktyczną i z obowiązkiem chrześcianina, uznającego przykazanie Chrystusa o miłowaniu nieprzyjaciół, Moszyński zgadza się w tym względzie z nauką Tołstoja o niesprzeciwianiu się złemu drogą gwałtu«.

Te kilka słów wyrzeczonych przez autora, podziwiającego widocznie moje poglądy, rzuciły stanowczo nie właściwe światło na stósunek mój, do najznakomitszego dzisiejszego pisarza Rosyi. Sprawa to za ważna i to za ważna nie tylko dla mnie osobiście, nie tylko dla naszego narodu, ale również także i dla Rosyi, żebym mógł ją pominąć milczeniem. Niema ani jednego względu, dla którego moje opinie mogłyby się zgadzać z opiniami hr. Leona Tołstoja. A niech mię nikt nie posądza o z góry powzięte uprzedzenie względem autora, którego niezrównany talent uwielbia nie tylko cała Rosya, ale również cała cywilizowana Europa. Jeżeli rad jestem, że dzięki panu M. Ursinowi mam prawo, bez narażenia się na śmieszność wytknąć linią porównawczą pomiędzy swoją myślą i działaniem, a myślą i działaniem hr. Leona Tołstoja, to właśnie dlatego, że uważam go za jedną z największych potęg literackich Rosyi, i jedną z pierwszych Europy. To też nie podobna mi oprzeć się pokusie, by nie cofnąć się na chwilę do zasadniczej podstawy poglądów hr. Leona Tołstoja, by nie rozpatrzyć się w gruncie, z którego wyrósł

ten olbrzym niezwyklej miary, by nie rzucić okiem na owoce jego pracy i na podstawie tych czynników nie porównać jego poglądów z mojami poglądami, jego działania z mojem skromnem działaniem, jego potężnego wpływu z moją ciężką walką o zdobycie tego wpływu. Przeprowadzenie takiego porównania, będzie mogło najlepiej wykazać nietylko faktyczne wzajemne oddziaływanie na siebie rosyjskiego i polskiego społeczeństwa, ale wskaże nam niewątpliwie obowiązki, jakie ciąży pod tym względem na obydwóch tych narodach. Nie mam bynajmniej zamiaru imać się teoretycznych wywodów, udowadniających historycznie i dogmatycznie prawdy zasad katolickich. Dla katolika nie podlega ta prawda najmniejszej wątpliwości, a cała ogromna literatura dogmatyczna i historyczna, ciągnąca się od samego początku chrześcijaństwa dostatecznie i wyczerpująco wyjaśnia tą kwestyą. Ze strony rosyjskiej udowodnioną została nie jeden raz prawda katolicka, nietylko przez tych Rosyan, którzy dotknięci łaską Bożą, złączyli się z katolickim Kościołem, jak przez księdza Szuwałowa, księdza Gagarina i innych ale również znakomicie udowodnioną została ona przez współczesnego nam Włodzimierza Sołowiewa.

Powtarzam, że tym razem nie myślę sięgać w głąb prawd dogmatycznych, a zamierzam ograniczyć się tylko do rzucenia okiem na owoce praktyczne, cywilizacyjne, osiągnięte w dwóch tych społeczeństwach słowiańskich, przez dwóch pisarzy, którzy zdaniem pana M. Ursina, obydwaj za podstawę działania i rozwoju społecznego przyjęli chrześcijaństwo, bo po owocach ich poznać je. Powiedziałem już, że walka porównawcza niesłychanie nierówna. Z jednej strony olbrzym, jakoby drugi Goliat, trzęszący sumieniami i myślami stu-milionowego rosyjskiego narodu, a w każdym razie

sumieniami i myślami tych wszystkich ludzi, którzy w Rosyi umieją myśleć, którzy pragną jasności sumienia, którzy pragną światła prawdy — olbrzym będący własnością nie tylko Rosyi, ale całej myślącej i czującej ludzkości. Z drugiej strony, nawet nie Dawid, ale po prostu karzeł, wygwizdywany przez swoich najbliższych, potępiony, zdekretowany na śmierć przez wszystkie odcienia polskiej opinii publicznej, ścigany, przedrzeźniany, wyszydzany przez całą polską inteligencją, nieznanany nikomu poza szczupłym kółkiem swoich przyjaciół i nie wiele szerszym kołem nieprześląganym zawziętych wrogów swoich, we własnym swoim narodzie. Parę niezależnych intelligencji w społeczeństwie rosyjskiem, nieprzyćmionych narodową zawiścią, o to cała zdobycz jego poza granicami polskiego uznania i polskiej nienawiści. Nie dziwota, że w tych warunkach rzeczywista działalność tego karła, musiała się skurczyć do prawdziwie liliputowych rozmiarów, a właściwie mówiąc, do granic własnego swojego majątku i własnych swoich sąsiedztw. W tych skromnych rozmiarach jednak, nie zerwawszy bezpośredniego związku z moralną pracą całej cywilizowanej ludzkości, bo nie rozluźniwszy swojej wiary w powszechny katolicki Kościół Chrystusowi, zdołałem za łaską Bożą wejść w życie czynne, w życie pracy skierowanej, w łączności z otaczającym mnie społeczeństwem, do celów, będących celami i potrzebami naturalnymi zarówno tegoż społeczeństwa, jak potrzebami państwa, którego granicami określiłem jest naturalne pole dla posiewu i zbierania owoców tej pracy. Prawda Chrystusowa wdrożona w moje serce przez naukę Kościoła katolickiego nie popchnęła mnie do szukania obowiązków społecznych poza potrzebami i obowiązkami otaczającego mnie społeczeństwa.

»A niech się uczą y naszy w dobrych uczynkach przodkować na używanie potrzebne: iżby nie byli nieużytecznymi.«

W tych słowach świętego Pawła wyrzeczonych w rozdziale III. listu do Tytusa, mieści się cała socyalna filozofia chrześcijaństwa, prowadzonego po drodze prawdy przez nauczający Kościół katolicki, pod głową nieomylną Ojca świętego. A wie o tem każdy katolik, że dobrze czynić, to nie znaczy pędzić życie w nieustannej adoracyi swojej własnej umysłowej i moralnej wyższości, to nie znaczy robić ze swoich myśli, ze swoich doświadczeń, ze swoich badań najwyższego sędziego złego i dobrego, najwyższego ustawodawcę obowiązków względem teraźniejszego życia i przyszłego rozwoju ludzkości, ale to znaczy, wykonywać sumiennie prawa i przykazania Boże, to znaczy oddawać się jednemu z pierwszych wyroków Bożych objawionych ludzkości po upadku pierwszych rodziców w słowach: *»w pocie czoła pracować będziesz«*. Jeżeli zaś kto chce spełniać ten obowiązek dobrze, jeżeli i w tym kierunku chce przodkować na *używanie potrzebne*: iżby nie był nieużytecznym, to nie może urządzić sobie jakiejś teatralnej parodyi pracy osobistej, nie związanej żadną nitką, z *używaniem potrzebnem* ludzkości i ograniczającej się do śmiesznej komedyi pracy, nie przynoszącej najmniejszego pożytku ani poparcia dla pracy i wysiłkom otaczającego nas społeczeństwa. Jeżeli kto chce tą pracą być użytecznym dla społeczeństwa, to nie może zapominać o przestrodze św. Piotra apostoła w liście pierwszym do Rzymian:

»Bądźcież tedy poddani wszelkiemu ludzkiemu stworzeniu dla Pana: chociaż królowi, jako przewyższającemu, chociaż starostom przezeń posłanym ku pomście złoczyńców a ku chwale dobrze czyniących.«

To też zasady tej nigdy się nie wyparłem i nie wyprę, bo w niej tkwi gwarancja ładu społecznego, w niej obrona pracy ludzkiej przed złoczyńcami. Zkąd mógł zaczerpnąć p. M. Ursin z moich pism przekonanie, że ja hołduję nonsensownej zasadzie hr. Leona Tołstoja niesprzeciwiania się złemu drogą gwałtu, t. j. pozabawiania rządu wszelkich środków obrony przeciw zewnętrznym i wewnętrznym napaściom, odmawiając mu prawa do utrzymania armii — tego absolutnie nie mogę pojąć. Gwałtem, brutalną siłą oręża nie można apostołować prawdy i dobra moralnego, nie można nakłaniać ludzi do porzucania błędnych i fałszywych pojęć czy to z dziedziny religii, czy z dziedziny wiedzy. Przeciwnie, wcielającemu się w czyny karygodne, naruszające prawa osób trzecich, niszczące owoce pracy społecznej, nie tylko może, ale musi się bronić każde społeczeństwo siłą brutalną, siłą bagneta i szabli. Utrzymanie miary ścisłej sprawiedliwości w tym względzie zależy od właściwego pociągnięcia granicy pomiędzy sferą duchową, moralną, a pomiędzy sferą faktyczną złego i występku, jednym słowem pomiędzy chociażby błędnymi przekonaniem i pojęciami, a pomiędzy usiłowaną zbrodnią zakłócającą w większej lub mniejszej mierze porządek i spokój społeczny. Powtarzam, że używania gwałtu przeciwko złu, manifestującemu się przez gwałt, albo zmierzającemu, wprost do wywołania gwałtu nie tylko nigdy nie uważałem za niewłaściwe, ale przeciwnie, za wielki uważałem to błąd, a nawet grzech rządu, jeżeli nie umiał on szybko i energicznie użyć siły zbrojnej tam, gdzie zewnętrzny, uliczny porządek publiczny został świadomie naruszonym. To też w zupełnem przeciwieństwie do hr. Leona Tołstoja, nie tylko że zarzucałem moim współrodakom, iż za mało dbają

o służbę wojskową w Austrii, ale co więcej — pomimo tego, że jestem austriackim poddanym — uważam sobie to, że prawie wszyscy służący moi i nawet włościanie, zostający ze mną w bliższych stosunkach, są wybornymi żołnierzami i najczęściej podoficerami wracają do Łoniowa po ukończeniu rosyjskiej służby wojskowej, za jeden z najsilniejszych dowodów, właściwie obranego systemu mojej pracy społecznej, a w każdym razie za dowód nie słabszy od innych praktycznych jej owoców, jakoto niesłuchanie skutecznej walki z pożarami, z wyzyskiem żydowskim i t. d. Dziś po blisko 30-letniej działalności doszedłem do tego, że żyję w pośród ludu niesłuchanie mi życzliwego, podnoszącego się w zamożności, mającego bardzo zdrowe i uczciwe poglądy na obowiązki i potrzeby życia, na stosunek ręcznej pracy do pracy umysłowej i kierowniczej; dziś również doszedłem do tego, że z zupełnej ruiny, w której objąłem rodzinny mój majątek we wszystkich kierunkach podniosłem go i wytworzyłem mu tyle źródeł dochodów i takie drogi do postępu, że z pewnością ani moje życie, ani życie moich synów nie wystarczy na to, żeby wyzyskać skutecznie wszystkie gałęzie gospodarstwa, które już dziś puściły swoje konary.

Działalność ta moja nietylko nie słabnie ale zatacza sobie roraz to szersze koła wpływu na sąsiadów i przyjaciół. Na czem szczegółowa działalność ta polega, już o tem tyle się w życiu napisałem, że nie myślę się tu powtarzać, kto ciekawy niech zajrzy do wydanej w Warszawie broszurki p. t.: »W sprawie kredytu włościańskiego«, za którą uznanie dostało mi się ze strony rosyjskiej opinii nietylko w publicznym artykule »*Warszawskiego Dniwnika*«, ale nawet w całym szeregu listów od redaktora jednego z rosyjskich pism peters-

burskich. To pewna, że dziś już system mój sypie na wszystkie strony chojną ręką owoce i siew przyszłości i nie on jest jakąś abstrakcją przeprowadzoną sztucznie, przez pakowanie gwałtem w pewną doktrynę pseudo praktycznego jej urzeczywistnienia, ale jest żywą i bujną latoroślą istniejącego i rozwijającego się społecznego organizmu, łączącą się z nim wszystkimi swojemi sokami i zasilającą go niemi na odwrót ze stokrotnem procentem.

Trudno mi nie wspomnieć, że o ile mi wiadomo, hr. Leon Tołstoj do zupełnie innych w swoim zakresie doszedł owoców. Tak samo jak ja, tak samo zresztą jak każdy człowiek, który szczerze pragnie wprowadzić w życie społeczne, wykołysane w swojej duszy ideały, musiał oczywiście hr. Tołstoj ścisnąć także swoje działanie rzeczywiste do zakresu szczupłego i ściśle określonego.

Niestety nie mając rzeczywistej moralnej łączności z duchową i ekonomiczną pracą całej pracującej, cywilizowanej ludzkości — związek ten bowiem nie może istnieć poza powszechnym Kościołem Chrystusowym — nie słyszał on w swoim sercu brzęących nieustannie słów: *«A niech się uczą y naszy w dobrych uczynkach przodkować na używanie potrzebne: iżby nie byli nieużytecznymi»*.

Skupił on swoich w około siebie, ale skupił na to, by nie tylko byli nieużytecznymi, ale by przodowali w pracy na niepotrzebne używanie, i zamiast stworzyć kolonią pracowników, wywołał on tworzenie się schronisk dla rozczochranych nieużytecznych maniaków, którym komedia bezcelowego udawania pracy, wystarczała do zabicia nudy życia codziennego, będącego poprostu źle zamaskowanem, zorganizowanem próżniactwem.

Oto jest strona dekoracyjna przybytku tego nowego chrześcijaństwa Tołstojowskiego, które z chrześcijaństwem ma chyba jedną wspólność w zuchwale uzurpowanym szyldzie. Jeżeli ślad tej sławnej pracy ekonomicznej nie przedosłał się nigdy poza granice kolonii Tołstojowskich, to za to płynęła teoretyczna Tołstojowska ewangelia bystro, rozlewając się szerokim łożyskiem po rosyjskich bagnach i stepach. Od rosyjskiego genialnego moralizatora dowiaduje się naród rosyjski, że nie powinien mieć armii do obrony swojej ojczyzny, że nie powinien mieć rządu i całej jego biurokracyi, że nie powinien mieć Kościoła i całej jego hierarchii, że jedynym światłem, jedynym kierownikiem moralnym stumilionowego narodu powinien być hr. Leon Tołstoj z chorobliwymi swojemi pojęciami, ze swoją niewiarą do wszystkiego czego ręka dotknąć, czego rozum objąć nie może.

A ta Tołstojowska inteligencya, to jego apostołstwo to jedyny, prawdziwy, duchowy związek z cywilizacją zachodnią, ale niestety z temi tej cywilizacyi suchemi konarami, które głośno skrzypią miotane zgniłemi wichrami pychy, ale które są zaprzeczeniem całej dziewiętnasto-wiekowej chrześcijańskiej cywilizacyi, które są kolebką ateizmu i anarchii ¹⁾.

¹⁾ »P. Skwarcow — mówi *Świat* w Nr. 342 — podał nowe całkiem szczegóły o występnej propagandzie tołstojowsko - anarchistycznej, propagandzie rozpowszechnionej pośród duchoborów i zaszczepionej przywódzcy sekty, Piotrowi Warygin. W imieniu tego przywódcy »ubóstwianego Pietruszki« i pod kierunkiem ks. Chłkowa, oraz innych wyznawców zasad hr. Tołstoja, który utrzymuje bliskie stosunki z agitatorami, duchobory zorganizowali antypaństwowe stowarzyszenie. Zcharakteryzowawszy nędzny żywot opornych duchoborów-nostików.....« »p. Skwarcow oświadczył, że brzemień odpowiedzialności moralnej przed ojczyzną i ciemnymi masami szalbierzy, spada na sumienie bohaterów dramatu »duchoborców« księcia Chłkowa i Czertkowa, a przedewszystkiem na serce i sumienie głośnego, a utalentowanego pisarza rosyjskiego, hr. Tołstoja. Dramat zaś polega na doprowadzeniu duchoborów do ostatecznych granic anarchii i fanaty-

Pytam się teraz, czy można się dziwić, że prawie rok za rokiem setki najgorętszych, najszlachetniejszych umysłów młodzieży rosyjskiej, zamiast wchodzić w życie obywatelskie i stanowić w niem zadatek postępu ku dobrem i wspaniałym ideałom ludzkości, wpada w pół drogi w pułapkę agitatorów i anarchistów i zapędzoną jest w dalekie, bezpłodne, jałowe stepy Sybiru.

Pytam się gdzie ta biedna młodzież znajduje moralne oparcie wśród strasznych walk, które stacza każda szlachetna dusza młodzieńcza ze swojemi namiętnościami i z pychą swojego rozumu? Gdzie ma ona znaleźć wzmocnienie i podporę? Czy może w tym oficerze kozackim, który nahajką przypomina jej obowiązek szanowania publicznego porządku? Czy może w tych przez p. Bolesławskiego odszukanych niepospolitych umysłach, czy może u tych rozległym wykształceniem obdarzonych filozofów: u p. Pobiedonoscewa i p. Danielewskiego, u tych dwóch wybitnych wyobrazicieli doktryn i kierunków prawosławia? Nie miałem sposobności zapoznać się z poglądami p. Danielewskiego, ale znam główne rysy poglądów moralnych p. Pobiedonoscewa i dlatego pytam się co, może ta biedna młodzież znaleźć u nich za inne umocnienie serca, umysłu i sumienia jak znowu w ostatniej linii tą nieszczęsną kozacką nahajkę? Młodzieńcowi stojącemu na rozdrożu — szarpalnemu straszną walką między tem co serce jego jest w stanie objąć, a tem czego objąć nie może, a więc pomiędzy żądzą, pomiędzy namiętnością, którą może on objąć sercem, bo go rozsadza bo go pcha, bo zmusza go do zadowolenia fizycznych huci; a między tem czego objąć nie jest w stanie, a więc między moralnym obo-

zmu, do znękania mas bezcelową walką z prawem i władzami i do zupełnego zachwiania dobrobytu materialnego.« — (Nr. 11 *Słowa* 1899).

wiązkiem opanowania i zgnębienia wolą złego, bydlęcego, ale naturalnego popędu serca; młodzieńcowi stojącemu na rozdrożu pomiędzy tą wygodną filozofią nie dokuczania sobie samemu, nie hołdowania obowiązkom i pojęciom, które wychodzą poza mozgowe objęcie, poza dotykalne sprawdzenie; a pomiędzy nauką miłości i prawdy, nauką pędzącą duszę nieśmiertelną w sfery nieśmiertelnej myśli Bożej, nauką wskazującą mu szczęście ducha w cierpieniach i przeciwnościach prowadzących go do doskonałości i prawdy — temu to młodzieńcowi powiada p. Pobiedonoscew, że to *»w co dusza wierzy«* jest równorzędne z tem *»co umysł jest w stanie objąć«*, że jego ideałem najważniejszym, patryotycznym jest *»wiara narodowa w swojego rządcę«* ¹⁾.

Dowiaduje się on więc, że poza swoim rządcą t. j. poza policją własnego swojego narodu, tak samo jak poza tem co umysł jest w stanie objąć, nie ma on nic do wierzenia, że *»trzeba, aby każdy mógł tak wierzyć, jak mu to przyrodzonym«* ²⁾.

To też ta biedna dusza albo wpada w ten najgrubszy materyalizm, nieuznający ostatecznie nic wyższego od państwa i jego rządcy, albo protestuje gwałtownie przeciw tej ciasnej klatce szlachetnych pragnień duszy, a instynktowo czując, że prawda nie jest własnością jednego narodu, ale jest wspólnym skarbem ludzkości, kruszy w swoim sumieniu ten ciasny zlepek nazwany urzędowym kościołem i rzuca się całą siłą duszy i serca w morze wszechludzkiej cywilizacyi. Niestety krusząc skorupę kościoła narodowo-policyjnego odrzuca ten biedny umysł jednocześnie pojęcie Kościoła wogółności, i zamiast szukać łącznika z resztą ludz-

¹⁾ Mowa wypowiedziana w lecie 1895 r.

²⁾ Die wichtigste Streitfragen der Gegenwart (str. 20.).

kości w opoce Piotrowej, puszcza się on na fale wszechświatowych mętów i łączy się sympatjami swojemi ze wszystkimi rewolucyjnymi i anarchicznymi żywiołami cywilizowanej ludzkości. Mazzini i Garibaldi, Tołstoj Renan i Brandes stają się jego duchami opiekuńczymi, nie dlatego, iżby odczuł i odszukał w nich prawdę, ale jedynie dlatego, że są oni malkotentami z istniejącego rzeczy porządku, a ten istniejący porządek, bez względu na geografią, identyfikuje się w umyśle młodego Rosyanina z Kościołem urzędowym i kozacką nahajką.

W ten sposób najpiękniejsze dusze i serca, najdrogocenniejsze zadatki i nadzieje przyszłości Rosyi, stają się nietylko dla niej bezwartościowemi, ale co gorzej stają się dla niej i dla całego zdrowego rozwoju społeczeństwa ludzkiego nieustającą groźbą, nieustającą plagą wiszącą nad głowami rządu i społeczeństwa. A inaczej dźiać się nie może, dopokąd rząd nie zdecyduje się na dokładne rozgraniczenie, dokąd rozciąga się jego obowiązek utrzymywania choćby brutalną siłą materialnego porządku społecznego, a odkąd zaczyna się prześladowanie brutalne sumienia, przekonań i wiary. Nie może dźiać się inaczej, dopokąd system rządowy nie przestanie szerzyć rozmyślnej demoralizacyi wśród społeczeństwa polskiego, które z natury swojej powinno być przewodnikiem prawdy, wiary i zachodniej cywilizacyi dla rosyjskiego społeczeństwa, a tylko przez walkę wytoczoną katolicyzmowi i przez osłabienie katolickiej prawdy i moralności w sercach, przez rozmyślną ich deprawacyą przeprowadzaną przez rząd systematycznie, staje się ono ofiarą tychże samych rewolucyjnych mętów, które zanieczyszczają społeczeństwo rosyjskie, jak się to n. p. najlepiej okazuje na cytowanej powyżej broszurze p. Lutomira Bolesławskiego.

Rezonuje się dużo o Słowiaństwie i w Rosyi i w Austrii. Oby Bóg dał, żeby sprawa Słowiańska przestała mieć raz przecie takich reprezentantów jak p. Komarów z rosyjskiej, a p. Alfred Szczepański z polskiej strony. Oby Bóg dał, żeby uczciwe głosy mogły dojść aż do tronu najpotężniejszego słowiańskiego monarchy. Oby znaleźli się wreszcie uczciwi ludzie i objaśnili monarchę tego olbrzymiego państwa, że to co się w Polsce dzieje od lat trzydziestu kilku, jest to wojną wypowiedzianą wszelkiej sprawiedliwości, wszelkim ludzkim szlachetnym uczuciom, wszelkiej moralności, wszelkiej uczciwości, wszelkiej prawdzie! Oby ten monarcha, który wzywa dziś wszystkie cywilizowane państwa do ograniczenia okropności wojny, raczył narazie zażegnać stokroć gorsze, stokroć wstrętniejsze okropności wojny, wypowiedzianej wszystkim uczciwym uczuciom i dążeniom Polaków, wojny wypowiedzianej i prowadzonej z nieugiętą konsekwencyą do wytępienia w polskim społeczeństwie moralności chrześcijańskiej i do powalenia Chrystusowego Kościoła powszechnego, zbudowanego na Piotrowej opoce. Niema jednej potrzeby czy to w społecznej, czy w moralnej czy w ekonomicznej dziedzinie narodowego życia, w którą dzisiejszy system rządowy nie godziłby sztyletem faryzeizmu, obuchem siły brutalnej i trucizną zepsucia moralnego. Nie na to propaguje się szkoły w pośród ludu, by go podnieść, rozwinąć i uszlachetnić, ale wyłącznie na to, żeby na-przeciw umoralniającego wpływu proboszcza, postawić jako antidotum wpływ pierwszego lepszego idyoty nauczyciela wiejskiego, którego jedyną zasługą, jedynym tytułem do nauczycielstwa jest jego nicość moralna nadająca się do zrobienia z niego narzędzia do powolnego wydzierania z serc i sumień biednych dzieci przy-

wiązania do katolickiego Chrystusowego Kościoła, kazania i wydzierania im z piersi znajomości mowy ojczystej i wdrożenia w słabe ich umysły pojęcia, że najważniejszym ze wszystkich obowiązków moralnych jest wiara w cesarza; w Pana Boga zaś tylko o tyle, o ile Kościół Boży ślepo da się kierować rozporządzeniami gubernatorów, żandarmów i uradników.

Najpotężniejsze umysły Rosyi, całemi latami nad tem tylko myślą, jak zniweczyć wpływ biskupów na seminarzystów, jak doprowadzić seminarya do tej doskonałości rosyjskiej idei państwowej, żeby katolicki ksiądz nie słuchał ani Papieża, ani swojego biskupa, ani swojego dziekana, ani swojego sumienia, ale żeby szedł ślepo za skinieniem żandarma lub strażnika ziemskiego.

Co się dzieje ze sprawiedliwością w tym biednym kraju, to aż włosy stają na głowie. Morduje, bije, katuje wbrew prawu, policya biedną ludność w Krozach. Sprawa oddana pod sąd. Najpierwsi adwokaci petersburscy podejmują się obrony tych biedaków, proces wykazuje szalone gwałty i nadużycia administracyi, i... skazani są ci biedacy skatowani, a nikt nawet nie pomyślał, by pociągnąć do odpowiedzialności tych bezprawnie katujących sprawników i gubernatorów i należycie ich ukarać.

Przez cały szereg lat p. Kiryzenko, dyrektor policyi w Radomiu, ma stałą spółkę ze wszystkimi złodziejami z całej guberni i... skazanym jest na 8 miesięcy więzienia, z którego uwalnia go amnestya! Pan Hermann, będąc naczelnikiem powiatu Opoczyńskiego dopuszcza się niesłychanych nadużyć, polując gdzie może na łapówki, prokurator zbiera ogromny materyał dowodowy, trzystu świadków zaprzesięga prawdę potępiających go faktów i... sąd daje mu naganę za nie-

dozór i uwalnia go zupełnie od kary! O tak! gdyby pan Kirycczenko lub p. Hermann byli Polakami, katolikami, to z pewnością wynalazłoby się było stósowny artykuł *swodu zakonów*, na którym możnaby było oprzeć skazanie ich do ciężkich robót na jakie piętnaście lub dwadzieścia lat, ale jakże można za to karać urzędnika Rosyanina, że wysysając polskie kieszenie, tępi polską intrygę? Przecież go tylko poto i to wyłącznie poto posłano do *prywińslanskiego kraju*! Ale czyż nie należałoby było chociażby dla samej przyzwoitości wytoczyć procesa o krzywoprzysięstwo tym trzystu świadkom, którzy przysięgą stwierdzili niewątpliwe, ohydne zbrodnie tych panów, tych pionierów wschodniej cywilizacji, tych reprezentantów rosyjskiej idei państwowej?

Dla nas ta idea nie na czem innem polega jak na niestannem tworzeniu coraz to nowych synekur, w coraz to nowych gałęziach biurokracyi, bez innego celu jak zapewnienia, do żadnej produkcyjnej pracy niezdatnym synom wielkiej rosyjskiej ojczyzny, prawa do pobierania z polskich kieszeni grubych pensyi i grubszych jeszcze pobocznych dochodów.

Proszę pojechać na ten wschód, którego wrota otwarły się teraz na oścież dla przemysłu rosyjskiego. Wre tam od pracy i zapobiegliwości; jak z pod ziemi wyrastają kopalnie i fabryki, spotkasz tam Anglików, Belgijczyków, Francuzów, Włochów, Niemców, Polaków ale... ani jednego Rosyanina. Bo Rosyanie mają ważniejsze zadanie pracowania nad urzeczywistnieniem idei państwowej, wydzierając złodziejstwem lub rozbojem ciężko zapracowany grosz przez polskiego producenta. Od nich przecie zależy czy zrujnować kupca lub obywatela niedopuszczeniem sprzedaży lasu, od nich zależy decyzya, czy jest w lesie ta pocziwa mniszka

lub jej nie ma. Co robią np. inspektorzy kotłów parowych, miałem sposobność osobiście się przekonać przez lat kilkanaście dopokąd miałem młocarnią parową. Zjawiał się co roku lub co 3 lata inspektor, ale w ciągu kilkunastu lat zrobił raz tylko jakąś komedią próby, za pośrednictwem popsutego aparatu. Zresztą zdolność maszyny parowej do służenia z zupełnem bezpieczeństwem bez reperacyi na 3 lata lub na rok, zależała wyłącznie od tego czy p. inspektor otrzymał 25 rubli czy też 10 rubli. Powtarzam, że z jedynym tym wyjątkiem jakiejs parodyi próby, nigdy żadne rewizye lokomobili nie były przedsięwziętami. Jednego najuczciwszego, najprostszego kroku nie można zrobić bez posmarowania zardzewiałych trybów biurokratycznej rosyjskiej maszyny. Na parafialnym kościele w Łoniowie, w moim majątku, podziurawił się dach żelazny, leżący już co najmniej z jakie lat 50. Do kościoła zaciekało, parafialne więc zebranie uchwaliło na wiosnę roku przeszłego tysiąc kilkakaset rubli na nowe cynkowe pokrycie dachu. Rzecz była pilna, bo przy dłuższym zaciekaniu może i wiązanie zacząć gnić. Blacharz podał swoje warunki, ale uchwała poszła do zatwierdzenia władz. Niestety wiadomo, że w urzędach robi się zazwyczaj tylko o tyle *»o ile się da«* a ponieważ nic się nie dało, bo prezesem dozoru kościelnego jest wójt, włościanin, więc też papiery tak szczęśliwie ugrzęzły, że doczekaliśmy się już drugiej wiosny, a decyzja nie nadchodzi; ale zato nadeszło podwyższenie cen blachy cynkowej o $\frac{1}{3}$ tak, że teraz nie wystarczy już suma uchwalona w roku zeszłym. Co się działo w sądzie gminnym dopokąd sędzią był pan Petrow, właściciel donacyi na Dziekach, to trudno nawet opowiadać, bo mogłoby się być posądzonym o przesadę. Nie przeszkadzało to jednak temu, że

władze administracyjne wszelkich używały sprężyn, by wybór jego aż przez 3 kadencye przeprowadzać. Trzeba było wreszcie niesłychanych skandali, by władze odstąpiły od protegowania nadal jego wyboru, co jednak nie pociągnęło bynajmniej za sobą oddania go w ręce sprawiedliwości. Ale przecież rosyjska idea państwowa nie może pozwolić na sądenie człowieka, będącego właścicielem donacyi, mającej obszaru ze 6000 morgów, za to, że będąc sędzią gminnym w *»prywinslanskim kraju«* *»potrzebował«*, jak mówią chłopci. A przecież takich potrzebujących znaleźmy także i wyżej, między bardzo poważnymi patryarchami idei państwowej. Bo na tem *»potrzebowaniu«* zasadza się wyłącznie wielka idea państwowa Rosyi. Dla tego potrzebowania wygania się ze wszelkich rządowych i publicznych instytucyi choćby najbardziej uzdolnionych Polaków, dla tego *»potrzebowania«* wciska się język rosyjski nawet do instytucyi, właściwie mówiąc zupełnie prywatnych, jak towarzystwo kredytowe ziemskie, dla tego potrzebowania gna się jak dzikie zwierzęta nieszczęśliwych Polaków, ze wszystkich prawie posad na kolejach żelaznych w Królestwie Polskiem, by obsadzić je *»potrzebującymi«*, a więc oddanymi idei państwowej Rosyanami, którzy już doprowadzili do tej doskonałości pewność kolejowego ruchu, że wypadków jest w Rosyi na kolejach 10 razy tyle jak na całym cywilizowanym świecie, a w towarowym ruchu popełniają się ciągle rozboje i grabieże, na które naturalnie zarówno zarząd kolei jak policya z zupełną patrzy obojętnością, bo przecież i te opiekuńcze duchy także *»potrzebują«*, a więc byłoby z ich strony rzeczą zupełnie nietaktowną wchodzić w drogę innym *»potrzebującym«*.

Nie ma się pojęcia, jaka panuje obojętność policyi, na wszelkie występki popełnione na mieniu, czci lub zdrowiu szlachty polskiej. Jeden z moich znajomych, pan Rupniewski, wezwany był przez swojego sąsiada na świadka w sprawie nieprawego wypasania łąki przez jednego z włościan. Włościanin przegrał sprawę. W parę tygodni później wracając w czarną noc z sąsiedztwa, napadniętym on został na moście przez tegoż chłopą i jego syna. Najprzód dostał w głowę pałą furman, gdy zaś złoczyńcy przekonali się, że pan Rupniewski nie sam powozi, dali mu parę silnych razów w głowę, tak, że stracił przytomność i spadł z wózka. Wkrótce turkot jadącego powozu spłoszył złoczyńców i uratował życie panu Rupniewskiemu. Pytam się czy wszystkie względy nie powinny były pobudzić policyi, chociażby nawet policyi tajnej, do zebrania dowodów winy zbrodniarzy, tem bardziej, że z góry się wiedziało, iż napadu nie mógł kto inny się dopuścić, jak skazani za szkodę chłopu na mocy zeznania pana Rupniewskiego? Czyż taka bezkarność nie zachwiewa w ludności poczucia prawa i powagi rządu, będącego stróżem porządku i bezpieczeństwa publicznego? Czyż bezkarność ta nie niweczy swobody sądów, rzucając grozę na świadków, powołanych do świadectwa w sprawach szkód i złodziejstw chłopskich? Czy bezkarność taka nie demoralizuje całej ludności? Czy nie obniża poczucia szacunku dla rządu? Czy nie wdraża w chłopą pojęcia, że rząd rosyjski sprzyja wszelkim złodziejstwom i rozbojom chłopą, jeżeli tylko wymierzone są przeciw dziedzicowi, przeciwko szlachcicowi polskiemu? To pewna, że gdyby taki napad był się zdarzył na naczelnika powiatu, a chociażby na strażnika ziemskiego, to z pewnością już na drugi dzień byłaby w ruchu cała policja i żandarmerya, to z pe-

wnością zażądano by z Warszawy agentów tajnej policyi, którzy potrafiliby wyciągnąć od zbrodniarzy przyznanie się do winy. Ale rozbój dopełniony przeciw szlachcicowi polskiemu, to przecież tylko akt walki wiernego cesarzowi ludu przeciwko polskiej intrydze! Policya ma przecież daleko ważniejsze sprawy do załatwiania, od których zależy bezpieczeństwo i całość państwa rosyjskiego i pomyślność rosyjskiej idei państwowej w *»przemyślanskim kraju«*, jak naprzykład dociekanie czy przypadkiem nad jakim łóżkiem niema obrazka Matki Bożej z Sercem Jezusowem, lub czy przypadkiem na jakich piersiach niema ukrytego medalionika Najświętszej Panny z tymże potępionem przez policyą Sercem Jezusowem. Ależ bo Serce Jezusowe, to Jezuicka intryga! to rewolucya przeciw wierze w ubóstwionego cara Rosyi!

Właścicielowi majątku, jeżeli jest obcokrajowcem, nie wolno zostać prezesem ani członkiem dozoru kościelnego, bo całość i bezpieczeństwo Rosyi byłoby na szwank narażonem! Nie wolno mu również zostać członkiem komitetu utrzymującego i reperującego ochronne wały wiślane, chociażby przez ćwierć wieku złożył był dowody swojej prawomyślności. Ale chłopu, który będąc wójtem przed kilkunastu laty, zdefraudował na spółkę z pisarzem gminnym 400 rubli, nie przeszkadza ta drobnotka nic do wyboru na członka komitetu wałów ochronnych, bo oczywiście musi on zasługiwać na zupełne zaufanie publiczne, skoro *»potrzebował«* a więc dał dowód, że nie idzie za jezuickimi subtelnościami sumienia i intrygi polskiej!

Ale niech ten nieszczęśny paryas, ten dziedzic obcokrajowiec lub jego rządca, poważy się n. p. złapać na złodziejstwie ryb w jeziorze, strażników karczemnych!

To dopiero będą się na niego sypały najgłupsze, najnonsensowniejsze denuncyacje n. p., że sprowadzają austriackich oficerów na polowania, że wydają im plany pogranicza, że buntują lud przeciw rządowi i t. d.

Naturalnie, że zaraz cała machina żandarmsko-administracyjna wprowadzoną zostaje w ruch, śledztwa sypią się za śledztwami w najrozmaitszej formie, po pół roku nareszcie skonstatowanem zostało, że denuncyacya fałszywa, ale żadnej z władz nie przyszło na myśl, żeby pociągnąć do odpowiedzialności denuncyantów, pomimo tego, że charakter pisma na denuncyacji wskazywał stanowczo jej sprawcę. Ale za to, co to za żniwo dla rozmaitych *»potrzebujących«* co za gratka, jeżeli przedmiotem denuncyacji, wystósowywanych przez złodziei lub szkodników, jest np. rządca, austriacki poddany, starający się o rosyjskie poddaństwo! Co to wówczas za chroniczny stan administracyjnych śledztw, co to za żniwo na furki siana, słomy, lub korczyki owsa! I znowu dziwna rzecz, że chociaż wszystkie te denuncyacje okazały się fałszywemi, chociaż rządca już od dwóch lat dostał poddaństwo rosyjskie i wykonał przysięgę wierności, to jednak nie może jako *»podejrzany«* otrzymać pozwolenia na broń, chociażby, dla obrony osobistej, gdy jedzie z podatkami do powiatowego miasta, lub dla palnięcia w łeb psu, gdy go w polu spotka. Ale darmo rządca ten jest strasznie niebezpiecznym dla rosyjskiej idei państwowej, bo gdy odbiera np. w Sandomierzu bilety na broń dla dziedzica i jego synów, to zamiast iść do niższego policyjnego urzędnika i odebrać je od niego po wsunięciu mu w łapę kilku rubli, on idzie wprost do naczelnika powiatu i oczywiście, że bez żadnych rubelków odbiera bilety. Ta i tej podobna oporność przeciwko rosyjskiej idei państwowej

przybiera najrozmaitsze formy i kształty, podług tego czy ten lub ów urzędnik jest pasjonowanym myśliwym lub nie, czy lubi zwierzynę, czy też może chowa drób, dla którego potrzebuje pośladów i t. p.

A ktoby mi nie wierzył niech sam n. p. spróbuje nie dawać rozmaitych łapówek panu poczmistrzowi, to przekona się dopiero jak awizacją na list rekomendowany otrzyma dopiero na drugą lub trzecią pocztę, jak listy rekomendowane wyprawiane przez niego leżeć będą nieraz po kilka dni, nim wyruszą w podróż.

Taki to jest stan faktyczny idei rosyjskiej w jej praktycznem zastosowaniu do polskich poddanych cesarza rosyjskiego. A przecież niemożliwą jest rzeczą, żeby naprawdę w swerach kierujących polityką i życiem rosyjskiem, w ten sposób pojmowano tą ideę państwową. Nie może być, żeby stan ten kilkunastu milionów polskich poddanych cesarza Rosyi, zgodnym był z samowładną wolą tego szlachetnego monarchy, który wyraźnie stwierdził zaufanie do szczerości uczuć polskiej ludności, który zniósł kontrybucyą na Litwie i Rusi, który powstrzymał obracanie w gruzy katolickich świątyń, który pozwolił ddawać publiczną cześć krzyżowi, temu godłu męki Chrystusa Pana i zbawienia rodu ludzkiego, który wyraźnie wyrzekł, iż nie wątpi: *że szlachta zawsze będzie jak była podporą tronu jego i że szczerze ceni pożyteczny i bezinteresowny jej udział w sprawach miejscowych*. Nie może być, żeby stan ten był zgodnym z wolą tego monarchy, który w szlachetnem poczuciu całej niepodzielnej odpowiedzialności, która na samowładnym monarsze ciąży przed Bogiem i potomnością za pomyślny i sprawiedliwy rozwój największego słowiańskiego państwa, zaraz po objęciu

rządów wyrzekł te wspaniałe słowa, że *chce szczęścia wszystkich swoich poddanych*.

Te prześladowania nieustanne, dotkliwe, moralne, te rozmyślnie szerzenie demoralizacyi, te grabieże i rozboje wykonywane systematycznie przez administracją rosyjską przeciw ludności polskiej, mogłyby się chyba porównać z nadużyciami tureckiej lub chińskiej biurokracyi, choć nie wątpię, że zarówno turecka jak chińska, mają tą przynajmniej wyższość nad rosyjską, że dbają tylko o zysk, lecz rozboju nie łączą z tem apostołstwem zgnilizny moralnej, które każdy prawie Rosyanin przybywający do Polski uważa za swój pierwszy patriotyczny obowiązek. Nie chcę wątpić, że znajdą się prawi, uczciwi ludzie w Rosyi, którzy jeżeli głos mój dosięgnie ich uszów, będą mieli odwagę ponieść go do stóp tronu. Oni powinni to zrobić, i to nie z czułości nad nędzą i nieszczęściami tego biednego społeczeństwa, któremu obcęgami wyrrywają nerw po nerwie z ciała, a trucizną niszczą wszystkie uczciwe struny duszy i serca! ale z obowiązku względem samejże Rosyi, i względem przyszłości Słowiańszczyzny. Nietylko jako Polak ale jako Słowianin nie przestanę wołać do społeczeństwa i monarchy Rosyi, że nie wolno im już ani jednego zrobić błędu bez narażenia przyszłości, ba nawet samego bytu zarówno Rosyi jak całej Słowiańszczyzny. Nie dufajcie we wielkość zajętych przez was obszarów ziemi, może ona być podwaliną waszej i wspólnej naszej wielkości, ale też może być również głównym powodem waszej politycznej słabości i ruiny Słowiańszczyzny.

Wy którzy ideę państwową rosyjską zasadzacie na przeczeniu Kościoła Chrystusowego i moralności chrześcijańskiej, spojrzycie co się stało z dzikimi plemiona-

mi Ameryki, jak musiały one krok za krokiem zanikać i ginąć wobec postępów groźnego, bezwzględniego plemienia anglosaksońskiego. A czyż odrzucając zuchwale jedyne źródło prawdy i siły, zamykając nieopatrznie oczy na światło wiary Chrystusowej, przechowanej w katolickim kościele, zasklepiając się w zamian za to w bałwochwalczej wierze, cara i w Rosyą, nie cofając się dla utrzymania tej wiary przed żadną podłością, przed żadną przewrotnością, czyż Rosya wiele różni się od tych biednych barbarzyńców, którzy zamieszkiwali pierwotnie bory i stepy Ameryki? Siłą jest prawda, a prawda nie może przyjść z żadną jak z Objawienia Bożego, i nie może przyjść do nas inną drogą jak za pośrednictwem Kościoła Chrystusowego, zbudowanego na opoce Piotrowej. Tylko ta Chrystusowa prawda Kościoła katolickiego może w każdej duszy ludzkiej połączyć dążenie do ideału, dążenie do Boga, do piękna i szlachetności, z obowiązkowością, z duchem porządku, prawa i patriotyzmu. Z Bogiem nie może się równać żaden żywy człowiek, żaden więc choćby był cesarzem nie może od nikogo żądać wiary w siebie. »Czcij ojca i matkę swoją« przykazał nam Bóg; wierzyć kazał nam tylko w Tróję Świętą, w powszechny Kościół katolicki i w życie wiekuiste.

Ta rosyjska wiara w cesarza, to prawosławne bałwochwalstwo sprawia, że w Rosyi marnują się najpotężniejsze umysły i serca; gorzej! bo nietylko marnują się, ale stają się zgubnem przeczeniem Boga, ładu społecznego i politycznego porządku.

Niech mię nikt nie pösądza o to, żebym lekceważył n. p. hr. Leona Tołstoja. Nietylko nie lekceważę go, ale uważam go za jeden z najpotężniejszych umysłów i za jedno z najgorętszych serc, jakie wydała Rosya, i myślę nawet, że on dziś może króluje w świecie umysłowym

Europy. Ale w tem właśnie jest niebezpieczeństwo, że jak się pokazuje, niema na świecie tak potężnej organizacji umysłu i serca, któraby się nie zdeorganizowała, gdy się przerwie jej związek bezpośredni z Bogiem, a związek ten musi zrywać się w Rosyi prawie zawsze, ilekroć wyższa dusza zapragnie światła prawdy i pokruszy skorupę prawosławnego fałszu wiary w cesarza. Szczególniejszej na to potrzeba dopiero łaski Bożej, żeby tą biedną duszę rzucić w objęcia Kościoła katolickiego, jak się to stało z księdzem Szuwałowem, z ks. Gagarinem, z ks. Tołstojem i innymi. Ale to są rzadkie wyjątki i to niestety wyjątki tak skrępowane drakońskimi prawami Rosyi, że nie mogą spuszczonego na nich źródła łaski Bożej dalej propagować wśród swojego społeczeństwa. Tak więc najszlachetniejsze dusze, wyrwane brutalną dłońią z narodowej rosyjskiej niwy, za ledwie modlitwą i przykładem poświęcenia się za prawdę, mogą mieć wpływ na rozwój rosyjskiego społeczeństwa. A przecież nieprawdą jest, żeby w tem społeczeństwie nie było pragnień prawdy, dobra i piękna. Pragnienia te są, ale oderwane od naturalnej swojej podstawy t. j. od Kościoła katolickiego i od uprawnionego przez Chrystusa Pana jego kierownika t. j. od Ojca świętego, błakają się one długo po bezdrożach i manowcach, aż wreszcie muszą albo zrezygnować ze wszelkich wyższych duchowych aspiracyi i uderzyć pokłon przed policyjną cerkwią prawosławną, albo też powiększyć chór protestujących duchów, które w zaprzeczeniu wszelkich istniejących instytucyi i w rozbiciu wszelkich społecznych węzłów, widzą jedyny środek zbawienia dla swojej ojczyzny i dla regeneracyi świata. Tak to odbywa się w społeczeństwie rosyjskiem bezustanna selekcyja społeczna, ale niestety, urządzona w ten potworny sposób, że

wybiera wszystkie jednostki, które tylko mają jakąkolwiek wartość moralną, i rzuca je albo w objęcia międzynarodowej anarchii, albo w lochy i kazamaty Sa-chalinu; zmateryalizowaną zaś do szpiku kości resztę, reprezentującą ogół społeczeństwa rosyjskiego, oddaje do dyspozycji carowi i prawosławiu, wcielając do tego patryotycznego zastępu wszystkie spodłone i znikczemniałe, plugawe okazy renegatów i zaprzęńców polskich. Odzywam się z całą świadomością swojego uczynku i z całą odpowiedzialnością, mogącą zań spaść na mnie, a odzywam się nie jako szaleniec, dający wyraz swojemu uczuciu zwątpienia, dla którego nie widzi ratunku ni wyjścia, ale jako człowiek, który całe swoje życie spędził w pracy rodzinnej, społecznej, narodowej, obywatelskiej, i któremu Bóg pozwolił dojść do świętych owoców tej pracy we wszystkich jej kierunkach. Te owoce radbym rzucić dziś na szalę przyszłości Słowiańszczyzny, bo jutro może być za późno; bo jutro, jeżeli Rosya i Polska będą dalej dawały światu przedstawienie wzajemnego pożerania się i gorzej jeszcze, bo pożerania własnych swoich trzewiów, to możemy się obudzić zalani powodzią germańską i anglosaksońską i uścisnąć się po raz pierwszy w szczerym, ale też i ostatnim uścisku, wspólnej niewoli i wspólnego niechybnego wynarodowienia.

Pamiętajmy, że może przyjść chwila, gdzie chcąc uniknąć tego tragicznego końca, wyteńczyć będzie musiała Słowiańszczyzna wszelkie moralne swoje i materyalne siły, a nie polską będzie to wówczas winą, jeżeli zabraknie Słowiańszczyźnie bohaterów z pod Samosiery, jeżeli zabraknie tych Kozietulskich, których — według szlachetnego i bezstronnego zdania jenerała Puzyrewskiego — konie zawsze naprzód ponosiły, a którzy pro-

wadzili za sobą zastępy pełne poświęcenia, zagonewej szlachty litewskiej, zastępy ogrzane miłością Boga i Ojczyzny i zwyciężające, albo niosące ochoczo śmierć za nią. Nie polską będzie winą, jeżeli w stanowczej chwili zabraknie Słowiańszczyźnie tych zastępów, których ziarno, w imię państwowej idei rosyjskiej, z korzeniem jest tępionem przez Murawiewów, Kochanowów i innych apostołów idei państwowej na smętnych łąkach Litwy i Polesia. Kiedyż Rosya potrafi stawiać w krajach Polski, Litwy i Rusi pomniki innym zasługom, niż rabowaniu kościołów, mordowaniu szlachty i księży, rozpędzaniu zakonów — i dawać inne świadectwa uprawnienia rosyjskiego panowania w dawnej Polski krainach, jak szubienicami i rabunkiem prywatnego mienia szlachty polskiej?

»Odsłonięty w dniu dzisiejszym w Wilnie pomnik hr. Michała syna Mikołaja Murawiewa« — czytamy w adresie rosyjskiego klubu w Warszawie — niechaj *uwieczni* imię wielkiego męża rosyjskiego i naucz młode pokolenie, jak należy z prawdą i wiarą w sercu służyć Monarchom i Ojczyźnie. Żelazna energia i rozum oświecony, połączone z niezłomną wolą, cechują tego *olbrzyma*, który na uprawianej przez się niwie wyrywał jedną ręką kłakol i chwasty, podczas gdy druga *sadziła krzewy* pożytku dla dobra i pomyślności powierzonego sobie kraju. Niżej podpisani Rosyanie mieszkający w Warszawie, przed oczy których staje w danej chwili duch, czy portret niezapomnianego hrabiego Michała, syna Mikołaja, w całej swej wielkości, składają wieniec jako hołd; wyrażony dla jego *zasług państwowych*.

Gdzież są te krzewy sadzone ręką olbrzyma, gdzież są te wiekopomne pomniki zasług państwowych, co zostało po nich na Litwie innego jak próchno z szubienic i gruzów z klasztorów i dworów szlacheckich?

Co zostało z tych zasług oprócz głosu wdów i sierót, wołającego o pomstę do nieba, oprócz wydartych szlachcie polskiej dworów, by rzucić je na łup, zgłodniałej i próżniaczkiej zgrai czynowników? Upadek stanu rolniczego oto jedyny żywy owoc pracy tego olbrzyma. *Świat* w Nr 277 r. 1898, podaje ciekawe cyfry, ilustrujące położenie finansowe stanu rolniczego w Rosyi:

»W guberniach Czarnoziemnych przyrost ludności nie istnieje« Liczba gospodarstw bezkonnych zwiększyła się według obliczeń z r. 1891 w 17 guberniach z 20·8⁰/₀ do 24·8⁰/₀«.

Oczywiście są to skutki parcelacyi, którą prowadzi się z największą zapamiętałością w imię interesu państwowego, której ostatecznym skutkiem musi się stać wcześniej lub później zupełny brak koni remontowych do kawaleryi. Ale idea państwowa będzie uratowaną! Tenże sam *Świat* konstatuje taki sam ubytek koni w Królestwie Polskiem, który zawdzięcza Królestwo, także założemu przez generała Hurkę, parcelacyjnemu bankowi włościańskiemu.

»Z liczby gospodarstw nowo powstających — czytamy w tymże Nrze *Świeta* — przeszło połowa koni nie posiada, a w guberniach Król. Polskiego ubytek koni równa się w wielu miejscach 11⁰/₀«. (*Słowo* Nr 259 r. 1898).

Rzeczywiście świetny to system, który zarówno niszczy źródła dla armii, najlepszego materiału w ludziach jak w koniach.

Nr 268 *Słowa* podaje nam: »ciekawe cyfry, dotyczące zmian zaszłych pomiędzy 1859 a 1895 rokiem. Zgromadził je i opracował p. Richter b. Dyrektor departamentów dochodów stałych«:

»Największą energią w sprawie utrzymania ziemi w swych rękach, wyróżnia się szlachta gubernij południowo-zachodnich i zachodnich«....

»W guberniach kraju zachodniego obowiązują specjalne przepisy, dotyczące własności ziemskiej; podatek procentowy zniesiony dopiero od lat dwóch, a kredyt w Banku szlacheckim dla właścicieli ziemskich pochodzenia polskiego dotąd nie dostępny«.

»Jeżeli w obec tego — powiadają *Nowosti* w Nr 304 — szlachta ujawniła największą energią w zatrzymywaniu ziemi w swych rękach, to jest to głównie następstwem nawyknienia szlachty miejscowej do osobistego gospodarstwa rolnego w swych majątkach, gdy w innych guberniach państwa szlachta osobiście gospodarstwa nie prowadzi, lecz oddaje się służbie państwowej«.

Co to za świetna zasługa względem idei państwa Rosyjskiego, wysadzanie z roli ludzi chcących i umiejących na niej pracować, dla oddania jej w ręce czynowników, siedzących w biurach powiatu, gubernii lub stolicy!

Podnoszę dziś głos w nadziei, że dojdzie on do uszu wszechwładnego monarchy Rosyi. Nie o łaskę, nie o konstytucyę ja proszę, ja wołam o sprawiedliwość, o ratunek zarówno Polski jak i Rosyi, o ratunek całej Słowiańszczyzny! Podnoszę głos z tą nadzieją, że głos ten trafi do serca wszechwładnego monarchy Rosyi, że nie zechce on, by potomność miała zapisywać w kronikach przyszłości, iż pomiędzy Wisłą a Żółtem morzem panował nad rosyjskimi ludami cesarz Mikołaj II, ale dając się nieopatrznie złapać na podstępnie zastawione na siebie sidła przez pruskiego swojego sąsiada, wyniszczył wewnętrzną walką dwóch słowiańskich narodowości, do tego stopnia społeczne siły ogromnego swojego państwa, że wreszcie pogrążone

w nieustających wewnętrznych walkach i zaburzeniach, podminowane zabójczym jadem moralnej zgnilizny, stało się ono łatwym łupem Niemców, Anglików, Turków, Japończyków i Chińczyków.

Podnoszę mój głos w nadziei, że może przyczynić się on choć w małej części do tego, że idea rosyjska zdoła odnaleźć inne gwarancje wierności Polaków w przysiedze, składanej monarsze Rosyi, jak obietnicę wszelkiego rodzaju szpiegostwa i podłości. Podnoszę dziś głos w nadziei, że potoczy się on po wszystkich szlachetnych umysłach i sercach w Rosyi, że dojdzie on do serca wszystkich innych narodów Słowiańszczyzny i że przygotuje tą chwilę, w której budowania na Saskim placu cerkiew, stanie się przybytkiem nowej unii Rosyi z Rzymem, a zgoda stała Polaków z Rosją przygotowuje grunt dla pokojowej federacyi Austro-Rosyjskiej.

Podnoszę dziś mój głos z niezachwianą wiarą w słowa Syna Bożego: *»Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, iż wy będziecie płakać i narzekać, a świat się będzie weselił; a wy się smucić będziecie; ale smutek wasz w radość się obróci«*. (Ew. u św. Jana w R. XVI).

Podnoszę dziś głos w nadziei, że tocząc się z pokolenia w pokolenie przyczyni się on do wyciągnięcia z topieli zgnilizny dwóch najprzedniejszych słowiańskich narodów. W Bogu mam nadzieję, że głos mój nie przebrzmi bezowocnie.

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,
Bo siłą mojej woli, Twoja wola Boże!
Wierzę, że brzask wolności ludzkości zaświta,
Bo Twoją męką droga wolności odkryta.

Wierzę, że prawdy Twojej światło nieśmiertelne,
 W proch zetrze ludzkiej myśli zuchwalstwo bezczelne;
 Bo łaska Twoja święta, śmiertelnych rozumy,
 Wyzwała z więzów pychy, głupoty i dumy.

Wierzę, że miłość bratnia będzie spójnią ludów,
 Bo ludzkość kroczy ku niej wśród cierpień i trudów;
 Wierzę, że sprawiedliwość jest przyszłością świata,
 Bo w Twej dłoni byt ludów i bytu zatrata.

Wierzę, że się zwątpienie i rozpacz rozwieją,
 Bo miliony serc płoną przyszłości nadzieją;
 Wierzę, że wiara pęta zawiści pokruszy,
 Wierzę — bo Twoja miłość króluje w mej duszy!

(Łonów 15 Lutego 1897 r.).

Kraków, dnia 24 Kwietnia 1899 r.

Jerzy Moszyński.

SPIS TREŚCI.

Słowo wstępu str. I.

ROZDZIAŁ I. str. 3—45.

Wstęp poświęcony 38-letniej rocznicy wypadków warszawskich 27 lutego 1861 r. (str. 3—4). — Sprawozdanie komisji budżetowej w sejmie galicyjskim w sprawie gwarancyi 35-milionów w lwowskiej Kasie oszczędności (str. 4—10). — Rozprawy nad wnioskiem komisji (str. 10—22) — projekt uchwały gwarancyjnej (str. 10—12). — Mowa p. Okuniewskiego, p. Abrahamowicza, pp. Wachnianina, Bilińskiego, Bojki, Hamoraka (str. 13); — p. Rottera, Wodzickiego, Bernadzikowskiego, Niebysłowca, Żardeckiego, Kramarczyka (str. 12—16). — St. Tarnowskiego (str. 16—21), hr. A. Potockiego (str. 21—22). — Krytyka odpowiedzi p. Abrahamowicza na mowę p. Okuniewskiego (str. 22—25). — Krytyka wniosku komisji budżetowej (str. 25—29). — Krytyka mowy hr. Tarnowskiego pod względem przedmiotowym (str. 29—33), — pod względem moralnym (str. 33—35), — parafraza mowy hr. Tarnowskiego w *«Przeglądzie Polskim»* (str. 35—36). — Krytyka poglądu hr. A. Potockiego na działanie p. Szczepanowskiego (str. 27). — Krytyka odwołania się hr. Tarnowskiego na pozagrobowe świadectwo Potockich, Sapiehy, Zyblikiewicza i t. d. (str. 38—45).

ROZDZIAŁ II. str. 46—94.

Błędność zasady niezważania w rozbiórce sprawy Kasy oszczędności na interesa dłużnika (str. 46—51). — Przypomnienie postulatów stawianych przez Jerzego Moszyńskiego w broszurze p. t. *«Rzut oka na politykę austriacko-polską 1880 r.»* (str. 52—58). — Artykuł *«Czasu»* z 11 maja 1880, wymierzony przeciw tejże broszurze, oraz rozbiór tego artykułu (str. 58—63). — Przypomnienie postulatów stawianych przez J. Moszyńskiego w dziele p. t. *«Polityka austriacko-polska»* (str. 63—72). — Krytyka dwóch pierwszych tomów tegoż dzieła przez p. Pawła Popieła, napisana bez podpisu w *«Przeglądzie Powszechnym»* (str. 72—90). — Główna myśl społecznej reformy zawarta w tymże dziele J. Moszyńskiego (str. 90—93). — Przemówienie p. Piotra Górskiego w klubie konserwatywnym (str. 93). — Nieudane zabiegi J. Moszyńskiego do skupienia w Galicyi ludzi uczciwych, w celu wprowadzenia w życie jego systemu pracy społecznej (str. 93—94).

ROZDZIAŁ III. str. 95—125.

Teatralność społecznego działania Stańczyków (str. 95—97). — Samochwalstwo stronnictwa konserwatywnego w przemówieniu p. Piotra Górskiego i hr. J. Męcińskiego (str. 97). — Teatralność moralizowania społeczeństwa przez hr. St. Tarnowskiego w artykułach p. t. *»Porcyę«* i *»Królowa Opinia«* i wzmianka o tychże zrobiona przez hr. Dębickiego w *»Przeglądzie Polskim«* (str. 98—100). — J. Moszyński o powadze moralnej p. St. Koźmiana (str. 100—102). — Idea prawosławia, podług definicji p. Pobiedonoscewa, zastosowana przez hr. St. Tarnowskiego i przez hr. Ludwika Dębickiego do polskiego katolicyzmu (str. 102—105). — Ataki panów Ludwika Straszewicza i Włodzimierza Spasowicza na zasady katolickie, i napiętnowanie ich przez J. Moszyńskiego w broszurze p. t. *»Fizjologia szowinizmu polskiego«* (str. 105—110). — Attaki na katolicyzm pana Lutomira Bolesławskiego w książce p. t. *»Wobec wznowienia kwestyi polskiej«*, oraz uprawnienie przez tegoż stosunków polskich z międzynarodową rewolucją (str. 110—118). — Obojętność *»Czasu«* na te attaki (str. 110—111). — Pochwały *»Kraju«* dla książki p. Bolesławskiego (str. 118). Zachwyty *»Słowa«* warszawskiego dla tejże książki (str. 118—119). — Powody obojętności konserwatywnych galicyjskich pism na te zdrożności (str. 119—121). — Przypomnienie broszury, wydanej w r. 1875 przez p. K. Krzywickiego (str. 121—122). — Uznanie przez *»Czas«* pana Włodzimierza Spasowicza za spadkobiercę politycznego Aleksandra Wielopolskiego (str. 122—124). — Chwalby jedności Włoch głoszone w Rzymie przez p. A. Darowskiego (str. 124—125).

ROZDZIAŁ IV. str. 126—174.

Bankructwo Stańczyków we wszystkich kierunkach życia politycznego i społecznego (str. 126—127). — Attaki pana St. Koźmiana w *»Czasie«* przeciw hr. Agenorowi Gołuchowskiemu (str. 127—131). — Błędność zajętego przez hr. St. Tarnowskiego stanowiska, w porównaniu defraudacyi popełnionych przez p. Zimę i spółkę z defraudacyami p. Czesława Kieszkowskiego (str. 132—134). — Panująca tolerancja Stańczykowska dla złodziejstw popełnionych przez konserwatystów (str. 133—140) — Homor konserwatywny i kwestya pojedynków (str. 140—156) — a mianowicie: *»Czas«* o pojedynku hr. K. Badeniego (str. 142—146) — hr. Ludwik Dębicki o pojedynkach (str. 146—148). — Krytyka pojedynków ze stanowiska katolickiego (str. 148—156). — Odrodzenie społeczeństwa w duchu katolickim musi się zacząć od samych fundamentów społecznych (str. 156—162). — Galicyi potrzeba nie nowych praw, ale tęgich urzędników (str. 162—168). — Nadzieja lepszej przyszłości tylko w dobrem wychowaniu młodzieży (str. 168—169). — Działanie społeczne powinno skupiać się w zakresie naturalnym osobistej pracy ludzkiej (str. 169—172). — Kasa oszczędności powinna się łączyć z biurem melioracyjnem, zachęcającym właścicieli wkładek do używania ich na stosowne melioracye w roli lub w warsztatach. Konieczność decentralizacyi Kas oszczędności (str. 172—174).

ROZDZIAŁ V. str. 175—205.

Faktyczna trójkrajowość każdego Polaka (str. 176). — O broszurze M. Ursina (str. 177). — Porównanie F. Moszyńskiego z L. Tolstojem (str. 177—184). Zgubny wpływ prawosławia na moralny rozwój młodzieży rosyjskiej (str. 185—187). — Prześladowanie Polaków w imię idei państwowej rosyjskiej (str. 188—197). — Niebezpieczeństwa moralne i polityczne dla Rosyi płynące z prawosławia i z prześladowania Polaków i katolicyzmu (str. 197—204) — Zbawieniem sławiańszczyzny unia z Rzymem i federacya Austro-Rosyjska (str. 204). — Dokończenie (str. 205).

ERRATA.

Na str. 3 w wierszu i zamiast trzydziestośmioletnią, czytaj: w trzydziesto-
ośmio letniej.

» » 35	» 14	» pomyśleć	» przemilczeć.
» » 37	» 10	» Normy	» Nory.
» » 46	» 1	» i opuścimy	» opuścimy.
» » 54	» 24	» zagadnieniam	» zagadnieniami.
» » 61	» 11	» ani na chwilę	» na stałe.
» » 62	» 6	» Wespiański	» Wyspiański.
» » 77	» 14	» której	» w której.
» » 79	» 4	» całość	» całości.
» » 83	» 24	» zapytaniem	» zadaniem.
» » 89	» 5	» rzeczy	» ramy,
» » 114	» 13	» konkurencyi	» konsekwencyi.



Bibl. 17878A 4067

